



KOMBINOWANIE WRÓCIŁO DO ŁASK

Alfabet oporu – jak Polacy
obchodzą rygory lockdownu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/410 1-7 LUTEGO 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Marek Jurek o prawie do życia
po publikacji wyroku TK



ZAPRASZAMY W PODRÓŻ PO PODOLU
Z CZASÓW II RZECZYPOSPOLITEJ

„Budzik” Ewy Błaszczuk
wybudza ze śpiączki



PLAN SOROSA

AMERYKA I EUROPA POD DYKTANDO
REWOLUCYJNEJ WIZJI SPEKULANTA-FILANTROPA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy



Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

**Postaw na własną instalację słoneczną z Energą,
produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki.
Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie
instalacji w wybranym wariancie.**

Zadzwoń pod 555 555 505 lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

Najważniejsze wyzwanie dla świata



PAWEŁ LISICKI

Ciekaw jestem, czy ktokolwiek domyśliłby się, jaka będzie pierwsza decyzja nowo wybranego prezydenta Stanów Zjednoczonych? Jaką to najważniejszą sprawą się zajmie? Czy poświęci się problemowi relacji z Chinami? A może tłącemu się konfliktowi na Bliskim Wschodzie? Albo, w końcu bliska koszula ciała, innemu ważnemu wyzwaniu politycznemu bądź gospodarczemu w samej Ameryce? Otóż nie. Otóż inne myśli miały pierwszeństwo w głowie najważniejszego amerykańskiego polityka, a kto wie, może w ogóle najważniejszego polityka na świecie.

20 stycznia 2021 r. prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił (można sobie przeczytać na stronie www.whitehouse.gov), że „należy pozwolić dzieciom uczyć się bez martwienia o odmowę dostępu do łazienki, ubikacji czy szkolnych sportów”. Chodzi o to, żeby chłopcy mogli korzystać z ubikacji i łazienek dziewcząt (i na odwrót, choć w tym przypadku presja była ograniczona), oczywiście, ci chłopcy, którzy uważają, że są dziewczynkami, albo którzy jeszcze nie wiadomo, co uważają, ale chętnie sprawdziłoby, kim są i jak się będą czuli w nowej skórze albo w nowej płci. Okazało się w każdym razie, że problem szkolnych ubikacji (zwanych nieco slangowo kibla-mi) to pierwsza niemal i najważniejsza sprawa, na jaką czekał amerykański lud – a przynajmniej tak sądził najwyraźniej prezydent Joe Biden.

Nie tylko jednak takie problemy zaprzatają wielkiego ame-

rykańskiego przywódcę. Ledwo kilka dni później ogłosił on dekret o „zapobieganiu i zwalczaniu dyskryminacji na podstawie tożsamości genderowej lub orientacji seksualnej”, który dotyczy już nie tylko dzieci, lecz także dorosłych. Według prezydenta „dorośli powinni otrzymać możliwość zarabiania na życie i realizowania powołania, wiedząc, że nie zostaną z tego powodu zwolnieni, zdegradowani lub źle potraktowani z powodu tego, że ich ubiór nie jest dostosowany do stereotypów płciowych”. Czytamy ponadto, że „ludzie powinni otrzymać prawo dostępu do opieki zdrowotnej i bezpiecznego dachu nad głową bez podporządkowania się dyskryminacji seksualnej. Wszystkie osoby powinny być równo traktowane przez prawo, bez względu na tożsamość genderową lub orientację seksualną”. Wszystko to dzieje się naprawdę. Pod względem absurdów prezydent Biden co najmniej przekroczył już działania dawnych przywódców radzieckich – a to dopiero początek tej wspaniałej prezydentury. On się dopiero rozkręca. I ma pełne poparcie innych obłąkańców – jak napisał cytowany przez portal PCh24.pl amerykański działacz gejowski Lucas Acosta, był to „najistotniejszy i dalekosiejący dekret wykonawczy w amerykańskiej historii”. Największy w dziejach dekret o szkolnych kiblach.

W Polsce wielu patrzy na to z niedowierzaniem. Ludzie pukają się w czoło i mówią, że to takie amerykańskie dziwactwo i że nie będzie to miało wpływu na relacje światowe i relacje z Polską. Błąd. Nie jest to w żadnym razie przejaw prywatnego szaleństwa prezydenta Bidena, ale skutek przyjętej przez niego przed laty (a także przez całe jego środowisko i dużą część amerykańskich elit politycznych i medialnych) obłądnej ideologii, zgodnie z którą wszystko, co naturalne – a więc także wszelkie biologiczne i obiektywne uwarunkowania – ma się dostosować do

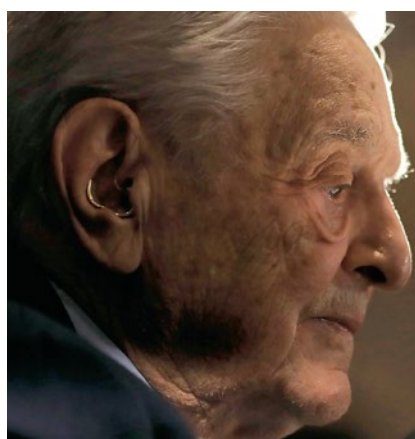
miary, jaką są samoświadomość i prywatne odczucie jednostki. Prezydent USA święcie w tę ideologię wierzy, podobnie jak pani wiceprezydent Kamala Harris i podobnie jak większość demokratycznych polityków. I jak wspierający go w tym niezbożnym dziele miliarderzy oraz sponsorzy. Oznacza to zatem, że władza dostała się w ręce utopistów. Co gorsza, można przewidywać, że będą oni próbowali ją wykorzystywać do wywierania presji na inne państwa, które odkrycia Amerykanów (tak jak niegdyś odkrycia radzieckich naukowców) uważają za to, czym są one w istocie – za przejaw szaleństwa.

Ideologia genderyzmu, albo ideologia queer, zwana w Polsce głównie nieco staroświecko ideologią LGBT (w wersji zmodernizowanej LGBTQI) ma, tak jak komunizm, neomarksizm itd., charakter uniwersalny. Wkrótce amerykańska dyplomacja stanie się w jeszcze większym stopniu niż do tej pory narzędziem ideologicznej, genderowej krucjaty. A kto nie z nimi, ten przeciw nim. Dlatego wbrew tym, którzy uważają, że nie wpłynie to na kwestie strategiczne czy geopolityczne – interesy ponoć są niezmiennie – uważam, że jak najbardziej wpłynie. Dlaczego? Ponieważ taka jest istota ideologii: to, co zwykli ludzie nazywają zdrowym rozsądkiem i rzeczywistością, w oczach ukąszonych jawi się jako konstrukcja, jako kajdany, pęta i ograniczenie. Dla nich nie istnieje rzeczywistość, natura, konieczność – są to tylko słowa powstałe w dyskursie, a dyskursy były narzucane przez tych, którzy mieli władzę, i żeby człowieka wyzwolić, należy zmienić dyskurs. Zatem prawdziwe wyzwolenie – a prezydent Biden ma się właśnie za takiego queerowo-genderowego Mesjasza – musi dążyć do wyzwolenia wszystkich z dyskursów opartych na tym, co odziedziczone.

To naprawdę nie jest śmieszne. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA

SOROSYZACJA AMERYKI

Zwolniono globalny hamulec przemian społecznych

18 ROZMOWA Z PRZEWODNICZĄCYM
WĘGERSKIEGO PARLAMENTU
LÁSZLÓ KÖVÉREM

SIŁA PIENIĘDZY SOROSA

52 ŁUKASZ WARZECHA

GORZKA UE, ALE KONIECZNA

HISTORIA

54 ROZMOWA Z MICHAŁEM RZEPIAKIEM

GŁOS Z TAMTEGO ŚWIATA

Michał Frank – sprawozdawca sportowy Polskiego Radia

56 TOMASZ STAŃCZYK

SŁOŃCE I WINOGRONA PODOLA

ŚWIAT



60 PIOTR WŁOCZYK

MINJAN BIDENA

Nowa ekipa w Białym Domu

62 OLIVIER BAULT

OFENSywa HOMOURZĘDNIKA

EKONOMIA

64 JACEK PRZYBYLSKI

POLSCIE GROZI FAŁA BANKRUCTW?

Tak źle nie było od dekady

68 ŁUKASZ ZBORALSKI

WSZYSTKIE KORZYŚCI Z LASÓW

O ZDROWIU

70 ROZMOWA Z DR. JANUSZEM MEDEREM

TRZEBA BYĆ NIEPOKORNYM PACJENTEM

Wyzwania na 2021 r.

72 KATARZYNA PINKOSZ

BIŁA PŁAMA W DROBNEJ KOMÓRCE

74 DOROTA BARDZIŃSKA

NADZIEJA W TABLETCE

76 ROZMOWA Z PROF. IWONĄ HUS

UKŁADANKA Z LEKÓW

KRAJ

20 PIOTR SEMKA

W KRAJNIE UTRACONEGO ZAUFANIA

Czy prawa strona odejdzie z wielkich mediów Big Tech?



22 ROZMOWA Z SEBASTIANEM KALETĄ
PRZECIW RYZYKU CENZURY

24 MARCIN MAKOWSKI

KRYZYS NA 20-LECIE PLATFORMY

26 KAMILA BARANOWSKA

PEŁNA KONTROLA?

28 RYSZARD GROMADZKI

STAN ZAWIESZENIA

30 ŁUKASZ ZBORALSKI

ALFABET OPORU

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

JEST O CO SIĘ BIĆ



KULTURA

36 PIOTR GOCIEK

CZARODZIEJ Z BARBAKANU

Pożegnanie Papcia Chmiela



38 WIEŚLAW CHEŁMINIAK

TO NIE BYŁA ODBUDOWA

47 GRZEGORZ KONDRASIUK

ROK 2020 – I CO DALEJ?

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 MAREK JUREK

ŻYCIE PRZECIW NICOŚCI

Urzednicy państwowi muszą wesprzeć dzieci nienarodzone



50 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KRYZYSEM W KRYZYS

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

Drodzy Czytelnicy!

Listy elektroniczne do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Przeciw upadkowi Kościoła”, Marek Jurek, „DRZ” 3/2020

Artykuł Marka Jurka „Przeciw upadkowi Kościoła” zbiegł się w czasie z ukończeniem przeze mnie „Dogmatu i tiary” Pawła Lisickiego. Tak jak Marek Jurek uważam, że książka Redaktora Naczelnego „Do Rzeczy” jest szczególnie potrzebna współcześnie i bardzo interesująca. [...]

Upadek rzymskiego katolicyzmu w podtytuł książki Pawła Lisickiego nie znalazł się przypadkowo. Kościół posoborowy reprezentowany przez wielu księży, biskupów, kardynałów, a także papieży, w tym zwłaszcza obecnego biskupa Rzymu, tak bardzo stara się przypodobać światu, że przestał głosić, iż jest depozytariuszem prawdy jedynej i absolutnej. Nagle okazało się, że głoszona przez dwa tysiące lat prawda o powszechnym zbawieniu możliwym jedynie przez ofiarę Chrystusa, który jest jedyną drogą do Ojca, nie obowiązuje np. Żydów, których przymierze z Bogiem podobno nie wygasło. Dlaczego więc Jezus nawracał najpierw swoich rodaków i z nich ustanawiał apostołów? Dlaczego głosił Ewangelię w Palestynie? Czy nie dlatego, że był obiecany w Piśmie Mesjaszem zapowiadany przez proroków? A to, że Żydzi, reprezentowani przez swoje elity, go odrzucili, a za nimi lud Jerozolimy, to już inna sprawa. Można by powiedzieć: „Miałeś, chamiu, złoty róg...”

Zadziwiają mnie także inne gesty czy działania posoborowych papieży, takie jak ucałowanie Koranu przez Jana Pawła II, księgi pełnej nienawiści i pełnej wezwań do mordowania chrześcijan (por. Pages Guy – „Prawdziwe oblicze islamu”), czy Jego spotkanie w Asyżu na modlitwach z przedstawicielami innych religii. Czyżby modlitwa do prawdziwego Boga wznoszona przez Wikariusza Chrystusa miała tę samą wartość co zaklęcia pogańskich szamanów do ich fałszywych bożków?

No jak tak można?!... Ksiądz z odwołaniem do prawa do trzymania dziecka do chrztu... To takie podłe...



Podobnie trudno zrozumieć Franciszka i podpisanie przez Niego deklaracji z Dubaju, gdzie mowa o tym, jakoby wielość religii była zamysłem Boga. Jeśli tak, to po co męczą się misjonarze na świecie, przekonani, że wypełniają słowa Mistrza: idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu? A może to niepoprawny politycznie prozelityzm?

Dziwne rzeczy dzieją się także w zachodnim Kościele, w tym zwłaszcza w niemieckim, gdzie katolicki biskupi domagają się interkomunii z protestantami. Czyli katolik, wierzący w realną obecność Zbawiciela w najświętszym sakramencie, i protestant zaprzeczający tej prawdzie mają wspólnie przyjmować komunię. Także domaganie się, całkiem jawne, uznania homoseksualizmu i związków ludzi tej samej płci za niesprzeczne z Pismem Świętym wymagałoby od Franciszka jasnego określenia stanowiska Rzymu, a nie uniku w postaci: „Kimże ja jestem, aby osądzać?”. Można powiedzieć: Piotrem, skałą, na której opiera się Kościół. Ale ta skała coraz bardziej piasek przypomina.

[...] Nic więc dziwnego, że ludzie masowo odchodzą z Kościoła, który już nie twierdzi, że jest jedyny prawdziwy. Skoro jest jednym z wielu występujących na rynku religii, to współczesny konsument niczym w supermarkecie może wybierać, co mu się podoba. Z katolicyzmu weźmie Pana Jezusa w stajence i koledy, bo to takie sympatyczne, z protestantyzmem teorię predestynacji – skoro tylko wybrani będą zbawieni, a uczynki nie mają znaczenia, to „róbta, co chceta”, a z prawosławia może cerkiewne śpiewy do posłuchania na płycie CD. A ponieważ niektórzy teologowie głoszą niezmiernie miłosierdzie Boże dla wszystkich i puste piekło, to i ateści będą zbawieni, więc po co w ogóle zwracać sobie głowę Panem Bogiem i Kościołem? [...].

Rację ma Marek Jurek – Kościół nie upadnie, bo tak obiecał nam Jezus.

Kryzys, jaki przeżywa, jest jednak ogromny. Wierzyć jednak musimy, że Duch Święty obecny w Kościele powoła ludzi świętych, także wśród świeckich, dzięki którym ten smutny czas się skończy, a wiara katolicka i apostołska znówu rozbłyśnie z mocą na całym świecie.

Wojciech Zajączkowski,
Łódź



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Łukiewicz, Krzysztof Czałajski, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzry, Marcin Bugaj, Damian Cysan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk (także „Super Express”), Paweł Zdziarski

Studio graficzne: Wojciech Niedziello (szef studia), Jakub Tanski,
Jacek Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoreżyser: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzaski
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysowniki: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
Okładka: Getty Images (2), oprac. graf. Pegaz/JAN

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl; tel.: 539 953 631; Monika Doros; tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 75 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie imnej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktować się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W lodowatym zimnie

W sprawie pana Sławomira, Polaka zmarłego w Plymouth, w przypadku którego lekarze, sąd i część rodziny podjęli decyzję o zakończeniu karmienia i nawadniania, uderza różnica mentalna między światem protestanckim a katolickim. W Polsce dla bardzo wielu ludzi i rządu było oczywiste, że jeśli istnieje możliwość dania szansy choremu w śpiączce i czekania na jego wybudzenie, to trzeba z tej szansy skorzystać. Mówiąc krótko – dać życiu szansę.

Czy próba przetransportowania Polaka do kraju była pozbawiona szans? Nikt takich rzeczy nie wie dopóty, dopóki się nie spróbuje. Na podobnej zasadzie można było z góry wykpić starania rządu RFN, aby wywieźć samolotem do Niemiec zatrutego „nowiczkiem” Aleksieja Nawalnego. Teoretycznie Putin powinien postawić weto, ale zgodził się i Rosjanin przeżył. A czy był sens przywozić pana Sławomira do Polski? Świadectwa Ewy Błaszczyk i prof. Wojciecha Maksymowicza wskazują, że pan Sławomir mógł być pacjentem Budzika.

Zachowanie Brytyjczyków wyglądało jednak tak, jakby broniono

za wszelką cenę jakiejś szerszej doktryny dominacji utylitaryzmu nad zasadą świętości życia. Lekarze zadecydowali, sędziowie to usankcjonowali, żona i dzieci nie zgłaszają sprzeciwu, więc trzeba odegnąć wszelkie wątpliwości. Ten prymat formalizmu prawnego i naukowego gorąco poparł na polskim podwórku jeden ze znanych publicystów, który ogłosił, że nauka w tej sprawie wypowiedziała się jednoznacznie, że nie ma co liczyć na cuda. Dodał, że nie ma powodu, by oburzać się na brytyjski utylitaryzm, bo żyjemy w świecie pluralizmu prawnego i etycznego.

Cały spór polegał jednak na tym, że z tym utylitaryzmem nie zgadzały się żyjące w Polsce matka i siostra chorego. I ich stanowisko doskonale rozumieli wielu Polaków i polscy dyplomaci.

Takie sytuacje budzą sprzeciw. Dlatego protestujemy przeciw wyrokom śmierci na muzułmanki, którym grozi ścięcie za przyjęcie chrześcijaństwa, i oburzamy się na zsyłanie do łagrow Ujgurów w Chinach. A przecież w obu przypadkach wyroki mają solidne oparcie czy to w szariacie, czy kodeksie karnym ChRL.

Ewa Błaszczyk swoją wieloletnią praktyką pokazuje, że wiara w możliwość wybudzenia daje szansę ludziom, których wielu lekarzy skreśliło. To szansa, a nie pewność wyleczenia. Polak z Plymouth mógł z takiej szansy skorzystać. O tym mówimy, a nie o cudach.

I jeszcze jeden argument. Skoro na faktyczną eutanazję pana Sławomira zgodzili się żona i dzieci, to nic nikomu innemu do tego. Tyle że przyjęcie logiki utylitaryzmu w miejscu nienegocjowalności obrony życia będzie z czasem doprowadzać do sytuacji, gdy żony i dzieci będą coraz częściej rezygnować z kłopotliwego pielęgnowania chorego. To świat emocjonalnego chłodu, jaki obserwujemy dziś w Holandii – u europejskiego lidera w dziedzinie praktyk eutanazji. Kultura polska jest inna. I dlatego matka i siostra pana Sławomira chciały chorego z kręgu tego zimna wyrwać. A państwo jest od tego, by takie dramatyczne próby wspierać. Nie udało się. To jednak nie znaczy, że nie należało próbować. ©©

**O KLINICE „BUDZIK” CZYTAJ TAKŻE
NA STR. 34**

NAWALNY ZOSTANIE W ARESZCIE

„Moskiewski Sąd Obwodowy odrzucił w ubiegłym tygodniu apelację prawników najsłynniejszego krytyka Kremla Aleksieja Nawalnego od decyzji sądu niższej instancji o umieszczeniu go na 30 dni w areszcie śledczym”. – To nie jest zwykłe bezprawie, które w Rosji jest czymś zwyczajnym, ale demonstracyjne bezprawie – oznajmił Nawalny, zauważając, że takie działania władz mają na celu zastraszenie jego i innych opozycjonistów. Zatrzymanie Nawalnego wywołało w Rosji ogromne protesty. (jap) ©©



Nadchodzi Amazon.pl

Amazon oficjalnie poinformował o rozpoczęciu prac nad uruchomieniem w Polsce platformy Amazon.pl. Na polskim rynku amerykański gigant będzie konkurował głównie z Allegro.

280,5 mld dol.

TYLE W 2019 R. WYNIÓSŁ PRZYCHÓD NETTO AMERYKAŃSKIEJ PLATFORMY

Wprawdzie od kilku lat w polskiej wersji językowej działa niemiecka strona Amazon.de, ale dopiero w tym roku pojawi się oficjalna polska wersja największego na świecie sklepu internetowego.

Polscy przedsiębiorcy, którzy chcą sprzedawać towary za pośrednictwem amerykańskiej platformy, mogą już na niej rejestrować swoje konta.

Założona przez Jeffa Bezosa spółka Amazon nad Wisłą jest obecna już od 2014 r. W dziewięciu centrach logistycznych oraz w biurze Amazon Web Services i Centrum Rozwoju Technologii Amazon w Gdańsku zatrudnia ponad 18 tys. osób, co sprawia, że jest największym amerykańskim pracodawcą w Polsce oraz trzecim co do wielkości amerykańskim inwestorem nad Wisłą.

W 2021 r. Amazon planuje uruchomienie w Polsce kolejnego centrum logistycznego – w Świebodzinie w województwie lubuskim zatrudnienie znaleźć ma ponad tysiąc osób.

Jacek Przybylski ©



FOT. ADAM STOK

NAJWIĘKSZA RECESJA OD WIELU DEKAD

Produkt krajowy brutto Polski w 2020 r. spadł o 2,8 proc., po wzroście o 4,5 proc. w 2019 r. – podał w piątek Główny Urząd Statystyczny. To najgorsze dane od lat 90. XX w.

Z kolei amerykańska gospodarka skurczyła się aż o 3,5 proc. w ujęciu rok do roku. Był to największy spadek produktu krajowego brutto od 1946 r. – wynika ze wstępnej oceny amerykańskiego resortu handlu. Wcześniej amerykańska gospodarka rosła co roku nieprzerwanie aż przez 11 lat, czyli od czasów wielkiej recesji w latach 2007–2009.

Pandemia COVID-19 doprowadziła do recesji, a także wywołała wysokie bezrobocie. Pandemia koronawirusa w Stanach Zjednoczonych zabiła już niemal pół miliona osób i nic nie wskazuje na to, aby szybko udało się pokonać wirusa. Analitycy Międzynarodowego Funduszu Walutowego oceniają jednak, że po wprowadzeniu planu pomocowego wartego 1,9 bln dol. wzrost gospodarczy w USA powinien przyspieszyć do ponad 5 proc. Inni eksperci szacują jednak, że wzrost ten może wynieść tylko 4,3 proc. Polski PKB według MFW ma wzrosnąć w 2021 r. o 2,7 proc. *(jap)* ©

KRS WYBRAŁA NOWEGO SZEFA

Paweł Styrna został w ubiegłym tygodniu wybrany na nowego przewodniczącego Krajowej Rady Sądownictwa. – Zapewniam, że będę wysłuchiwał wszystkich racji i dążył do kompromisu, każdy będzie miał możliwość zabrania głosu, a ja sam będę starał się jak najlepiej służyć KRS – cytował słowa Styrny tuż po głosowaniu portal Wp.pl.

Paweł Styrna zastąpi na tym stanowisku Leszka Mazura. Ten został odwołany dwa tygodnie temu (sam uznawał odwołanie za bezprawne, ale potem złożył rezygnację). Odwołanie Mazura wiązano ze sprawą diet za posiedzenia dla części członków KRS. „Dziennik Gazeta Prawna” ujawnił, że niektórzy członkowie komisji spotykali się poza dniami, w które wypadają posiedzenia plenarne. W ten sposób otrzymywali dodatkowe diety. Dziennik wyliczał, że w ten sposób dodatkowe pieniądze zarobili m.in. sędzia Maciej Nawacki (17,5 tys. zł), Dariusz Drązewicz (ok. 16,5 tys. zł), oraz sędziowie Jędrzej Kondek i Teresa Kurcysz-Furmanik, a także poseł PiS Arkadiusz Mularczyk (po 11,6 tys. zł).

Mazur sprzeciwiał się takiemu sposobowi prowadzenia prac. Oficjalnie jednak odwołano go z powodu „utraty zaufania” niektórych członków rady. Przedstawiciele rady uważali, że ujawnił protokoły z posiedzeń komisji KRS oraz prywatną korespondencję jej członków bez ich zgody. Mazur uważał, że nie ponosi za to winy.

O posadę szefa KRS ze Styrną konkurował Marek Jaskulski. Styrna wygrał głosowanie, zdobywając 12 głosów. Jako kandydatów zgłoszono jeszcze sędziów Wiesława Johanna i Dagmarę Pawełczyk-Woicką. Oboje odmówili jednak ubiegania się o posadę.

Paweł Styrna to dotychczasowy sędzia Sądu Rejonowego w Wieliczce. Jest także wiceprezesem Sądu Okręgowego w Krakowie. *(luz)* ©

MROŹNA ZIMA KONTRATAKUJE

W lutym wrócą srogie mrozy, a cały miesiąc będzie chłodniejszy niż styczeń – przewiduje w wydanej w ubiegłym tygodniu prognozie Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Co gorsza, w tym roku luty może być chłodniejszy niż w latach poprzednich. Chociaż pierwsza połowa lutego ma być słoneczna i stosunkowo ciepła, to w drugiej temperatury znowu mają spaść co najmniej kilkanaście stopni poniżej zera. W okolicach Białegostoku temperatury mogą jednak wskazywać nawet –28 st. C. *(jap)* ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mogło się udać

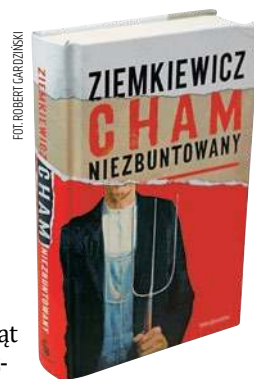
Pan Andrzej wziął się pod boki i zaczął chełpić straszliwie – przypomniało mi się takie zdanie z „Trylogii” Sienkiewicza, w czasach mojego pokolenia będącej jeszcze lekturą nie tylko obowiązkową, lecz także podziwianą. Oto tak właśnie, jak pan Kmicic, powinienem teraz wziąć się pod boki i zacząć chełpić. Moja książka „Cham niezbytowany”, której sprzedaży stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita próbowało zakazać i zapowiadało, że uzyska taki zakaz w prokuraturze, i która pod wpływem lobbingu innej podobnej jacejki została na pewien czas zakazana w serwisie Allegro, a którą tzw. wiodące media próbowały „zamilczeć na śmierć”, nie tylko jest bestsellerem, lecz także została właśnie wybrana na Historyczną Książkę Roku 2020.

I to przez czytelników – to oni, nie jury, zgłosili ją do plebiscytu portalu histmag.org i granice.pl i to oni ją nagrodzili. Niech teraz szczerną lewiciowi oszczercy i domorośli naśladowcy „cancel culture”!

Poza uczuciem triumfu mężczyźnie jednak myśl, że w sumie niewiele brakowało, a draństwo mogłoby się udać. Gdyby u władzy był nie PiS, ale PO albo Lewica, i prokuratura ochoczo podchwyciła podzuczone jej jeszcze przed premierą książki oszczerstwa kapusiów z Otwartej Rzeczpospolitej, gdyby media, nie, jak dziś, podzielone, ale jak sześć, siedem lat temu grające pod jedną, Tuskową batutą nagłośniły kłamstwa i insynuacje o rzekomym „negowaniu Holocaustu” i „antysemityzmie” – tak, jak podchwyciło je, wierząc swoim polskim źródłom (czyli głównie nie-

jakiej pani Markusz), kilkadziesiąt obcojęzycznych tytułów żydowskich, to kto wie, czy akcja niedopuszczenia do kontaktu czytelników z tak „niebłagonadiożną” lekturą i „wypinkowania” autora z życia publicznego nie skończyłaby się sukcesem?

Pochlebiam sobie, że przez 30 lat i tyleż książek zdołałem zdobyć sobie rzeszę wiernych czytelników, dzięki którym nie jest łatwo mnie ocenzurować i zniszczyć nawet wyspecjalizowanym i cieszącym się tak dużym wsparciem organizacjom. Są jednak autorzy, być może lepsi ode mnie, którzy tak opancerzeni przeciwko lewackiej cenzurze nie są. I to im pozwalam sobie zadeedykować tę nagrodę. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Klucz do historii

Druga wojna światowa, klęska III Rzeszy ukształtowały nie tylko powojenną geopolitykę, lecz także życie duchowe. To idea, do której wielokrotnie wraca Paweł Lisicki w „Dogmacie i tiarze”. Odniesć można wrażenie (to już kwestia interpretacji książki i intencji autora), że jego stanowisko to negatyw progresywnej niemieckiej teologii. Teolodzy tacy jak Metz chcieli rozpuścić Wieczność w historii. Lisicki broni tego, co wieczne, przed wpływem historii. Relacja tych dwóch rzeczywistości wydaje się jednak bardziej złożona.

Wieczność ma prymat, bo nie mija, ale przemijająca historia (wewnątrz której dokonuje się już

samo Zbawienie) też ma znaczenie, tak jak każde ludzkie życie. Nie tylko Kościół wieków wiary nieustannie organizował obronę chrześcijaństwa i godził narody katolickie. Również katolicyzm wieku XX wielokrotnie reagował na bieg spraw świata. Święty Pius X potępiał francuski laicyzm. Pius XI ogłaszał encyklikę przeciw bolszewizmowi, nazizmowi i rządowi wolnomularskiemu w Meksyku. Pius XII pisał o dobrym prawie międzynarodowym jako koniecznym elemencie rządów Bożych w świecie. Solidarność zainspirowała „Laborem exercens” św. Jana Pawła II. Za każdym razem były to nie tylko okolicznościowe reakcje, lecz także głęboka teologiczna analiza społecznych fenomenów.

Właściwym źródłem współczesnego kryzysu katolicyzmu jest więc nie to, że zareagował tak mocno na zło nazizmu, ale że (po pierwsze) uległ wpływowi jego liberalnej interpretacji oraz (po drugie) że porównywalnej reakcji nie spowodowały straszliwe doświadczenia bolszewizmu.

Za czasów PRL encyklikę „Divini Redemptoris” wydawali studenci w podziemiu. Nie była przedmiotem publicznych analiz, bo „nie było można”. Dziś nadal nie jest – bo „już nie potrzeba”. Tymczasem po upadku monopartyjnej formy i transformacji komunizmu powinna być przedmiotem ciągłej medytacji, kluczem do odczytania ostatnich stu lat historii, włącznie z naszymi czasami. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Anne Frank jak Greta Thunberg

Wydawałoby się, że takie kretynstwo nie może się urodzić nawet w najbardziej zideologizowanej i postępowej głowie. A jednak...

Porównania dopuścił się nie byle kto, bo Beppe Sala, lewicowy polityk, menedżer niezwykle udanego mediolańskiego EXPO, a obecnie wybrany głosem progresistów superpostępowy burmistrz Mediolanu, gospodarz i finansowej stolicy Italii. Jest człowiekiem rozpozna-

potrzeby Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, który w Italii obchodzony jest bardzo uroczystie i godnie, rejestrowała spektakl „Anne Frank. Żywy paralelny”. Spektakl oparty jest na poruszającym pamiętniku, który wrażliwa żydowska dziewczynka prowadziła w Amsterdamie, ukrywając się z rodziną przed Niemcami.

Dziennikarz telewizji RAI, zapewne w paroksyzmie galopującej głupoty, wydobyl z zeluści swego zideologizowanego umysłu porównanie Anne Frank do Greta Thunberg, podszedł do burmistrza i mu je zasufłował. Sala, zamiast przegonić idiotę na cztery wiatry, wypalił kretynstwo jeszcze większe – bełkot totalny: „Myślę, że Anne Frank była prekursorką obecności kobiet w tak młodym wieku w życiu społecznym. Naturalnie na myśl przychodzi Greta Thunberg. Historie obu dziewcząt to historie ogromnej odwagi, zaczynające się od rzeczy najprostszej, a kończące się podobnym rezultatem”.

Słowem – uczynił z Anne Frank nieustraszoną prekursorkę feminizmu, walki o równouprawnienie kobiet i hałaśliwej obecności młodych dziewcząt w dzisiejszych mediach. Trudno pojąć, jak można tak zbanalizować Holokaust, tragedię i śmierć Anne Frank w obozie w Bergen-Belsen. Okadzanie Greta, której postępowcy oddają cześć boską, chyba osiągnęło swój szczyt, a właściwie żałosne dno. Greta to nie Anne. Davos to nie Bergen-Belsen. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Stalingrad Kaczyńskiego

Świętowanie 20-lecia PO nie ominęło Twittera.

Oprócz gratulacji pojawiły się również plany na powrót do zwycięstw oraz rozbudowane analizy porażek. „Po kompromitującym wywiadzie Dudy wiele osób przypomina, że gdyby przed 2. turą Biedroń, Kosiniak-Kamysz i Hołownia stanęli bez fochów przy Trzaskowskim, nie byłoby dzisiaj tego wstydu. Dziś Hołownia prowadzi agresywną politykę wobec całej opozycji, zamiast współpracować. W PiS-ie radość” – zrekapitulował Przemysław Szubartowicz.

Głos zabrali nie tylko dziennikarze.

„Hołownia wali w PO. Lewica wali w PO. PSL wali w PO. Kukiz wali w PO. PiS wali w PO. A Wy czego nie rozumiecie?” – zapytał enigmatycznie Fan Tomas Szary. „A my jesteśmy tą mądrą starszą siostrą, która jako jedyna bez oszustw i przejęcia mediów publicznych rządziła Polską dwie kadencje i przez te 8 lat Polska najszybciej pokonywała dystans dzielący nas od Europy Zachodniej. Co jeszcze chcesz wiedzieć, Tomku?” – odpowiedziała mu uspokajająco posłanka Izabela Leszczyna.

Gdyby ktoś, krytykując Platformę, zapomniał, co czeka po drugiej stronie, przypomni mu Marek Belka.

„Białoruś Łukaszenki, Rosja Putina, Polska Kaczyńskiego. Im dłużej trwają, tym mniej je różni” – napisał europoseł. „Brakuje jeszcze Niemiec Hitlera i Kambodży Pol Pota” – doprecyzował prof. Stanisław Żerko. Pozostając w klimacie historycznym. „Giertych to Stalingrad Kaczyńskiego” – wyznał Jan Piński. „Giertych to Stalingrad? Poznać czy pochwalić?” – popadł w refleksję znany mecenas.

Skoro mowa o Rosji Sowieckiej, to oddajmy głos „Wyborczej”.

„Zesłany na Warmię warszawski prokurator już pracuje: Rano biegalem w śnieżycy” – donosi dziennik. „Zesłana prokuratorowa Ewa Wrzosek rozpakuje walizki w nowym mieście. Martwi się o psa” – dodaje w drugim tweecie. Zakończmy w duchu słowiańszczyzny. „Są piękne i mądre, a jednocześnie skromne i wierne. Inne niż wyemancypowane Polaki, za którymi Polacy dawno przestali nadążać” – zareklamował swój tekst „Newsweek”. Tytuł? „Żona ze Wschodu. Polacy masowo szukają żon na Ukrainie i w Rosji”. Jak się paniom podoba? ©©

Nie, nie wnuś... ja ustrój
powyśchnej szczęśliwości już
przerabiałem i ledwo użedłem
z życiem...



walnym, popularnym i wpływowym. Niemal codziennie z różnych powodów pojawia się we włoskim okienku telewizyjnym, szczególnie obecnie, przed wyborami w Mediolanie, gdzie będzie zabiegał o reelekcję.

Burmistrz Sala udał się do mediolańskiego „Teatro Piccolo”. Publiczna telewizja RAI na

MŁODY MĄŻ NA ZDROWIE

Maryla Rodowicz została zapytana przez tabloid o opinię na temat młodego wyglądu znanej rosyjskiej pieśniaczki Ałły Pugaczowej. Odpowiedź, jakiej udzieliła Maryla, jest dość zaskakująca. – Z Ałłą widziałam się trzy lata temu na festiwalu w Witebsku, byłam u niej w garderobie. Przy okazji poznałam jej młodszego o kilkadziesiąt lat męża, aktora i kabareciarza. Doskonale ją rozumiem, że związała się z dużo młodszym facetem, ma też nowe dzieci, bliźniaki. Młodszy mężczyzna i małe dzieci to recepta na młodość, jak widać – stwierdziła Rodowicz. To już wiemy, dlaczego Maryla się właśnie rozwiodła. Dla zdrowia.

MORSOWANIE Z INTENCJĄ

Celebrytka Anna Wendzikowska nie zdążyła wrócić z wakacji na Dominikanie, a już rzuciła się w wir kolejnej mody. Chodzi oczywiście o morsowanie! W jej przypadku to nie jest jednak jakieś tam zwykłe morsowanie, to morsowanie, które ma magiczną moc spełniania życzeń! Niestety, ona naprawdę tak uważa. – Poczytałam o dobrodziejstwach, jakie szok związany z wejściem do lodowatej wody przynosi naszemu organizmowi... No i musiałam spróbować – wyznała Wendzikowska. I zaraz dodaje: – Wiem, wiem, teraz akurat wszyscy mają bekę z morsowania, ale zasadniczo nie jestem osobą, która się takimi rzeczami przejmuje – dodała. – Kiedyś myślałam, że to kompletne wariactwo... Podziwiałam, ale mówiłam jednocześnie: „Nigdy w życiu!”. A potem poznałam koleżankę, która powiedziała mi o mocy intencji spełniających się podczas morsowania [...] – wyznała Ania. Ewidentnie przywilej rozumu nie był tym, w którego intencji morsowała. Na tym odcinku, niestety, bez zmian.

O WYŻSZOŚCI ZAPAŁEK NAD TYŁKIEM

Małgorzata Rozenek-Majdan oburzyła się, że fani wypominają jej fakt, że przebywała na wakacjach i wrzuca z nich roznegligowane fotki. Małgorzatę najbardziej zabolął komentarz: „Kiedyś myślałam, że to fajnie, że ma się hajs i czas na wycieczki, nie robiąc nic”. Odpowiedziała prawdziwym elaboratem,



FOT. PRINCE GORDONADA

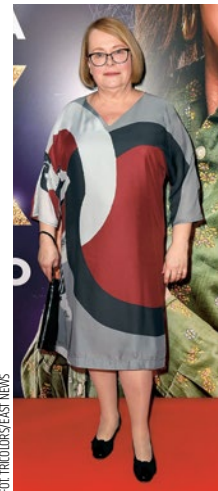
jak bardzo jest wyedukowana, jak ciężko pracuje, co robi i co osiągnęła. Rozenek pisze, że skończyła studia prawnicze z dobrą średnią, dostała się na studia doktoranckie, gdzie było siedem osób na jedno miejsce, że bierze udział w produkcjach telewizyjnych, wydała siedem książek i poradników (o perfekcyjnym sprzątananiu, nie o prawie, żeby była jasność), jest założycielką fundacji, zadebiutuje w tym roku na dużym ekranie, ma troje dzieci i męża. Nas jednak najbardziej zafascynowało to, że do swoich życiowych osiągnięć zaliczyła także to, że prowadzi konto na Instagramie, gdzie „sukcesywnie zwiększa grono obserwujących”, a „o sesjach i okładkach nawet nie mówi”. Na koniec podsumowuje jeszcze, że „jeden produkuje zapalki, a inny treści”. Z całym szacunkiem dla pani celebrytki, ale zapalki są dla ludzkości bardziej przydatne niż fotki jej gołego tyłka z plaży w Tulum.

NIECH NIE WRACAJĄ!

Scenarzystka Ilona Łepkowska nie wytrzymała i postanowiła wyjawic, co myśli o wszystkich „nabotkсовanych celebrytkach”, chwalejących się słodkimi zdjęciami z egzotycznych wakacji w czasie pandemii.

– Niech latają. Mają prawo mieć w dupie to, że tylu ludzi jest bez pracy, walczy o życie swoich firm, że rodziny wariują na 60 metrach z dwójką dzieci w zdalnej nauce i dwójką rodziców na pracy zdalnej, że starsi ludzie stoją na mrozie pod przychodnią, żeby zapisać się na szczepienie... W końcu ma to ich prawo kompletnie nie obchodzić.

Solidarności biednych z bogatymi mają prawo nie odczuwać, starczy, jak wrzucą setkę do puszeki Owsiakowi i wkleją fotę z serduszkami na Insta – złoży się Łepkowska. – Tylko, do cholery jasnej, niech polecą i wrócą, albo może nawet lepiej niech nie wracają, tylko niech przestaną [tu przekleństwo – przyp. K.B.] wstawiać foty z plaży w codziennym innym bikini na Instagram i FB. Tak po prostu ze zwykłej, ludzkiej przyzwoitości. Niech się nie fotografują nad tymi basenami pod palmą – grzmi scenarzystka wielu popularnych seriali. Ale jak to, jechać na egzotyczny urlop i się nie fotografować nad basenami pod palmą?! To po co jechać? ©©



FOT. THOMAS EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, do skandalicznej sytuacji doszło w jakiejś miejscowości na głębokim mentalnym Podkarpaciu, gdzie ksiądz oczekiwał od kandydatów do bierzmowania, iżby wyparli się Strajku Kobiet i zrezygnowali z poparcia waginoosób walczących o swoje prawa.

się takiej ingerencji przedstawicieli Kościoła w wybory i postawy młodych ludzi. Bierzmowanie prawem, nie towarem!!!

Niebawem spadną na nas kolejne represje. Otóż od czerwca ma obowiązywać prawo, według

zakazą do tego picia kawy na przejściu, no kaman.

A jeśli akurat na pasach będąc, otrzymamy snapa? Albo będziemy chcieli nagrać coś śmiesznego na TikToka lub opublikować dla Was ważny wpis na fejsiku, to co? Mamy czekać, aż dojdziemy na chodnik, na którym pewnie będzie zaparkowane milion aut, które będziemy musieli ostrożnie omijać?

Eh, mamy tylko nadzieję, że może jednak będą jakieś wyjątki dla użytkowników ajfonów :{



To wstrząsające, jak Kościół wchodzi młodziem z butami w życie.

W dodatku ksiądz tylko robi problemy, iż skoro ktoś faktycznie uzna, że ważniejsze jest dla niego prawo do wyboru, to w przyszłości, nie mając bierzmowania, nie będzie mógł wziąć ślubu kościelnego.

Jest to dyskryminacja ze względu na poglądy i wyznanie i serio zastanawiamy się nad tym, jakie organy świeckie poinformować, iż taka sytuacja miała miejsce. Stanowczo sprzeciwiamy

którego nie wolno będzie korzystać ze smartfona na przejściu dla pieszych. Za złamanie zakazu można będzie zapłacić nawet stówkę.

Jest to po prostu okrutne. Przestrzeń miejska i tak jest zawłaszczona przez samochodziarzy, a piesze enklawy, jakimi w miejskiej spalinowej dżungli stały się przejścia dla pieszych, zamiast stawać się coraz bardziej przyjazne, będą miejscami, gdzie nawet nie da się przescrollować fejsbuka. Jeszcze niech

Obszerwujemy tę zmasowaną akcję łamania obostrzeń epidemiologicznych, widzimy to takie polskie tajniaczenie się, pokątne otwieranie lokali, restauracji, ten czający się za każdym rogiem neoliberalizm i jest nam autentycznie smutno.

A w takiej Holandii młodzi ludzie śmiało wychodzą, kontestując w ramach protestów godzinę policyjną, a wszystko jawnie i demokratycznie. A że jakieś zamieszki się zdarzą, to cóż – najwidoczniej tak czasami funkcjonują dojrzałe demokracje, ale co my w tym kraju możemy o tym wiedzieć... ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Państwowa Fundacja Rozrywkowa

Kamila, ty dokąd?

No jak to? Na demonstrację. Ja się, Borys, dziwię, że ty nie idziesz.

Ja tu mam trochę roboty jeszcze... Ale posłuchaj, taki pomysł powstał, żeby może trochę

zluzować z tą Lempart, ona nas i tak nie wesprze, a za to podzielać dla przedsiębiorców. Wiesz, tych zamkniętych przez lockdown.

No nie wiem...

Słuchaj, ja tu mam nawet rozpiskę, jak to robić. Dla ciebie też się coś znajdzie. Tu masz na przykład kryteria do tarczy peefer dwa zero i opis, dlaczego firmy się nie łapią. Mogłabyś o tym coś powiedzieć?

Ty, a co to jest peefer?

No... Chyba skrót jakiś. Agencja jakaś. Czeka... Państwowa

Fundacja Rozrywkowa czy jakoś tak... Nie pamiętam. Sprawdź sobie.

Moment. A tu jest coś o przychodzie. Przychód to co to jest właściwie, bo mnie się zawsze z rozchodem kojarzy. Nie, czekaj, z tym, no... dochodem! Ojejku, masz chyba Wikipedię, to sobie zobacz.

Wiesz co? To jest wszystko jakieś pokopane. Idę demonstrować, tam jest jedno proste hasło i nie ma takich dziwacznych problemów. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dwa procent dzieli nas od rozwiązania Unii Europejskiej i końca świata, jaki znamy. Potem będziemy suwerenni jak w 1939”

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł PO, na Twitterze, komentując sondaż, według którego Marine Le Pen dogania Emmanuela Macrona

Niedowierzanie! Horror! Szok! Jedną z pierwszych decyzji Wujka Joe, nowego prezydenta USA, i jego wiernej platformy obywatelskiej, znaczy eee... demokratycznej ma być wprowadzenie programu „300+”. To takie coś pod dyktando Kaczyńskiego i Szydło – trzy stówki na każde dziecko. Tyle że w dolarach. Polska Eine Totalopposition w rozpacz – jak popierać pomysły Bidena, nie popierając tym samym PiS?

Horror! Szok! Niedowierzanie! Tomasz Siemanko Siemoniak skarży się, że Zły Donald z Brukseli nie złożył nawet urodzinowych życzeń Platformie! Wyrodny ojciec! Fatalny trener, gorszy nawet od Brzęczka. Nieszczęsny PeŁo pozostaje to, co zrobił Boniek – wybrać nowego opiekuna kadry. Proponujemy, by tak, jak w przypadku reprezentacji kopaczy, był to trener z zagranicy. Hm, a może już takiego mają, tylko się nie chwala?

Obawiamy się jednak, że na widok szerokiej kadry PeŁo nawet najlepszy trener z zagranicy – choćby i z Bundesligi – powie to samo co kiedyś Boniek, prowadząc reprezentację Polski na treningu. Otóż po zleceniu kadry ćwiczenia piłkarskiego o charakterze technicznym po chwili Boniek rzekł sfrustrowany: „Zobacz, co za kalecy. Oni nie są w stanie tego zrobić. W moich czasach każdy rezerwowo to robił”. Trudno nie obawiać się powtórki z tej surowej oceny, kiedy już pojawi się nowy opiekun Platformy. Co gorsza, mógłby zacząć od cytatów z Jana Pawła II, tak jak Paulo Sousa. Ależby był ambaras!

Przy okazji: chcieliśmy zaprotestować przeciwko ostrej krytyce, którą Grzegorz Ludojad Schetyna chlasta Borysława Budkę, obecnego szefa PeŁo. Schet twierdzi, że zostawił PeŁo w dobrym stanie, a potem było gorzej. Otóż to nieprawda. PeŁo Schetyny przegrała wybory trzy razy – raz samorządowe, raz europarlamentarne i raz sejmowe. PeŁo Budki przegrała tylko jedne wybory – prezydenckie. Czyli Borysław jest trzy razy lepszym liderem od Scheta. Najbliższe wybory sejmowe oraz samorządowe planowane są na rok 2023. Dopiero wówczas Borysław niekompetencją zniży się do poziomu Grzegorza.

Czy wiedzieli państwo, że budynek może się biesić i fukać? A także pomrukiwać groźnie? Wszystkie te dźwięki wydawał przez dwa tygodnie pałac prezydencki. A to dlatego, że Arkadiusz Mularczyk marzył o fotelu szefa Krajowej Rady Sądownictwa. Oficjalnie pałac mówił jedynie, że nie byłoby dobrze, gdyby polityk, a nie sędzia, objął to stanowisko. A tak naprawdę chodziło o Arka.

Skoro już o pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana – tak, to już w tym tygodniu zostanie powołana Rada Ochrony Zdrowia. Jesteśmy podekscytowani. Zdrowie nam się co prawda nie poprawi, ale zawsze będzie o czym pisać.

Mamy problem. Ten problem nazywa się dysonans poznawczy. Zawsze myśleliśmy, że prawdziwi Europejczycy – to znaczy posiadający poglądy normalne, europejskie – pracujący w zagranicznym koncernie mają się jak pączki w masle. A tu nagle okazuje się, że w TVN „większość ludzi pracuje na śmieciówkach, niektórzy zarabiają połowę tego, co kasjerka w Biedronce”. Tak powiedzieli portalowi Wirtualnedia.pl sami pracownicy TVN. Zastanawiamy się, kto może nam wyjaśnić ten fenomen. Może Leszek Balcerowicz?

Apropos Balcerowicza. Wyrwał się przed szereg pewien poseł PeŁo – niejaki Aziewicz – i oświadczył, że jeśli Platforma wygra, to zrobi drugi plan Balcerowicza. Nie wiemy, co o tym myśleć. Czy

PeŁo zapowiada, że będzie zamykać PGR-y, zwiększyć bezrobocie tudzież ubóstwo najmniej zarabiających oraz obetnie zero z banknotów w ramach denominacji? Na szczęście zrobienie Kiszczaka wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych jest już niemożliwe z przyczyn obiektywnych.

Mecenasowi zwanemu Koniem gratulujemy skuteczności. Żeby wyrwać z rąk włoskiej prokuratury obciążające go kwity, uruchomił nie tylko swojego watykańskiego stryja, lecz także całą masę polityków, którzy na wyprzódki wobec Włochów wystawiali mu świadectwa moralności, zapewniając, że jest czysty jak łąka i prześladowany przez kaczystowski reżim. Listy wystawili mu m.in. senator Marcin Bosacki i Lech Bolek Wałęsa. Nas najbardziej ubawiło świadectwo moralności wystawione przez oskarżonego Stanisława Gawłowskiego. Włosi nie sprawdzali, kto zacz. W tym państwie tytuł senatora zawsze budził respekt. Nawet jeśli to koń Kaliguli.

Archanioł Gabriel. Do tej pory pod opieką miał m.in. dyplomatów, filatelistów, łącznościowców, pocztowców oraz radio i telewizję. Jakby tego nie było dosyć, dojdzie mu do opieki jeszcze jedna niesfor-na gromadka. Na 15-lecie CBA ma zostać ogłoszony patronem tej zacnej służby.

Apropos patronów. Mało kto wie, że do pewnego momentu jednym z patronów Omara, czyli tego miglanca z Syrii, który nabrał tefaueny na opowiastkę, że był ofiarą reżimu Al-Asada, miała być Kancelaria Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Kiedy wydawało się jeszcze, że Omar mówi prawdę, kancelaria szykowała pomoc na pełną skalę. Na szczęście pojawili się w niej smutni panowie ze stosownych służb i powiedzieli, że sprawa jest śmierzcząca.

Omar, jak wiecie, okazał się podejrzanym gościem, w którego przeszłości nic nie pasuje do niczego, nie wiadomo, jak się naprawdę nazywa, a w dodatku tłucze żonę (Niebieska karta). Jak się dowiadujemy, został też przemycony przez dziennikarzy przez granicę syryjsko-turecką. Bardzo chcielibyśmy zobaczyć rozliczenie zbiórki publicznej prowadzonej na ten cel. Szczególnie chętnie zapozналиbyśmy się z rubryką „Inne koszty: łapówka na granicy”. ©©

dwaj g panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ratujmy klasę średnią!

Trudno nie zauważyć, że dzisiaj, oprócz kryzysu gospodarczego, mamy do czynienia z wielkimi wyzwaniami stojącymi przed klasą średnią. Teraz jak nigdy potrzebujemy konkretnych i zdecydowanych działań. Bez sił politycznych, które postawią na budowę i wsparcie klasy średniej, nie mamy szans na sprawnie działające państwo.

Czym właściwie jest klasa średnia? W każdym zdrowym, stabilnym, demokratycznym społeczeństwie to grupa obywateli, która powinna stanowić najszerszą i najważniejszą jego część. Klasę średnią stanowią liderzy w takich obszarach jak: wykształcenie, gospodarka, majątek, poczucie odpowiedzialności społecznej i wysoka moralność. To grupa społeczna, która pobudza do wszelkich działań, motywuje i przy tym jest ostoją stabilności prawidłowego systemu. To ona sprzyja politycznej stabilizacji i gwarantuje sprawne funkcjonowanie demokracji, jest także kołem zamachowym postępu ekonomicznego i rozwoju gospodarczego. Nie ma więc przesady w stwierdzeniu, że trzeba chuchać i dmuchać na jej powstające załączki.

Od ponad roku w wyniku pandemii obserwujemy radykalne osłabianie tej grupy, która stopniowo zatracić może zdolność do pełnienia roli „rady nadzorczej”, skutecznie kontrolującej państwo oraz swoich przedstawicieli. Wyraźny spadek dochodów małych i średnich przedsiębiorców, zmniejszenie poczucia stabilności i bezpieczeństwa spowodowane wprowadzaniem restrykcji kończącymi się zamknięciem gospodarki, na pewno nie pomagają w budowaniu, a nawet utrzymaniu klasy średniej. Narodowa kwarantanna zamyka praktycznie cały mały biznes, równocześnie pozostawiając otwarte sklepy należące do wielkich, głównie zagranicznych sieci handlowych (meblowe, spożywcze itp.).

To błędna droga, niezgodna zresztą z ogłoszoną przez premiera pod koniec listopada strategią wychodzenia

z restrykcyjnych ograniczeń. Według tej strategii przy obecnej liczbie zakażeń cała Polska powinna być w tzw. żółtej strefie i wówczas większość biznesów z zachowaniem regulacji sanitarnych mogłaby funkcjonować. Brak konsekwentnej i jasnej strategii powoduje ogromną frustrację i obawy o przyszłość.

Co powinniśmy zrobić, aby zatrzymać niszczenie klasy średniej? To dzisiaj priorytetowe pytanie, nad którym powinni pochylić się decydenci. Po pierwsze, nie wolno dopuścić do upadku sektora MŚP. To właśnie mali i średni przedsiębiorcy muszą w dobie obecnej pandemii mieć pewność zachowania miejsc pracy oraz płynności finansowej. Należy również stymulować konsumpcję, nawet jeśli przez pewien czas opierałaby się ona na rozbudowanych świadczeniach socjalnych. Równocześnie bardzo ważne, jak nigdy dotąd, są sprawnie prowadzone, duże inwestycje infrastrukturalne. Mamy nową ustawę o Prawie zamówień publicznych i wykorzystując ten potencjał, musimy niezwłocznie umożliwić udział w tym wielkim rynku (ponad 200 mld zł rocznie!) znacznie większej liczbie polskich przedsiębiorstw. Dlatego trzeba mądrze kierować strumienie finansowe w krajowej gospodarce. Obok siły państwa musi być budowana siła nabywczą obywateli oraz siła polskich firm.

W momencie kryzysu warto ponownie pomyśleć o wszystkich utrudnieniach, z którymi od lat zmagają się przedsiębiorcy. Niejasne i zmienne przepisy powinny być jak najbardziej klarowne oraz przestrzegane przez aparat państwowy. Oczywiście to truizm, ale może teraz jest w końcu czas, aby przystąpić do narodowej debaty nad jakością prowadzenia w Polsce biznesu. Równie ważna jest budowana przez media narracja. Trzeba uświadamiać społeczeństwu, że mali i średni przedsiębiorcy wchodzący w skład klasy średniej są podstawowym filarem stabilnego państwa, a nie jedynie szkodnikiem



Piotr Hofman

szukającym szybkiego i łatwego zysku. Należy położyć nacisk, aby pozytywna definicja sektora MŚP była na jak najwyższym poziomie. Sektor MŚP to nasze rodzinne firmy, powstałe z ciężkiej pracy jej właścicieli. To one zapewniają najwięcej miejsc pracy w gospodarce i wytworzyły w 2019 r. prawie 75 proc. krajowego PKB.

Spójrzmy na drugi koniec Europy. Jak wynika z badań madryckiego Uniwersytetu Alcalá de Henares, po pierwszej fali koronawirusa stwierdzono, iż odsetek osób z klasy średniej obniżył się do poziomu 58 proc. hiszpańskiego społeczeństwa, taki notowany był w latach 90. W Polsce klasa średnia dopiero się tworzy. Definiujemy, czym tak naprawdę ma być, jaka jest jej rola w społeczeństwie i jakie musi posiadać przymioty, aby ją spełniać. Przed epidemią mieliśmy bardzo dobre wskaźniki gospodarcze, co oznacza, że bogacąc się, powoli zaczęliśmy doganiać zachodnie społeczeństwa. Strona finansowa to jednak niejedyny aspekt i wyróżnik klasy średniej, ale oczywiście jeden z istotnych. Poza tym to właśnie odpowiedzialność i solidarność społeczna oraz zapewnienie stabilizacji w polityce są cechami tej grupy. Dlatego tak ważne jest, aby w obecnej, trudnej sytuacji planować dalekosiężnie i wykorzystać ten moment do wprowadzenia zmian, które przyczynią się do zbudowania trwałego fundamentu pod polską, stabilną klasę średnią. Światowy kryzys pokazał, że społeczeństwa, w których funkcjonuje ona prawidłowo, są zawsze mniej narażone na różnego rodzaju wstrząsy, a przez to dużo bezpieczniejsze.

Sorosyzacja Ameryki



Kamala Harris, obecnie nowa wiceprezydent USA, podczas parady równości w San Francisco (Kalifornia), 30 lipca 2019 r. FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES



Wojciech Golonka

Nowa administracja USA ramię w ramię ze strategicznym sojusznikiem w postaci firm Big Tech wysadzi ramy istniejącej cywilizacji. Proces dekonstrukcji tożsamości zachodniego świata właśnie wchodzi z hukiem w nowy etap

W trakcie kompletowania składu rządu Joe Bidena – na początku grudnia ubiegłego roku – pojawiła się informacja, że Patrick Gaspard, były dyrektor gabinetu prezydenta Baracka Obamy, zamierza powrócić do polityki i ubiega się o tekę sekretarza pracy w administracji nowego prezydenta. Sensacją przede wszystkim wzbudziło to, że ten zasłużony już działacz Partii Demokratycznej zrezygnował właśnie z funkcji prezesa znanej sieci fundacji George’a Sorosa – Open Society Foundations. Wiadomość ta z jednej strony chwilowo przypominała o symbiozie, która onegdaj panowała między agendą amerykańskiego miliarder a Białym Domem, z drugiej rodziła pytanie, czy zmiana władzy w USA oznacza ponowną sorosyzację polityki prezydenckiej. Warto tu przypomnieć, że to właśnie wizerunek George’a Sorosa, obok ówczesnej szefowej rezerwy federalnej Janet Yellen, figurował w jednym z głośniejszych klipów wyborczych Donalda Trumpa z 2016 r., przedstawiony akurat jako symbol największego zagrożenia dla amerykańskiego rynku pracy. Przy czym, podczas gdy 74-letnia Yellen, córka polskich Żydów, została już desygnowana na stanowisko przyszłego sekretarza skarbu w administracji Joe Bidena, teka pracy, zamiast pupilowi Obamy i Sorosa, przypadła Marty’emu Walshowi, bliskiemu współpracownikowi Bidena.

FILANTROPIA POLITYCZNIE ZAANGAZOWANA

Trudno jednak zakładać, że Gaspard, stosunkowo młody, bo dopiero 54-letni polityk, zdolny i ambitny (odpowiedzialny za zwycięską kampanię reelekcji Obamy w 2012 r.), nie zostanie prędzej czy

później odpowiednio zagospodarowany w administracji Bidena. Być może tymczasowa cisza wokół jego osoby wynika z przyjętej wcześniej strategii wizerunkowej. W czasie kampanii prezydenckiej obóz demokratów i wspierające go media starannie wyciszały wątki potencjalnych związków demokratów z Sorosem, a plotka, jakoby skrajnie lewicowa senator Kamala Harris, kandydująca u boku Bidena na urząd wiceprezydenta USA, została wytypowana do tej roli przez samego Sorosa, była szczególnie dementowana.

Rzeczywiście postać George’a Sorosa była znacznie mniej obecna niż w poprzedniej kampanii, w przeciwieństwie do jego pieniędzy. Jak informuje monitorujący dotacje wyborcze portal [opensecrets.org](https://www.opensecrets.org), w 2020 r. fundusz inwestycyjny Soros Fund Management wsparł wyborczo demokratów niebagatelną kwotą przeszło 3 mln dol. Co więcej, fundusz ten, który w latach 1990–2014 wspierał kandydatów niebieskiej partii datkami oscylującymi na poziomie 200–600 tys. dol. w danym roku wyborczym, w 2016 r. przeznaczył nagle na komitety wyborcze demokratów aż 2,4 mln dol., a w 2018 r., przy okazji samych wyborów uzupełniających do Kongresu (które w USA mają miejsce co dwa lata), kwotę miliona dolarów – a to właśnie wówczas republikanie utracili większość w Kongresie. Trumpa należało nie dopuścić do Białego Domu, a gdy to się nie udało, politycznie sparaliżować i za wszelką cenę odsunąć od władzy, mnożąc, jeśli trzeba, dotychczasowe dotacje wyborcze. Dodatkowo w latach 2019–2020 Soros wsparł super fundusz wyborczy – „Democracy PAC” łączną darowizną 5,8 mln dol. Orientacja polityczna tego funduszu jest znamieną: zasilili on kwotą 2,5 mln dol. „aborcyjny” fundusz wyborczy „Planned Parenthood Votes”, który z kolei na promowanie proaborcyjnych kandydatów demokratów wydał 6 mln dol., a na wizerunkowe zwalczanie republikańskich proliferów – 5 mln.

Tymczasem, choć spekulant-filantrop nie szczędził finansowego dopingu, zastrzyk jego sporych pieniędzy był jedynie promilem w morzu całego budżetu demokratów. Joe Biden zebrał w tych wyborach rekordową sumę darowizn i przebił granicę miliarda dolarów (zgromadził ponad 225 mln dol. więcej niż komitet Trumpa). Z kolei w ubiegłorocznym roku wyborczym we wszystkie kampanie zainwestowano w USA łącznie aż 14 mld dol., czyli dwa razy więcej niż w 2016 r., co

doskonale odzwierciedla krytyczne napięcie towarzyszące ostatnim amerykańskim wyborom. Zresztą odłak na początku roku 2010 wyroki sądowe usankcjonowały omijanie limitów darowizn wyborczych poprzez tzw. superkomitety wyborcze (super-PAC), pojawiają się głosy komentatorów, że w Ameryce wybierane urzędy można po prostu „kupić”, a raczej obsadzić, odpowiednio dotując swojego kandydata. Pod tym względem inwestycje gigantów Big Tech w ubiegłorocznych wyborach w USA wielokrotnie przekroczyły i tak już pokąsną Sorosową mamonę.

Nie tylko George Soros żyje spekulacją polityczną. Nie wspominając o bezcennej przysłudze filtrowania informacji, największy fundusz wyborczy wśród firm Big Tech utworzył związany z Google holding Alphabet, osiągający kwotę 21 mln dol., z której 80 proc. zasiłło kandydatów z partii demokratów (ponad 3,5 mln dol. poszło na samego Joe Bidena). Fundusz Microsoftu i jego pracowników wyniósł 17 mln dol., z czego trzy czwarte wsparły

**Podczas kampanii
prezydenckiej szczególnie
wycisaną plotką była ta,
że Harris na urząd
wiceprezydenta wytypował
sam Soros**

demokratów; Amazon wyłożył 8,9 mln dol., znów w większości przekazanych demokratom, choć w przypadku tegoż na tle innych miał miejsce najwyższy odsetek wsparcia republikańskich kandydatów do Kongresu w wysokości niecałego miliona dolarów (jest rzeczą znaną, że duże firmy w USA finansują kandydatów obu stron, choć nie o przypadkowym profilu i – jak widać – w zupełnie nierównej mierze). Facebook dorzucił skromne 6 mln dol. – czyli dwa razy tyle co fundusz Sorosa – z czego ponownie 80 proc. zasililo demokratów. Chociaż zdaje się, że sam Mark Zuckerberg osobiście nie wyłożył pieniędzy na komitety wyborcze – jak donosi portal [Observer](https://www.observer.com), wraz z żoną wsparł on lokalne samorządy drobną kwotą 400 mln dol. na pokrycie części kosztów organizacji wyborów. Darowizna przeszło pół miliarda dolarów na samorządową obsługę wyborów, których uczciwość kontestowało trzy czwarte

■ wyborców Donalda Trumpa... Jakże hojny i z pewnością zupełnie bezinteresowny gest miliarda!

KOMPLEKS BOGA W PRAKTYCE

Kwoty te, a zwłaszcza ta ostatnia, zwalają z nóg. Najwyraźniej George'owi Sorosowi, który w 2017 r. przekazał aż 18 mld dol. darowizny swym fundacjom na rzecz społeczeństwa otwartego, wyrosła filantropijna konkurencja, a w rzeczywistości sojusznicy kopiący zasadniczo do tej samej branki politycznej i światopoglądowej. W tej sztafecie miliarderów zasilonej świeżą krwią bywają oczywiście tarcia zespołowe czy ojcowskie upomnienia, tak jak wtedy, gdy np. w lutym zeszłego roku Soros teatralnie zarzucał Zuckerbergowi rzekome wspieranie reelekcji Trumpa poprzez umożliwianie na Facebooku zamieszczania reklam politycznych. Ostatecznie wszyscy biegną do tej samej mety, liberalno-lewicowej agendy globalistycznej, i niewykluczone, że są pobudzani tą samą, quasi-religijną siłą napędową.

Powszechnie mówi się, że światopogląd polityczno-społeczny Sorosa ukształtowała myśl Karla Poppera, wyrażona w jego dziele „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie”, jednak sam miliarder podkreślił, że jej założenia są w zasadzie natury ideologiczno-religijnej: „Jak wykazał filozof Karl Popper, ostateczna prawda jest nieosiągalna nawet w nauce. Wszystkie teorie podlegają próbom, a proces zastępowania starych teorii lepszymi nie ma końca. Wiara odgrywa istotną rolę w społeczeństwie otwartym. Ściśle mówiąc, ponieważ nasze rozumienie jest niedoskonałe, nie możemy opierać naszych decyzji na samej wiedzy. Potrzebujemy polegać na wierzeniach, religijnych bądź innych, które pomogą nam podejmować decyzje” (felieton w „The Independent” z 2 listopada 2004 r. pt. „Why I have campaigned across America to put John Kerry in the White House”). Filantropi chcący kształtować świat na swój obraz i podobieństwo są więc co najmniej prorokami bliżej niewyjawionej nam religii, przy czym ich wiara rodzi w nich jeszcze bardziej ambitną megalomanię. Już dekadę wcześniej, na łamach tej samej gazety, Soros deklarował: „To pewnego rodzaju choroba, gdy czujesz się jak jakiś bóg, stwórca wszystkiego; jednak czuję się swobodnie od czasu, gdy zacząłem tym żyć” („The Independent”, 3 czerwca 1993 r.). Wielce możliwe, że na podobny egoteizm, którym słynął także Neron, cierpią również inni zacni filantropi z silikonowego olimpu,

roszczący sobie prawo rozstrzygania, co dobre, a co złe dla ludzkości, wedle nowego dekalogu ślepego progresizmu, a których troska o czystość doktryny i wiary ucisza niedowiarków i odstępców skuteczniej niż inkwizycja rzymska i hiszpańska razem wzięte. Trzeba przyznać, że przy całym swym irytującym i zgubnym narcyzmie Donald Trump nigdy nie wpadł na pomysł, aby od nowa porządkować rzekomo złe stworzony i niesprawiedliwie ułożony przez Pana Boga świat.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT

Prawdą jest, że choć Trump w przeszłości straszył wyborców widmem Sorosa, to sam antagonizm między oboma panami, jak najbardziej rzeczywisty, bywa niedostatecznie niuansowany. Owszem, polityczny nacjonalizm byłego prezydenta, hasło „America First”, ograniczona i kontrolowana imigracja, protekcyjizm gospodarczy są zupełnie niekompatybilne z Sorosową globalną

Światopoglądowa agenda Sorosa przyjęła się do tego stopnia, że nie potrzebuje on oddelegowywać swoich pionków do Białego Domu

agendą. Realne działania pro-life czy pozbawione kompleksów odwoływanie się do chrześcijańskiej tożsamości Zachodu i Ameryki to także istotne elementy, nie do pogodzenia z promowanym przez Sorosa „Kościołem otwartym”, pozbawionym wyraźnej, właściwej dla „Ecclesia militans” tożsamości. Jednak już w kwestii propagandy LGBT administracja Trumpa okazała się co najwyżej hamulcem zbyt awangardowych, za bardzo jaskrawo oderwanych od zdrowego rozsądku wątków, jak np. polityki transpłciowej równości Obamy. Z drugiej strony to właśnie za prezydentury Donalda Trumpa Polska, jak nigdy dotąd, była publicznie upokarzana przez przedstawicielkę Waszyngtonu za jej rzekomą zaściankową odrębność w kwestii rzekomych praw LGBT, co potwierdzało, że polecenie wspierania tęczyowej rewolucji w świecie, wydane ambasadorom USA jeszcze przez administrację Obamy, wciąż obowiązuje w amerykańskiej dyplomacji. A przecież to właśnie narzuca-

nie innym jedyne słuszne sposoby myślenia jest kwintesencją „społeczeństwa otwartego”, jak to onegdaj świetnie podsumował na łamach „Do Rzeczy” prof. Legutko: „Gdy już wszyscy będą mówili, myśleli i pisali tak samo, będziemy mieli otwartość absolutną”.

Mimo tej istotnej niespójności administracji Trumpa, która mogła sobie oszczędzić tęczyowe grillowanie sprzymierzonych chrześcijańskich narodów (tym bardziej że nie pozwala sobie na wychowywanie fundamentalistycznych Saudów), czas pokaże, czy – nie daj Boże – w przyszłości jeszcze zatęsknimy za moralizatorstwem Georgette Mosbacher. Joe Biden zapowiada bowiem całkowite zwolnienie hamulców zaciągniętych przez swego poprzednika. Jego administracja z dumą informuje, że ma gotowe dekrety do wdrożenia w pierwszych dniach nowej prezydentury: rozpoczęcie procedury powrotu do porozumienia paryskiego w zakresie polityki emisji gazów cieplarnianych, zniesienie zakazu przyjazdu do USA z krajów wcześniej wykluczonych przez Trumpa z powodów bezpieczeństwa narodowego, likwidację zapór migracyjnych do USA. Jednak przede wszystkim zapowiada kolejną rewolucję światopoglądową, nie wspominając o skasowaniu dokonanych działań pro-life. Od zaraz.

„Washington Post” donosi, że „agenda LGBT” Bidena ma potencjał uczynić go najbardziej prorównościowym prezydentem w historii. Jako prezydent elekt oznajmił zresztą, że „transpłciowa równość jest wiodącą kwestią praw obywatelskich naszych czasów. Nie ma miejsca na kompromis, gdy idzie o podstawowe prawa człowieka”. O jakie prawa? O np. święte prawo wyboru ustępu wedle kreatywnego postrzegania własnej płci, niezależnie od jej obiektywnej rzeczywistości biologicznej, o prawo do startu w zawodach sportowych w kategorii swej preferencji płciowej, o prawo do zmiany płci od najwcześniejszych lat, o prawo do odsiadki wyroku wedle subiektywnej tożsamości płciowej (cudowne w przypadku gwałcieli, którzy poczuć się nagle kobietami, nieprawdaż?), o prawa reprodukcyjne, prawa wychowawcze i wszystko, co można na siłę nagiąć, uciekając od biologicznej rzeczywistości i przyrodzonego porządku rzeczy. A żeby nie było wątpliwości, że Joe z Kamalą na poważanie podchodzą do tematu, transpłciowa doktor Rachel Levine (w przeszłości – Richard Levine,



George Soros miał się zainspirować Karlem Popperem i uznać, że wszystko, nawet prawda naukowa, ulega ciągłym przemianom FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

ojciec dwojga dzieci) została właśnie desygnowana na sekretarza zdrowia.

Całą tę postępową agendę Bidena, ponoć umiarkowanego centrysty, „Los Angeles Times” podsumował: „Make America California Again” (Uczynić Amerykę ponownie jak Kalifornię). I bynajmniej nie chodzi o prosperującą onegdaj Kalifornię pod rządami gubernatora Regana, ale o stan skolonizowany ideologią radykalnej lewicy, który wysłał do Waszyngtonu perły progresizmu pokroju pikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi czy byłej senator, obecnie wiceprezydent, Kamali Harris.

MISTRZ MARIONETEK NA ZASŁUŻONEJ EMERYTURZE

Światopoglądowa agenda George’a Sorosa przyjęła się w dyskursie politycznym do tego stopnia, że nie potrzebuje on oddelegowywać swoich pionków do Białego Domu. Lewica na świecie zwietrzyła polityczny kapitał w rzekomym ucisku wszelkiego rodzaju mniejszości, na które trzeba otworzyć społeczeństwo, czyli wysadzić ramy dotychczasowego, i tak już mocno nadwyrężonego, porządku cywilizacyjnego. O to w zupełności zadba nowa administra-

cja, ramię w ramię ze strategicznym sojusznikiem w postaci firm Big Tech, dla których globalny świat zatamizowanych, pozbawionych naturalnych więzów, korzeni, a przez to wyraźnej tożsamości jednostek, zarazem skrajnie przesiąkniętych hedonizmem, jest doskonałym rynkiem zbytu proponowanych usług. „Panem et circenses” równie skutecznie zastąpi dziś „gender & consumption”, doprawione satysfakcją z dbania o zielony ład i kult mateczki Ziemi, alias Pachamamy. Bo przecież nawet Watykan kopie, po części, do tej samej bramki co zasłużony na placu boju George. Czyż sekretariat stanu nie uczestniczy co chwila w działaniach zmierzających do przyznania wszystkim migrantom praw właściwych uchodźcom? Czyż Radio Watykańskie nie obwieszcza, że każdy człowiek ma prawo wybrać sobie takie miejsce do życia na ziemi, które mu odpowiada?

W Brukseli też Soros nie ma co narzekać. Jego agenda spotyka się z niezmiernie życzliwym zrozumieniem komisarzy i sporej frakcji parlamentarzystów i realnie przekłada się na prowadzoną (wbrew traktatom) szeroko rozumianą światopoglądową politykę Unii. Do tego stopnia, że Soros zyskał onegdaj przezwisko Puppet Master

(Mistrz Marionetek). Z kolei Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, odpowiednio zwasalizowany przez wychowanków Sorosowych fundacji, czuwa nad „otwartą” interpretacją praw człowieka, rozumianych w oderwaniu od wszelkich granic przyrodzonych, antropologicznych i narodowych (patrz: świeży kazus poddania naszego rodaka eutanazji w Wielkiej Brytanii).

No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z nami? Po pierwsze, progresizm nie zna umiaru. Jak twierdzi sam pomysłodawca, powstawanie gatunku „homo Soros” będzie trwać dopóty, dopóki można poprawiać dotychczasowe modele funkcjonowania społecznego i znosić pozostające wciąż granice. A czyż takimi nie są np. naturalne więzi rodziców z ich dziećmi czy własność prywatna? Przesada? W końcu „proces zastępowania starych teorii lepszymi nie ma końca”, a cóż szkodzi kolejnym bogom troszkę pokusperymentować przy uszczęśliwianiu ludzkości? I choć nie można sprowadzać całej polityki, a zwłaszcza amerykańskiej geopolityki do ideologicznej spuścizny miliardera filantropa, a przez to przepowiadać dokładnego bilansu korzyści i strat dla Polski ze zmian w Ameryce, to trudno nie stwierdzić, że proces dekonstrukcji tożsamości zachodniego świata właśnie wchodzi z hukiem w nowy etap.

Myśleniu inaczej niż obowiązująca dokoła już dawno przypisano znamiona nietolerancji i faszyzmu, następnie nienawiści, obecnie już zbrodni. Myśłozbrodni. Prorocy nowego, wspaniałego świata właśnie dali pokaz swej mocy. Po prezydencie Trumpie zostało zero decybeli, zero bajtów. Cyfrowe, bezkrwawe unicestwienie. Możemy się łudzić, że problem nas nie dotyczy, a przynajmniej nie na tę chwilę. Dotyczy od lat, a względny pluralistyczny rozejm właśnie dobiegł końca. Wiemy doskonale, że postchrześcijański zachodni świat nie pozostanie neutralny. Będzie otwarciem nietolerancji, otwarciem antychrześcijański, otwarciem antywolnościowy – już taki jest. Czego dokładnie nie wiemy, to ile w tym świecie i na jakich warunkach pozostanie autonomii dla odstępców. Nowe obozy w Niemczech, zakładane pod pretekstem COVID-19, dobrze nie wróżą. Jeśli na tym etapie antycywilizacyjnego dryfu pozostała jeszcze przestrzeń na jakąś rzeczywistość, a nie czysto deklaracyjną samoobronę, to właśnie wybił ostatni dzwonek na inteligentne działania i skuteczną światopoglądową kontrofensywę. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z przewodniczącym węgierskiego parlamentu László Kövérem

rozmawia Robert Zawadzki

ROBERT ZAWADZKI: Od kiedy trwają ataki na węgierski rząd?

LÁSZLÓ KÖVÉR: W momencie powstania drugiego rządu Viktora Orbána w 2010 r. (w latach 1998–2002 też mieliśmy jako premiera Viktora Orbána) natychmiast uruchomiono nagonkę z różnych stron. Ustawa medialna, później przyjęcie konstytucji. Szczególnie dotyczyło się to ustawy zasadniczej. Żadna unijna instytucja nie ma kompetencji wtrącania się do tego, ale na podstawie rzekomych wartości oceniono i skrytykowano poczynania węgierskiego rządu. Później krytykowano reformę wymiaru sprawiedliwości. Dla polskiego widza to są znane tematy, ponieważ gdy PiS objął rządy, to ten sam proces uruchomiono wobec Polski. Czynili to ci, którzy systematycznie naruszają prawa europejskie.

Jeżeli Unia Europejska ma jakiegokolwiek problemy w kwestii praworządności, to myślę, że tamtych jest mocniejsza gama w porównaniu z tymi, które posłużyły do ataków na Polskę i Węgry. Mowa cały czas o tym samym – finansach. Od objęcia funkcji przewodniczącego Komisji Europejskiej przez Jeana-Claude'a Junckera otwarcie podejmowane są działania służące temu, aby centralne instytucje unijne, biurokrację brukselską umiejscowić powyżej suwerenności państw członkowskich i podporządkować je tak jak w scentralizowanym imperium.

Unia Europejska dąży do ograniczenia kompetencji państw członkowskich?

Toczy się taka podstępna centralizacja. Podstępna próba zmiany traktatu, w ramach którego wstąpiliśmy do UE w 2004 r. Tam stosunkowo jasno są opisane kompetencje, właściwości subsydiarności, to jest bardzo istotna zasada obowiązująca między instytucjami a państwami członkowskimi. Obserwujemy działania – nieprzypadkowo połączyłem je z nazwiskiem pana Junckera – aby utworzyć superzrząd, który czuwa tylko nad praworządnością. Panu Junckerowi to nie wystarczyło i on otwarcie to pokazywał. Już w sprawie spitzenkandidat [główny kandydat – przyp. red.] ta cała dyskusja wywołała problem.



FOT. MARTIN DIVERSE/EPAP

Siła pieniędzy Sorosa

Nie wiem, czy w Polsce pamiętacie tę dyskusję. Traktaty europejskie jej nie przetrwały, ponieważ przewodniczącego Komisji Europejskiej nie wybiera się przez Radę Europejską, czyli przez przywódców poszczególnych rządów. Któż to wymyślił? Chyba Niemcy, dlatego się nazywa spitzenkandidat. Europejskie rodziny partyjne mają wysunąć swojego kandydata i jeżeli dana rodzina partyjna wygrywa wybory, to staje się on automatycznym kandydatem na przewodniczącego KE.

Wtedy wyczuwaliśmy to niebezpieczeństwo. Kilka państw wysuwało swoje zastrzeżenia. W końcu na ringu zostali tylko ówczesny premier Wielkiej Brytanii David Cameron oraz premier Węgier Viktor Orbán i w zasadzie na siłę przeprowadzono proces wyboru kandydata. Teraz chcieli zrobić to samo, co udało się różnymi manewrami taktycznymi uniemożliwić – właśnie dlatego przewodniczącym Komisji Europejskiej nie został m.in. Manfred Weber. Ursula von der Leyen została wybrana określną drogą, ale jednak zgodnie z duchem i tekstem pierwotnego traktatu. To jest jednak tylko ilustracja tego, że każdy niemal ruch, tę walkę można zaobserwować między instytucjami i parlamentem, a także w europejskim sądzie, który nie jest tak niezawisły, jaki powinien być. Oni żyją w symbiozie z Komisją Europejską. Pracują nad tym, żeby zmniejszyć czy wręcz skreślić suwerenność państw członkowskich i, tak jak wspominałem, zamiast współpracy równoprawnych członkowskich państw chcą stworzyć pewnego rodzaju równorzędne landy centralnie sterowane.

W pana ocenie trwa budowa światowego superpaństwa?

Rozszerzmy perspektywę. Mówiliśmy o sprawie europejskiej, o tym konflikcie między Brukselą a państwami członkowskimi. W rzeczywistości jest to część walki geopolitycznej. Dzisiaj już w świecie, w gospodarce światowej, powstały takie siły finansowe, których wpływy, pieniądze, podległe im media i politycy daleko wykraczają poza możliwości czy władzę europejskiego państwa. W istocie rzeczy warto mówić nie o imperium ogółośeuropejskim, tylko o takim wirtualnym, zachodnim, transatlantyckim, które jest w trakcie budowy. Stany Zjednoczone jako państwo narodowe też są ofiarą takich nacisków ze strony skorumpowanej elity politycznej.

Szczególnie wyraźnie widać to w nowożytnym świecie, kiedy nie ma już nawet

ograniczeń językowych, ponieważ angielski jest wiodący. Minione 30 lat spędziłem w polityce węgierskiej i obserwowałem proces, w którym opozycja staje się coraz gorsza. Dzięki nam nawet bardzo nie lubiani postkomunistyczni lewacy też potrafili myśleć o interesie narodowym. Dzisiejsza opozycja lewicowa jest słaba intelektualnie i moralnie. W wielkim skrócie mówiąc, stała się narzędziem w tym globalnym planie Sorosa.

Nie chcę oceniać polskiej polityki wewnętrznej, więc pozostajmy przy tym: jako członek Europejskiej Partii Ludowej pozwolę sobie powiedzieć, że PO miała piękniejsze dni niż dziś. Czuje, że Platforma Obywatelska w istotnym stopniu poszła w stronę lewicową, liberalną, niestety wywołując te same konflikty w Polsce, które my prowadzimy z opozycją na Węgrzech.

Czy gra toczy się o suwerenność europejskich krajów?

Zdecydowanie tak. W okresie poprzedzającym powstanie UE pojawiła się wizja powołania Stanów Zjednoczonych Europy. Wtedy to nie odpowiadało ani Francuzom, ani innym narodom. I chociaż w niektórych kręgach inteligentnych, kręgach wolnomularskich, pojawiły się takie propozycje, to nie starczyło im siły, by coś takiego powołać.

Konserwatywna prawica i centroprawica nie zauważyły, jak wolnomularze wpływają na poszczególne sfery życia, życie duchowe i wiedzę. Prawicowi dziennikarze na przykład wypadli z mediów, są cenzurowani. Jak wygląda zachodnia prasa, kiedy Zachód obwinia nas o naruszanie wolności słowa? Gazet jest bardzo dużo, ale wszyscy mówią to samo, tak jak za komuny w Polsce czy na Węgrzech. Później myśli te wyszły z murów uniwersyteckich. Dzisiaj w Niemczech profesorowie na uczelniach jawnie mówią, że za swoje poglądy i wartości muszą cierpieć, czują się represjonowani, tak jak swego czasu inaczej myślący w krajach komunistycznych. W wymiarze sprawiedliwości obserwujemy takie same problemy – mamy spuściznę postkomunistyczną. A w Europie Zachodniej? Kulejący wymiar sprawiedliwości we Włoszech nazywa się czerwonymi togami. Mówię na przykład o sposobie postępowania wobec Salviniiego w kwestii uchodźców.

Dzisiaj walczymy o sferę polityki. To ostatni obszar. Nasze narodowe demokratyczne rządy to ostatni bastion

w tym interesie, abyśmy uniemożliwili przekroczenie granicy, zza której już nie będzie powrotu. Jeżeli w nadchodzących dziesięcioleciach, w nadchodzących wyborach, nie utrzymamy narodowych rządów w Europie Środkowej, to nie wykluczam, że zanim nasze dzieci dorosną do naszego wieku, Europa już będzie czwartym imperium, gdzie nie będzie miało znaczenia, że są państwa członkowskie, kultury narodowe. Czujemy, że w obszarze kultury też spróbują pewnego rodzaju samoidentyfikacji. Będą próbować wyniszczyć tożsamość czy to dzięki masowej imigracji, czy promocji gender. Dzisiaj już nie tylko nasze kościoły i narody są atakowane. Nasza tożsamość też jest atakowana.

W jaki sposób George Soros wpływa na instytucje UE i europejskie społeczeństwa?

Pieniądz to najważniejszy element władzy. Do wojny są potrzebne trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze, pieniądze. Niestety ta zasada obowiązuje nie tylko w biznesie, lecz także w polityce. Soros jest symbolem, jest ważną postacią, to nie ulega wątpliwości. Tylko w minionym roku wydał poprzez swoje fundacje 32 mld dol., aby wprowadzić wizję otwartego społeczeństwa, która w mojej ocenie jest równa utopii komunizmu i która spowoduje tyle samo cierpień.

Aby propagować tę wizję, po prostu kupił polityków. Wydał 32 mld dol. na kupno grup wpływów, ale to jest tylko symboliczna postać. Firmy już dzisiaj jawnie stosują cenzurę, czego nie robią państwa, bo to byłoby sprzeczne z praworządnością. No więc oni jednoznacznie prą w jednym kierunku. Wielonarodowościowe korporacje mówią swoim pracownikom, jak mają się zachowywać, że mają obowiązek pójść na paradę równości, jeśli chcą utrzymać miejsca pracy.

Oni dysponują taką siłą, której nam, państwom i demokratycznie wybranym rządów, trudno się przeciwstawić. Dlatego powinniśmy chronić każdą literę, paragraf przewidywany w traktatach, żeby nie pozwolić na ani jeden krok do tyłu. Na razie widać, że ludzie w Polsce, Czechach i na Węgrzech opowiadają się za nami. Jednak poprzez tych kupionych ludzi, dzień po dniu, zwolennicy Sorosa próbują rozszerzyć swoje wpływy w mediach, w wymiarze sprawiedliwości, wśród skorumpowanych polityków. Ta orkiestra gra na wielu instrumentach.



Piotr Semka

Czy prawa strona odejdzie z wielkich mediów Big Tech? I czy tak naprawdę ma dokąd?

Szok wywołany zablokowaniem kont prezydenta Donalda Trumpa na Facebooka i Twitterze spowodował po prawej stronie wstrząs. Jedną decyzją zburzono zaufanie do największych zachodnich mediów społecznościowych. Jedni emocjonalnie zadeklarowali natychmiastowe przejście na kojarzoną z prawą stroną sieci Parlera, inni reklamowali Gaba. W te nastroje wzburzenia wcelował się nowo powstały serwis Albicla lansowany przez Tomasza Sakiewicza.

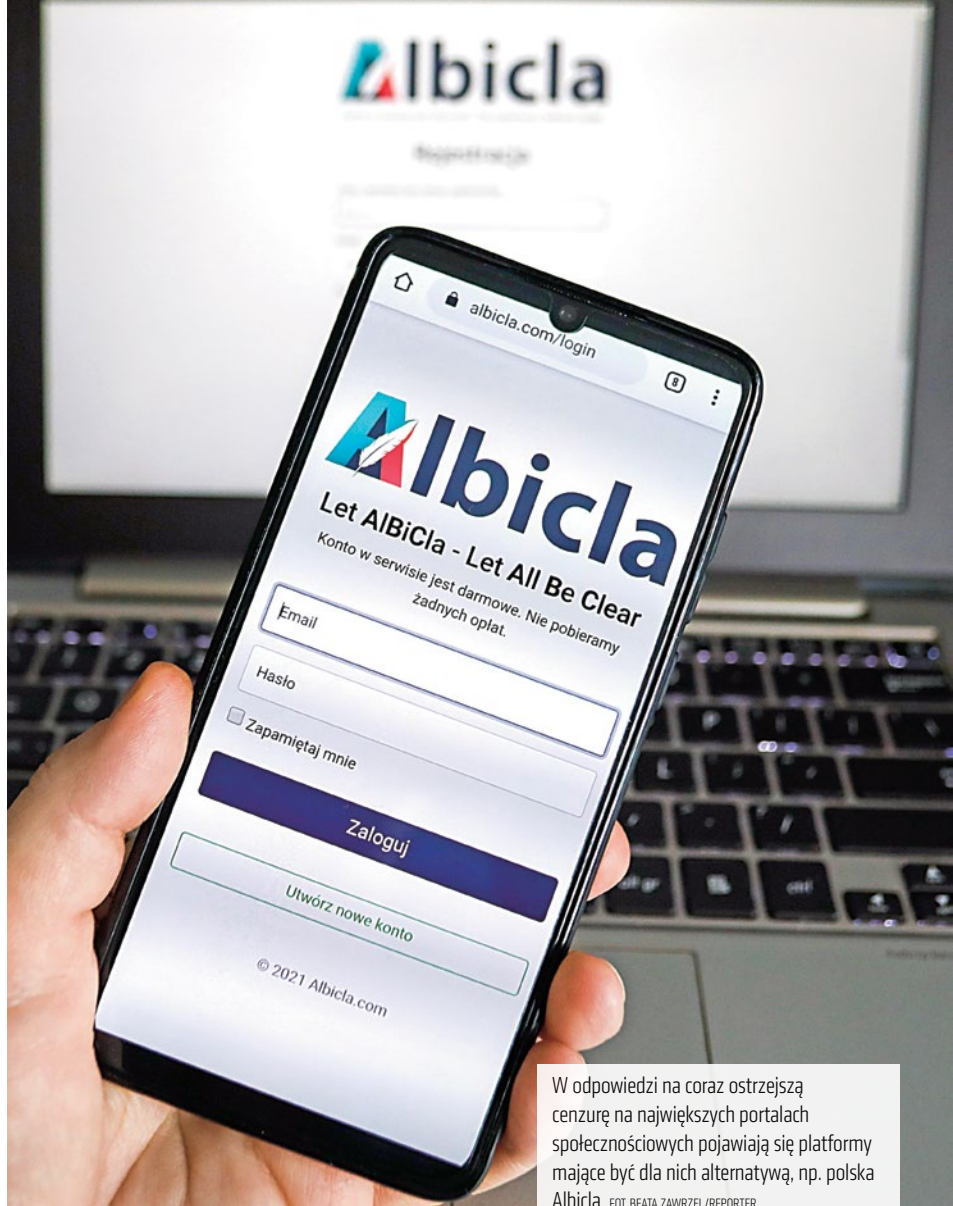
Dość egzotycznie brzmiąca nazwa Albicla to – jak wyjaśniają twórcy portalu – skrót od nazwy „Albus Aquila”, po łacinie „Orzeł Biały”. Nazwa dość trudna do wymówienia i zapamiętania jak na masowy serwis.

Media związane ze Strefą Wolnego Słowa Tomasza Sakiewicza dość energicznie włączyły się do reklamy „polskiej odpowiedzi na Facebooka”. Ogłoszono, że swoje konto na Albicli założyli m.in. prezydent Andrzej Duda, Antoni Macierewicz, Ryszard Czarnecki oraz czołowi publicyści „Gazety Polskiej”. Łączną liczbę osób, które złożyły wniosek o rejestrację konta, Sakiewicz ocenia na 100 tys.

SAMI KONTRA ŚWIAT

Szybko pojawiły się jednak słowa krytyki. Nie tylko ze strony mediów pro-opozycyjnych, które od początku kwaśno pisały o nowym serwisie, lecz także z ust użytkowników z prawej strony. Jeden z prawicowych blogerów pisał: „Serwis nie został przygotowany od strony technicznej. Liczne braki w zabezpieczeniach serwisu, np. już trzykrotnie »nieznanym sprawcom« udało się wykraść dane dostępowe do bazy danych. [...] Śmiem twierdzić, że serwis powstał »na kolanie«, bez biznesplanu”.

Sakiewicz odpowiadał na krytykę tak: „Tak jak wspominałem, nie wszystkie funkcjonalności są od razu gotowe, bo chcieliśmy uruchomić portal w ostatniej godzinie rządów lidera wolnego świata. Od nas teraz zależy, czy ten świat będzie dalej wolny, szczególnie w internecie. Tak jak się spodziewaliśmy, przeżywamy niebywałe ataki hakerów i trolli internetowych.



W odpowiedzi na coraz ostrzejszą cenzurę na największych portalach społecznościowych pojawiają się platformy mające być dla nich alternatywą, np. polska Albicla. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

W krainie utraconego zaufania

Próbują nam przeszkadzać, jak się da, ale to świadczy też o naszej sile”.

Wiele w tym z ulubionej tonacji Sakiewicza – „sami kontra świat” – ale nie wyjaśniło to, ile kłopotów to wynik ataków niechętnych prawicy hakerów, a ile „frycowe” płacone za porwanie się na niezwykle wymagające technologicznie medium.

Istotny był też inny dylemat. Czy założeniem Albicli jest skupienie na

swych stronach zwolenników prawicy czy swoistego Hyde Parku, gdzie żaden reprezentant jakichkolwiek, w tym lewicowych, poglądów nie zostanie zbanowany.

Rafał Otoka-Frąckiewicz, dziennikarz zajmujący się mediami, zastanawia się, czy autorzy Albicli zadali sobie pytanie o skalę kosztów związaną z nowym przedsięwzięciem. „Mało kto sobie zdaje sprawę, jak gigantyczne są koszty działania Twittera,

Amazona, Google czy Facebooka. Trzeba opłacać całe farmy serwerów, prąd, specjalne systemy chłodzenia, informatyków z najwyższej półki. To wszystko kosztuje krocie. Kogo stać na wydawanie milionów dolarów? Niewiele.”

LEPSZY ZNANY WRÓG

Deklaracji „odchodzę z firm-cenzorów” było w pierwszych dniach po zbanowaniu Trumpa sporo. Wymieniano się informacjami, jak zarejestrować się na Parlerze czy Gabie. Potem nastroje się uspokoiły.

Dlaczego trudno odejść? Jeden z najbardziej znanych prawicowych influencerów wyjaśnia: „Na Twitterze mam 170 tys. odbiorców i nie chcę tej grupy dobrowolnie tracić wskutek zbyt pospieszonej decyzji. My z prawej strony winniśmy być jak Święty Paweł, który szedł między pogany i nawracał ich na ich agorach. [...] Nie ma sensu zamykać się w swoim gronie, bo pojedynek na idee ma sens tylko wtedy, gdy jest kontrreakcja”.

Podobne dylematy: „Odejść czy zostać?” mają konserwatyści w USA. Lidia Jóskowicz, polska twitterowiczka z Wisconsin, twierdzi: „U nas też pierwszą reakcją po zablokowaniu Trumpa były wezwania do masowego przechodzenia na Parlera i Gaba. W pierwszych dniach po 6 stycznia z mojego konta na Twitterze przechodziło dziennie na Gaba po 200–300 osób. Potem to się zatrzymało. Na dodatek Parler został sparaliżowany poprzez wrogie działania ze strony Google, Amazona i Apple. Na Gabie zakładano sobie konta »na wszelki wypadek«, ale na codzienne dyskusje wracali na Twitter. [...] różnice jakości wciąż widać”.

Pewną rolę w powstrzymywaniu od odchodzenia z największych mediów społecznościowych odgrywa też niechęć do spełniania marzeń lewicy – schodzenia przez trumpistów do prawicowego podziemia. Pesymiści komentują: lepiej zejść do undergroundu w sposób zorganizowany, niż dać się wypchnąć z wrogich mediów za pół roku czy za rok.

Jeszcze inni pocieszają się, że po zbanowaniu Trumpa media spod znaku Big Tech zastanowią się parę razy, zanim zdecydują się na poszerzenie skali cenzury. „Szef Twittera Jack Dorsey już wyraził opinię, że źle się stało. Akcje jego firmy spadły po zbanowaniu Trumpa na giełdzie o 7 proc.” – wskazuje Lidia Jóskowicz. „Na zdrowy rozum powinno to ich otrzeźwić, ale jak będzie dalej – nie wiadomo”.

Na rzecz Twittera i Facebooka gra jeszcze jeden czynnik. Jest niezbędny dla tych,

którzy chcą być szybko i dobrze poinformowani. Dziennikarz TVP Info mówi: „Po prostu nie mogą sobie pozwolić na uniesienie się honorem i opuszczenie Twittera, bo to medium, które najszybciej informuje o nowych wydarzeniach”. Inny dziennikarz z prawicowego tygodnika wskazuje: „Nie sposób być naraz w dwóch czy trzech mediach społecznościowych. Nie jest łatwo pisać ten sam post raz na Twittera, a potem na Albicę. Trzeba wybierać i decyduje masowość. Z tego punktu widzenia Parler czy Gab to banki opinii ludzi o podobnych poglądach, chcących się utwierdzać w swej wizji świata. Pewnie, że wybrałbym inne medium społecznościowe, gdyby było silne. Mówiąc obrazowo – zmieniałbym Coca-Colę na jakąś Pepsi, ale już nie na oranżadę. Na razie widzę tylko kruche, słabe i mające ciągle awarie alternatywy”.

ZAKAZAĆ CZY KONTROLOWAĆ?

Wahania w kwestii wyboru nowej drogi widoczne są i w obozie liberalno-lewicowym. Dobrym przykładem tych rozterek jest wywiad, który włoski lewicowy dziennik „La Repubblica” przeprowadził z liberalnym badaczem mediów, informatykiem Ethanem Zuckermanem, byłym dyrektorem MIT Center for Civic Media.

Wyraża on satysfakcję z akcji cenzurowania sieci z „nienawiści”, ale też obawia się, że rugowane poglądy trumpistów zejść do podziemia (pogląd, że trumpizm to synonim mowy nienawiści, jest już w liberalnej prasie amerykańskiej uważany za coś oczywistego).

Zuckerman twierdzi: „Podążanie tą samą drogą, czyli budowania kordonu sanitarnego niedopuszczającego do przemocowej retoryki, oznaczać będzie nieustanne ataki ze strony prawicy. W tej sytuacji z cienia wyjdą platformy alt-tech, czyli »technologię alternatywną« wobec mediów mainstreamowych, wykorzystywane przez radykalną prawicę. Mam na myśli takie strony i portale społecznościowe jak: Parler, Gab, MeWee czy Rumble. [...] Nie poddają się one żadnym regulacjom, a pretekstem niesionym na sztandarach jest absolutna wolność słowa i jej obrona. Prawicowa ekstrema ma szansę stworzyć nowy ośrodek, który będzie się przeciwstawiał tradycyjnym mediom społecznościowym, na tej samej zasadzie, na której prasa prawicowa przeciwstawia się liberalnej, z równie spolaryzowanymi stanowiskami, między którymi nie będzie żadnej komunikacji”.

Wypowiedzi Zuckermana pokazują schizofrenię obozu postępu. Z jednej strony

nie może się on powstrzymać od usuwania z Twittera i Facebooka poglądów, których nie akceptuje, a z drugiej obawia się, że prawica zamknie się w swojej bańce i nie da się jej kontrolować.

Wszystkiemu służy proces powolnego uznawania, że np. samo wyrażanie poglądu, iż ostatnie wybory w USA były nierzetelne, jest przestępstwem przeciw państwu, które wymaga ścigania. Adwokat Garreta Millera, jednego z demon-strantów, którzy wdarli się 6 stycznia na Kapitol, ogłosił niedawno, że linię obrony chce oprzeć na twierdzeniu, iż jego klient uległ kultowi lidera, jaki uprawiał na Twitterze Donald Trump. Wina Millera miałaby polegać na tym, że uwierzył w kłamliwe twierdzenia Trumpa o ukradzeniu wyborców. Adwokat podkreśla szanse na reedukację Garreta Millera, której dobrym początkiem ma być odcięcie byłego prezydenta od mediów społecznościowych. Z kolei na Florydzie FBI w ramach walki z „domestic terrorism” aresztowało influencera Douglasa Mackeya, oskarżając go m.in. o to, że w 2016 r. rozsyłał mema uznanego za szerzenie dezinformacji zagrażającej „obywatelskiemu prawu do udziału w głosowaniu”.

Tweety sprzed lat mogą więc dziś być rozpatrywane jako dowód na ekstremistyczną działalność. Bardzo łatwo będzie definiować stare posty jako mowę nienawiści, potwierdzającą zamiar zaatakowania wartości konstytucyjnych Ameryki. Ilu z mieszkańców USA kasuje teraz stare wpisy?

Tak czy inaczej, dawny świat mediów społecznościowych z jego nieco anarchicznym luzem i swobodą wypowiedzi umarł wraz z zablokowaniem Trumpa. Miliony użytkowników trzymają się Facebooka i Twittera, bo na razie ingerencje są niewielkie i punktowe. W każdej chwili może być jednak inaczej. A zaufanie traci się raz. I co więcej, same przejście na Parlera, Gaba czy Albicę niewiele musi zmieniać. Je także przecież można cenzurować lub zamykać. A w razie trwania PiS u władzy Polskę zawsze można ukarać sankcjami za „nieskuteczną walkę z mową nienawiści”.

O tym, co jest tą mową, nie będzie decydować prawica. Pod tym względem praktyka działania administracji Joe Bidena w USA w kwestii wolności słowa będzie wzorem dla lewicy i pseudoliberalów-zamordystów w Europie.



się treści, które wcale polskiego prawa nie naruszają. Przeglądając się propozycjom rozwiązania problemu sformułowanym przez Unię Europejską i widząc sposoby działania odpowiednich organów w innych krajach, zdecydowaliśmy się, by w Polsce tak delikatną kwestią jak wolność słowa nie zajmował się organ działający jednoosobowo, ale kolegiálně.

To konieczne?

Do tego zmierza cały świat. Skończył się czas, w którym media społecznościowe żyły jak gdyby obok państw i obok prawodawstwa. Dzisiaj i państwa, i wielkie korporacje rozumieją, że nadszedł moment uregulowania ich funkcjonowania. Tak było w historii ze wszystkimi nowymi technologiami – z telefonią, najpierw stacjonarną, potem komórkową, z radiem i telewizją, ale też np. z motoryzacją. Z czasem bowiem okazywało się, że konieczna jest prawna ochrona konsumentów przed działaniami korporacji monopolizujących nowy rynek usług czy towarów.

Według jakiego mechanizmu ma działać rada?

Jeśli dany serwis dokona ingerencji w treści zamieszczone przez użytkownika, to będzie on mógł zgłosić tę sprawę do rady, która oceni, czy dane treści naruszyły polskie prawo. To jest nasze kryterium, nie regulaminy korporacji, nie anonimowi moderatorzy czy nawet boty zaprogramowane do selekcji treści. Działamy tu zresztą zgodnie z wytycznymi, jakie sformułowała Komisja Europejska. Komisja zaleca ustanowienie instytucji państwa służących ochronie obywateli i debaty publicznej.

Czy decyzje rady będą miały charakter administracyjny, czy będą to postępowania sądowe?

Rada będzie rozpatrywała skargi użytkowników w terminie siedmiu dni, w trybie administracyjnym będzie mogła nakazać przywrócenie treści czy odblokowanie konta. Postępowanie będzie prowadzone w formie elektronicznej, która zapewni sprawność działania. Niewykonanie przez serwis decyzji rady będzie skutkowało nałożeniem kary, która może wynosić od 50 tys. do nawet 50 mln zł. Wykonanie decyzji rady będzie w świetle prawa obowiązkiem nałożonym na właścicieli serwisów. To, co proponujemy na poziomie mechanizmów, odzwierciedla rozwiązania stosowane w Niemczech czy we Francji i także jest rekomendowane

Przeciw ryzyku cenzury



Z wiceministrem sprawiedliwości Sebastianem Kaletą

rozmawia Tomasz Rowiński

TOMASZ ROWIŃSKI: Jak pan ocenia dziś sytuację związaną z cenzurą w mediach społecznościowych?

SEBASTIAN KALETA: Kiedy zaczynaliśmy pracę nad ustawą regulującą działanie mediów społecznościowych, uważaliśmy, że mamy do czynienia z ryzykiem zaistnienia cenzury, dziś po ukończeniu prac widzimy, że coraz częściej to ryzyko staje się faktem. Przekonują nas o tym choćby wydarzenia ostatniego czasu, gdy doszło do zablokowania kon-

ta społecznościowego Donalda Trumpa. Cenzura, jak widać, może dotknąć każdego. Jest jasne, że polskie państwo i polskie społeczeństwo potrzebują narzędzi, które sprawią, iż media społecznościowe będą działały w ramach polskiego prawa.

Głównym takim narzędziem ma być Rada Wolności Słowa?

Konieczne są regulacje i instytucje je realizujące, dzięki czemu zostaną zabezpieczone prawa polskich obywateli. Dlatego proponujemy powołanie organu administracji publicznej, który będzie miał kompetencje, by nakazać danemu portalowi przywrócenie zablokowanych treści, jeśli nie naruszają one polskiego prawa. Na tym polega zauważalna dziś cenzura, że blokuje

przez Komisję Europejską. Jest jasne, że to właśnie odpowiednio wysokie kary finansowe egzekwowane na drodze administracyjnej są instrumentem zapewniającym skuteczność działania organów takich jak Rada Wolności Słowa. Takie są doświadczenia krajów, gdzie regulacja funkcjonowania mediów społecznościowych już nastąpiła.

Nie obawia się pan, że globalne korporacje medialne będą starały się lekceważyć prawo?

W Niemczech podobna ustawa działa już trzy lata, a media społecznościowe się jej podporządkowały. Oczywiście można powiedzieć, że Niemcy to okrzepła demokracja, a także silne państwo. Jednak nie tak dawno Turcja dosłownie przekopowała rozwiązania niemieckie i w tym przypadku korporacje także dostosowały się do nowej sytuacji. Dla wszystkich jest jasne, że media społecznościowe będą musiały funkcjonować w nowych warunkach i kolejne kraje zaczną wyznaczać swoich przedstawicieli reprezentujących obywateli w relacjach z nimi. Kiedy rozmawiamy, dopiero co ministerstwo sprawiedliwości Węgier, a dokładnie pani minister Judith Varga ogłosiła, że także jej kraj jest bliski wprowadzenia własnych regulacji. Również Komisja Europejska przygotowuje rozporządzenie w tej sprawie. Prace idą w tym kierunku, by każde państwo samodzielnie rozstrzygało sprawy z zakresu wolności słowa. Można zatem powiedzieć, że Polska jest dziś w czołówce państw podejmujących wysiłki ochrony praw swoich obywateli przed ekspansywnością korporacji medialnych. Można powiedzieć więcej – jesteśmy pionierami, jeśli chodzi o ochronę słowa, bo przepisy francuskie czy niemieckie kładą nacisk na usuwanie treści. My zresztą jako Ministerstwo Sprawiedliwości w tych pracach na poziomie unijnym rekomendujemy, żeby w opublikowanym rozporządzeniu znalazło się stwierdzenie mówiące, że media społecznościowe powinny wyznaczać w każdym państwie przedstawiciela, który wykonywałby rozstrzygnięcia podejmowane przez organy państwa w tym kraju. Jeśli mówimy o skuteczności, to uważamy taki przepis za potrzebny.

Właściciele mediów społecznościowych nie są pana zdaniem zainteresowani konfliktowaniem się z państwami?

Nie chcę tego tak oceniać. Na pewno wielkie korporacje internetowe zdają

sobie sprawę, że okres nieuregulowanej działalności się kończy. Nie tylko dlatego, że państwa widzą pojawiające się zagrożenia, lecz także dlatego, że użytkownicy, obywatele oczekują większej ochrony swojej obecności w tych mediach. Tym mediom może być zresztą na rękę, by państwa wzięły na siebie odpowiedzialność za to, co jest dozwolone do publikacji, a co nie. Media społecznościowe są narzędziem komunikacji, a nawet uprawiania polityki. Światowa dyskusja nad problemem pozwała postawić tezę, że niedługo wielkie korporacje będą traktowane jako właściciele infrastruktury do komunikowania, ale to państwo stanowić będzie prawo i oceniać, jak z tej infrastruktury można korzystać. Media społecznościowe błyskawicznie przekazują informację, ale też kłamstwa. Kto za to ostatecznie odpowiada? Dlatego zresztą kwestia wolności słowa, którą podnosimy, jest zapewne dopiero początkiem procesu uregulowania tego rynku. Niewątpliwie mieliśmy w ostatnich czasach do czynienia z pewnego rodzaju kulminacją problemów, jakie wywołuje rosnąca władza operatorów mediów społecznościowych, teraz przyszedł moment reakcji.

Czy ministerstwo nie spodziewa się politycznych trudności ze strony państw, w których wywodzą się portale społecznościowe, czyli przede wszystkim Stanów Zjednoczonych i Chin?

Oczywiście pewne konflikty trwają, choćby ten pomiędzy Google a Unią Europejską dotyczący praw autorskich i udostępniania dóbr kultury w aplikacjach tego giganta. Niemniej to pokazuje, że trudności, o których pan wspomina, pojawiają się przede wszystkim na tle rzeczywistych interesów ekonomicznych. Nasza propozycja nie uderza w te interesy, przeciwnie, przywraca ład, w którym wiele popularnych treści będzie znów mogło pojawiać się w mediach społecznościowych, a do tej pory były blokowane przez korporacyjnych administratorów. W polskim przypadku możemy wręcz mówić o odbudowie renomy mediów społecznościowych, która w ostatnich czasach znacznie podupadła. Państwo musi w jasny sposób stawać po stronie obywateli i brać pod uwagę przede wszystkim ich interesy. Korporacje muszą wiedzieć, że mogą prowadzić swoją działalność biznesową, ale promowanie przez nie określonych agend politycznych będzie ograniczane,

jeśli oznaczać one będą brak poszanowania dla praw obywatelskich Polaków.

Jak rozumiem, ważnym elementem pomagającym uniknąć politycznych nacisków jest współpraca w ramach Unii?

Tak jak w ostatnich czasach trudno było mi powiedzieć cokolwiek dobrego o działaniach Brukseli, tak w tym przypadku widzimy zdecydowanie dobrą stronę rzeczywistości unijnej. Sens UE najlepiej realizuje się wtedy, gdy skupia się ona na zabezpieczaniu wspólnoty gospodarczej, a także ochronie interesów państw członkowskich. To właśnie się dzieje w tym przypadku. Unia może pomóc we wzmocnieniu pozycji negocjacyjnej państw naszego kontynentu, może pomóc w kwestii ochrony danych osobowych czy w kontroli nad serwerami poszczególnych korporacji medialnych. Jednocześnie rozwiązania dotyczące wolności słowa, ograniczania treści nielegalnych oraz ochrony legalnych muszą zostać w gestii państw, w tym zakresie Unia kompetencji nie posiada. I tak, jak się zdaje, będzie to realizowane w sprawie, o której rozmawiamy.

Czy rzeczywiście nie razie tylko Polska skupia się na kwestii wolności słowa?

Dotychczasowe ustawy w innych krajach skupiały się na przyznawaniu swoim instytucjom prawa do kasowania pewnych treści. Nie ma jak na razie ustawy, która dawałaby możliwość przywracania treści. Ustawa francuska ma jeden przepis, który mówi, że powinna być droga odwoławcza w przypadku usunięcia treści. Niemiecka nowelizacja ustawy, nad którą trwają prace, jest opisywana jako narzędzie do walki z prawnym ekstremizmem, ale pojawi się tam też droga odwoławcza. Usunięcie treści przez ministra sprawiedliwości jest tam możliwe dopiero po stwierdzeniu przez sąd, że łamie ona prawo. My idziemy inną drogą, nie będziemy usuwać treści, ale organ odpowiedzialny będzie mógł ją przywrócić, jeśli nie będzie dochodziło do złamania prawa. Jednocześnie będzie można złożyć pozew, np. w sprawie naruszenia dóbr osobistych, i operator mediów społecznościowych będzie zobowiązany do przekazania informacji o osobie prowadzącej dane konto. Jest to szczególnie ważne w sytuacjach anonimowo prowadzonego hejtu. Jednocześnie podkreślam, że to początek zapewne dłuższego procesu optymalizacji regulacji tego sektora rynku.



Marcin Makowski

Bez życzeń od Donalda Tuska, za to w cieniu politycznych transferów do konkurencji. Platforma Obywatelska, nawet według jej założycieli, jest partią, która przeżywa kryzys tożsamości

Donald Tusk – obok Andrzeja Olechowskiego oraz Macieja Płażyńskiego – 24 stycznia 2001 r. w gdańskiej hali Olivia ogłaszał budowę nowego ruchu obywatelskiego, powstałego na gruzach AWS i Unii Wolności. Dwie dekady później, choć ruch przerodził się w partię, a Tusk – po dziś dzień – jest jej twarzą, nie zdecydował się na choćby słowo komentarza. Nie było zagrzewania do walki ani zwyczajowego „Sto lat” dla Platformy Obywatelskiej. Jego pełne opinii na każdy temat konto na Twitterze zamilkło. „Donald Tusk jest aktywny w mediach, rozmawia z wieloma ludźmi, dzwoni, natomiast w niedzielę nic nie napisał. Byłem tym zdziwiony, ale taka jest jego decyzja. Widać, uznał, że być może ściąganie to na niego negatywną uwagę” – stwierdził rozgoryczony Tomasz Siemoniak w RFM FM. Tylko komu i czego życzyć, skoro partia nie zorganizowała nawet symbolicznej uroczystości, jakby zawstydzona własną kondycją – zafiksowana na teraźniejszości, wewnętrznych rozliczeniach i trwaniu? „Urodzin nie było, bo 90 proc. założycieli PO mogłoby na taką imprezę nie przyjść” – przyznał w rozmowie z „Super Expressem” prezydent Aleksander Kwaśniewski.

Na pewno podobnego dylematu nie miałyby Joanna Mucha, która na zwołanej naprędce konferencji sejmowej, cztery dni przed 20-leciem partii, ogłosiła swój transfer do Polski 2050 Szymona Hołowni. Minister sportu w rządzie Tuska, z Platformą związana od 17 lat, uznała, że ten statek dalej nie popłynie. W tournée medialnym, w którym dokładnie tłumaczyła motywacje, usłyszeliśmy, że PO nie umie wykorzystać swojego potencjału, głos na Borysa Budkę jako nowego przewodniczącego, który miał tchnąć w struktury nowe życie, okazał się zmarnowany, a sama

Kryzys na 20-lecie Platformy



Platforma „straciła umiejętność wygrania”.

A to przecież na ludziach takich jak Mucha – zaliczanych do frakcji „młodych” – partia miała odbudować swój potencjał. Do tego grona zaliczali się jeszcze: Rafał Trzaskowski, Sławomir Nitras, Agnieszka Pomaska, Cezary Tomczyk, Piotr Celiński i Artur Gierada. Wszyscy oni spotykali się okazjonalnie na lampce wina, snując wizję nowego otwarcia. Nie od dzisiaj jednak wiadomo, że młodego wina nie wlewa się do starych bukłaków.

– Rozumiem decyzję Joanny. Każdy, kto chciał robić w partii coś więcej, trafił na szklany sufit. Dlaczego, choć sama się do tego rwała, nie mogła przywrócić do życia naszego think tanku, Instytutu Obywatelskiego? Od dawna stał odłogiem, ale nawet ten odcinek odbierano przez kierownictwo jako próbę budowania własnego zaplecza. I mamy tego efekty, kolejne po Jacku Buryim odejście – mówi „Do Rzeczy” jeden z posłów Koalicji Obywatelskiej. Podobnego zdania jest Ireneusz Raś, prominentna postać PO z Małopolski. „Odejście Joanny Muchy uwydatniło pewien proces. Za Tuska to

do nas przychodzili kolejni politycy, to my zapraszaliśmy do PO. Za Schetyny nikt do nas nie przychodził, ale wokół siebie gromadziliśmy mniejszych koalicjantów i zbudowaliśmy Koalicję Obywatelską. Teraz mamy pierwsze odejścia i to nasi politycy są zapraszani gdzieś indziej. Z zapraszających zmieniliśmy się w zapraszanych” – przyznał w rozmowie z Interią.

KRYZYS TOŻSAMOŚCI I PRZYWÓDZTWA

Problem, którego dotknął Raś, jest znacznie głębszy niż tylko personalia. Dotyczy być może największego od początku istnienia kryzysu tożsamości partii, która zaczynała od konserwatywnych manifestów ideowych, obiecując obronę „tradycyjnego modelu rodziny”, następnie osiadła w przestrzeni postpolitycznej „cieplej wody w kranie”, aby skończyć jako sojusznik Strajku Kobiet na pół gwizdka. PO nie jest bowiem partią polaryzacji, taką jak PiS, który w zwarcu światopoglądowym po jakimś czasie zyskuje albo utrzymuje poparcie. Jedyną rzeczą, za którą ugrupowanie



FOT. MICHAŁ DYDUK FORUM

kierowane przez Borysa Budkę umiało się radykalnie opowiedzieć, było bycie antytezą PiS. Gdy do agendy tematów społeczno-politycznych doszły koronawirus oraz kwestia aborcji, tożsamośćowa bezkształtność, która sprawdzała się w czasach prosperity, okazała się systemową słabością. Wystarczy zapytać kogokolwiek z kierownictwa partii o stosunek do przerywania ciąży, aby usłyszeć trwającą kilka minut litanię wykrętów oraz zaśłaniania się bon motami w stylu: „Pozwólmmy kobietom decydować”.

Gdy właśnie taką odpowiedź w TVN24 usłyszał na początku stycznia Piotr Kraśko, zdenerwowany rzucił Budce: – Skoro kobiety mają pisać za was prawo, po co jesteście w Sejmie?

Nie inaczej wygląda kwestia „małżeństw” osób LGBT. Być może poza kilkoma politykami partii, z Rafałem Trzaskowskim na czele, nikt nie wie dokładnie, czego chce. A skoro tak, dla czego wyborcy mieliby wiedzieć? Nie jest przypadkiem, że w czasie największych protestów Strajku Kobiet notowania Koalicji Obywatelskiej spadały albo stały w miejscu. „Myślę, że w Platformie Oby-

watelskiej rzeczywiście jest kryzys. Taki ideowy. Wydaje się, że poglądy wiodących członków PO, partii i kierownictwa klubu parlamentarnego, są rozstrzelone i trudno je uzgodnić” – ocenił w TOK FM Andrzej Olechowski, były minister spraw zagranicznych i współzałożyciel formacji. Ma rację. Nowej deklaracji programowej, mającej się ukazać na 20-lecie, jak nie było, tak nie ma. Tymczasem Szymon Hołownia organizuje kolejne debaty nad rozdziałem państwa od Kościoła, codziennie przez media społecznościowe wygłaszając swoje świeckie kazania – tym samym zagospodarowując tematy dnia, które mogłyby paść narracyjnym łupem Platformy.

„Rozmawiałem z wieloma ludźmi z PO na ten temat. Nie dziwcie się, że Mucha odeszła, bo to nie ją, ale jej kolegów oglądaliście przez ostatnie lata w telewizji i głównie zajmowali się tym, żeby inni ludzie nie byli twarzą PO. Ci faceci pracowali na to, że tak wielu ludzi nie znajduje sobie miejsca w PO” – stwierdził w Onecie również były polityk Platformy, wicemarszałek Senatu Michał Kamiński. Ten ton – rezygnacji, marazmu, bezieowości – pojawia się w zaskakująco wielu wypowiedziach polityków z właściwie każdego ugrupowania w Polsce. To nastawienie jest jedynie wypadkową nastrojów elektoratu. W końcu w badaniu przeprowadzonym przez Ipsos na początku grudnia okazało się, że aż 62 proc. ankietowanych uważa, iż opozycja nie jest dzisiaj gotowa na przejęcie władzy. Idę o zakład, że przekonanie to nie bierze się z siły PiS, który w zaskakująco wielu przestrzeniach nie radzi sobie z pandemią koronawirusa.

A co, jeśli odpowiedź na kryzys tożsamości PO jest prostsza, niż nam się wydaje? Swego czasu genialny czeski pisarz Jaroslav Hašek powołał Partię Umiarowanego Postępu w Granicach Prawa. Może to, co było praktycznym żartem, Koalicja Obywatelska w obecnym kształcie postanowiła jednak potraktować serio? A gdy już to zrobiła, dodatkowo związała się toksyczną relacją symbiozy z celebrytami, która odbiła się czkawką choćby podczas skandalu ze szczepieniami poza kolejną. Dzisiaj już chyba nikt nie ma pomysłu, jak pod starą szyldem wyjść z tego kłinczu.

WIELKIE ZJEDNOCZENIE

Tymczasem kryzys jednych jest szansą dla drugich. Polityków niezadowolonych z kierunku, w którym podąża Bud-

ka, chętnie przygarnia Szymon Hołownia. Na jego liście – choć się wypierają albo nabierają wody w usta – mają być również Michał Boni, Franciszek Sterczewski oraz Tomasz Zimoch. Politycy PO wydają się mieć świadomość skali nadchodzącego tąpnięcia.

Nawet „Newsweek” odpuścił ratowanie Platformy, zamiast tego skupiając się na kolejnej reanimacji idei Wielkiego Zjednoczenia Opozycji. Aby było zabawniej, ojcem zjednoczenia – ponownie – ma zostać Donald Tusk. A przynajmniej tak to widzi Tomasz Lis w tekście okładowym „Piątka Tuska”, gdy wszystkie „ugrupowania demokratyczne” zawieszają na kołku doraźne spory, aby w końcu odsunąć Jarosława Kaczyńskiego od władzy. „Fundamentem koalicji musi być nie tylko stosunek do PiS, niechęć do obecnej władzy i sprzeciw wobec jej metod, ale wzajemny szacunek dla swych właściwości. Bukiet tworzymy, dokładając kolejne kwiaty, a nie wrywając z nich kolejne listki” – przekonywał erudycyjnie naczelny „Newsweeka”. Nieprzypadkowo przyboznym owego zwierania szeregow ma być Hołownia. „Mam nadzieję, że Joanna Mucha przesiadła się po prostu do innego wagonu w tym samym pociągu jadącym do tego samego celu” – skomentował na Twitterze Lis. Czy to nie jest idealna analogia opisująca stan, w którym znajduje się opozycja, a wraz z nią Platforma?

„Wydaje mi się, że sukces wyborczy będzie możliwy tylko i wyłącznie wówczas, kiedy opozycja wewnętrznie zrozumie, że przeciwnik jest gdzie indziej” – przekonuje Bogdan Zdrojewski. Obietnica pójścia zwartym frontem mało kogo już jednak kusi. „Szczególnie Platforma Obywatelska jest w takim okresie smuty, który trwa już od 5 lat i nie widać, żeby się kończył. Inne partie parlamentarne, Lewica i PSL, także nie notują wielkiego rozwoju. A byt Szymona Hołowni to jest zjawisko ciekawe, ale na razie wirtualne” – zastanawia się Aleksander Kwaśniewski. A wraz z nim coraz większa grupa wyborców oraz polityków.

Być może to właśnie Hołownia, choć z własnymi wewnętrznymi problemami, będzie tym, czym Platforma była dla Unii Wolności. Ostatnim epizodem dogorywającej partii. Przesiadką do pociągu jadącego w tym samym kierunku. To scenariusz z miesiąca na miesiąc coraz bardziej prawdopodobny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PiS na nowego RPO zgłosił
wiceministra spraw zagranicznych
Piotra Wawrzyka

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Pełna kontrola?



Kamila Baranowska

Telenowela z wyborem nowego rzecznika praw obywatelskich pokazuje, że PiS nie chce oddać nawet ułamka władzy w ręce kogoś, kto byłby od partii całkiem niezależny

Kadencja dotychczasowego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara zakończyła się 9 września ubiegłego roku. Od tamtej pory PiS ma problem ze wskazaniem jego następcy. Szukano długo, nie mogąc znaleźć odpowiedniego własnego kandydata

i trzykrotnie blokując wybór kandydatki opozycji.

W ostatnich dniach wybór rzecznika wszedł w nowy etap. PiS postawił na prof. Piotra Wawrzyka, wiceministra spraw zagranicznych i pośła tej formacji. Sejm, w którym PiS ma większość, bez problemu zatwierdził tę kandydaturę. Mało prawdopodobne jest jednak, by to samo uczynił Senat, w którym większość ma opozycja.

Cała historia wyboru nowego rzecznika praw obywatelskich przypomina kłopotliwą telenovelę – przydługą, z paroma nic niewnoszącymi zwrotami akcji, nudnymi bohaterami i przewidywalnym zakończeniem. Dlaczego PiS funduje sobie i nam wszystkim ten dziwaczny serial? I czy można było rozegrać to inaczej?

PRZEDŁUŻENIE DLA BODNARA

Od początku partia rządząca zachowywała się tak, jakby została zaskoczona

końcem kadencji Adama Bodnara. Było naprawdę sporo czasu, by pomyśleć nad tym, kto sensowny mógłby go zastąpić. I spróbować wokół takiej kandydatury zbudować szersze poparcie, by uniknąć blokady w Senacie. O ile porozumienie z Koalicją Obywatelską czy Lewicą byłoby pewnie niemożliwe, o tyle można było spróbować dogadać się np. z PSL czy Konfederacją. Te dwie partie zgłosiły zresztą ostatecznie wspólnego kandydata (Roberta Gwiazdowskiego z Centrum Adama Smitha), który przepadł w głosowaniu.

Tymczasem wyglądało to tak, jakby wrzesień zaskoczył PiS. Wraz z końcem kadencji Adama Bodnara okazało się, że jedyną zgłoszoną kandydatką na to stanowisko jest wysunięta przez Koalicję Obywatelską i Lewicę Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, która wcześniej pracowała u Bodnara w biurze rzecznika. Dwa razy

odwoływano zaplanowane głosowania nad jej kandydaturą, dwa razy Sejm głosami PiS odrzucał jej kandydaturę, choć nie miał żadnego innego kontrkandydata. Nie wyglądało to poważnie.

Jednak największy paradoks całej tej sytuacji polega na tym, że wskutek działań PiS Adam Bodnar, tak bardzo przez tę partię krytykowany, mógł być rzecznikiem cztery miesiące dłużej, niż przewidywała jego kadencja. I będzie nim nadal, jeśli Piotr Wawrzyk nie zostanie zatwierdzony przez Senat. A na razie cała opozycja zdaje się trzymać wspólny front w tej sprawie. – Na pewno nie uzyska naszej akceptacji, ale myślę, że mogę powiedzieć w imieniu całej opozycji, że pan minister Wawrzyk nie zostanie wybrany rzecznikiem praw obywatelskich – deklarował w Radiu TOK FM lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. – Nie ma zdolności do rozmowy w tym Sejmie. Rządzący uparcie chcą tylko i wyłącznie akolitę władzy i podporządkowaną osobę. Trudno jest znaleźć porozumienie – dodał.

Co więcej, politycy opozycji są przekonani, że nawet jeśli Senat nie poprze kandydatury Piotra Wawrzyka, to PiS znajdzie inny sposób na przejęcie instytucji RPO.

– Następny krok to zmiana ustawy, poczekają na decyzję Trybunału Konstytucyjnego i wskażą pełniące obowiązki. Pan Wawrzyk będzie zabezpieczony, PiS zadowolony – stwierdził szef klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski. Co ma konkretnie na myśli? Jeszcze przed głosowaniem w Senacie, które prawdopodobnie odbędzie się na posiedzeniu 17–19 lutego, Trybunał Konstytucyjny może zająć się wnioskiem posłów PiS o zbadanie zgodności z konstytucją przepisu pozwalającego przedłużać kadencję Rzecznika Praw Obywatelskich do czasu wyboru nowego rzecznika. Opozycja jest zdania, że jeśli wyrok Trybunału będzie po myśli posłów PiS, to może doprowadzić do usunięcia Adama Bodnara z funkcji i stać się podstawą do zmiany ustawy i wprowadzenia własnego p.o. rzecznika, bez konieczności zatwierdzania go przez parlament.

BRAK ZAUFANIA I KRÓTKA ŁAWKA

Wybór rzecznika praw obywatelskich dobrze pokazuje, że PiS ma duży problem z oddaniem choćby ułamka władzy w ręce osoby, co do której nie

ma pewności, że zawsze będzie działać zgodnie z politycznym interesem PiS. To poniekąd stanowi także odpowiedź na pytanie o coraz krótszą ławkę osób z zewnątrz, które chciałyby z PiS współpracować.

PiS już bardzo trudno znaleźć sensowną osobę spoza świata polityki, która zgodziłaby się zostać kandydatem partii na jakiegokolwiek urząd

Warto przypomnieć historię, jaka rozegrała się przy okazji wyboru nowego rzecznika praw dziecka w 2018 r. PiS zgłosił na tę funkcję dr Agnieszkę Dudzińską, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, działaczkę społeczną, była wiceprezes Państwowego Funduszu Osób Niepełnosprawnych. Podczas głosowania dr Dudzińska, ku zaskoczeniu wszystkich, nie zdobyła większości. Część posłów PiS zagłosowała przeciwko własnej kandydatce. Powodem miał być wyrwany z kontekstu cytat z jej wypowiedzi dotyczący łączenia tematu aborcji i opieki nad niepełnosprawnymi dziećmi. Jej kandydaturę PiS zgłosił ponownie, tym razem posłowie PiS zagłosowali „za”. Wydawało się, że sprawa jest przesądzona, zwłaszcza że w poprzedniej kadencji PiS miał większość także w Senacie. Tymczasem Senat, głosami senatorów PiS, zdecydował o odrzuceniu jej kandydatury. – Nie przyjmę kolejnej propozycji kandydowania na urząd Rzecznika Praw Dziecka. Okazało się, że to stanowisko polityczne – komentowała tuż po tym głosowaniu dr Dudzińska.

W PiS już po zatwierdzeniu jej kandydatury ujawniła się grupa polityków, która uznała, że dr Dudzińska jest osobą zbyt niezależną i nieprzewidywalną w decyzjach i działaniach, a zatem z punktu widzenia partii rządzącej niepewną. Przekonano do tego kierownictwo partii i w ostatniej chwili zablokowano jej wybór. Zrobiono to w najgorszy z możliwych sposobów.

Po tej historii znacznie trudniej jest znaleźć PiS sensowną osobę spoza świata polityki, która zgodziłaby się zostać

kandydatem partii na jakiegokolwiek urząd. Kto bowiem po czymś takim zaryzykuje swoją pozycję i dorobek, da przykleić sobie łatkę politycznego nominata, nie mając pewności, czy w ostatniej chwili nie zostanie wystawiony do wiatru?

NIE MA AFILIACJI, NIE MA NOMINACJI

Inna sprawa, że także w samym PiS niechętnie patrzy się na ludzi spoza partyjno-politycznej bańki. Jarosław Kaczyński otwarcie mówi zresztą, że niespecjalnie ufa bezpartyjnym fachowcom. Dlaczego? Tłumaczył to między innymi w wywiadzie dla „Do Rzeczy” na przykładzie spółek Skarbu Państwa. To samo tłumaczenie równie dobrze można odnieść do kandydatów na rozmaite urzędy, takie właśnie jak Rzecznik Praw Dziecka czy Rzecznik Praw Obywatelskich. – Pamiętam doskonale, jak w poprzedniej kadencji chcieliśmy być bardzo szlachetni i do spółek Skarbu Państwa wchodziłi ludzie bez żadnych afiliacji partyjnych, z którymi nie mieliśmy kompletnie nic wspólnego – doktorzy ekonomii i nie tylko. Szybko okazywało się, że oni natychmiast byli porywani przez zastaną tam sieć powiązań – mówił „Do Rzeczy” Jarosław Kaczyński.

Toteż pojawiające się w przestrzeni publicznej nazwiska osób, które trudno byłoby posadzić o partyjniactwo (choćby Zofia Romaszewska czy Jan Rokita), nie były nigdy w PiS poważnie rozważane. Politycy PiS bronią się głównie argumentem, że przecież rzecznikami praw obywatelskich bywali także politycy i aż do dziś nikomu to nie przeszkadzało. Faktem jest jednak, że Piotr Wawrzyk byłby pierwszym RPO, który na ten urząd przychodzi prosto z rządu. Z wykształcenia jest politologiem i prawnikiem, specjalizującym się w tematyce unijnej, wykładowcą w Instytucie Europeistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W 2018 r. zaczął pracę w MSZ w randze podsekretarza stanu. Rok później kandydował w wyborach parlamentarnych z listy PiS w okręgu kieleckim. Po wyborach znów trafił do MSZ w randze sekretarza stanu.

– Padło pytanie, wobec kogo będę lojalny. Ubiegam się o funkcję RPO, więc lojalność może być ograniczona tylko i wyłącznie do obywateli. To ich będę reprezentował – zapewniał w Sejmie. Oby tak było.



środa
21:00
premiera

Zapowiedź premiery „Stanu zagrożenia”.
Zamiast filmu TVP pokazała mecz FOT.TVP

Stan zawieszenia



Ryszard Gromadzki

20 stycznia wieczorem Program Pierwszy Telewizji Polskiej miał pokazać film dokumentalny Ewy Stankiewicz „Stan zagrożenia”, dotyczący katastrofy smoleńskiej. Zamiast filmu widzowie obejrzeli mecz piłkarski o Superpuchar Włoch

TVP po raz kolejny wycofała się z premiery filmu, tłumacząc to zastrzeżeniami natury formalno-prawnej w stosunku do materiałów wykorzystanych w produkcji. Zgłasza je Podkomisja Ministerstwa Obrony ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r. kierowana przez Antoniego Macierewicza.

W lakonicznym oświadczeniu podpisanym przez Martę Palonek, sekretarz podkomisji, które jej szef opublikował w mediach społecznościowych po odwołaniu emisji filmu przez TVP, podkreślono, że

podkomisja ani jej przewodniczący nigdy nie występowali przeciw pokazaniu filmu w telewizji publicznej czy jakimkolwiek innym medium. Jednocześnie w oświadczeniu przypomniano, że w maju ubiegłego roku podkomisja zwróciła się do producenta „Stanu zagrożenia” Roberta Kaczmarka z prośbą o niepublikowanie materiałów „będących jej własnością”, których ujawnienia prawo lotnicze zakazuje bez wiedzy sądu lub przewodniczącego podkomisji. W konkluzji oświadczenia napisano, że po dziś dzień ani autorka filmu, ani producent nie zgłosili się do

podkomisji w celu uzgodnienia publikacji tego typu materiałów.

DZIWNA GRA

Ewa Stankiewicz mówi, że nie rozumie tego, co się dzieje wokół jej filmu, ani podejmowanych przez Antoniego Macierewicza prób zablokowania emisji. Według reżyserki jest to tym bardziej niezrozumiałe, że w jej filmie ludzie pracujący w podkomisji przedstawieni są w bardzo pozytywnym świetle.

Autorka „Stanu zagrożenia” podkreśla, że na podstawie faktów i materialnych dowodów, w których posiadaniu jest Polska, można dowiedzieć, że 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem elita naszego państwa udająca się samolotem Tu-154M na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej zginęła wskutek serii eksplozji maszyny. Wszyscy pasażerowie znajdujący się na jej pokładzie zostali rozerwani nad ziemią. Dokładnie to samo mówi Antoni Macierewicz.

– To prawda, ale nie daje on Polsce narzędzia, za pomocą którego nasze państwo mogłoby podjąć kroki prawne – twierdzi reżyserka. Według Ewy Stankiewicz w sprawie katastrofy smoleńskiej szef podkomisji w żarliwy sposób mówi potrzebne rzeczy, ale nie idą z tym w parze decyzje podejmowane przez niego w zaciszu gabinetów. Reżyserka przekonuje, że próby wyeliminowania jej filmu wynikają z faktu, że nie ośmiesza on katastrofy w Smoleńsku, ale podaje źródła. – Bo Smoleńsk można ośmieszać albo upamiętniać, nic więcej – podsumowuje.

Koronny zarzut podkomisji kierowanej przez Antoniego Macierewicza wobec autorów „Stanu zagrożenia” dotyczy wykorzystania przez nich w filmie materiałów będących własnością podkomisji, bez jej zgody. Ewa Stankiewicz tłumaczy, że w filmie znalazło się wiele materiałów, które uzyskała w toku dziennikarskiego śledztwa. – Pozyskałam te materiały własnym sumptem, w większości blisko rok po katastrofie w Smoleńsku, kiedy one „chodziły” na rynku dziennikarskim. Chodzi o informacje, które powzięło państwo polskie dotyczące Smoleńska – wyjaśnia.

Reżyserka podkreśla, że zapis, który znalazł się w filmie, jest dorobkiem 10 lat rejestrowania zdarzeń związanych z dramatem w Smoleńsku. Stankiewicz stawia pytania: Kto i dlaczego wbrew dowodom materialnym, które są w posiadaniu państwa polskiego, blokuje wyjaśnienie sprawy smoleńskiej? Dlaczego w dalszym ciągu nie można o tym mówić? – Na

szczytach władzy mamy osoby, które twierdzą w rozmowach prywatnych, że to był wypadek. Powołując się na swoje źródła informacji, wbrew materialnym dowodom – przekonuje Ewa Stankiewicz.

NIKT NIE WRZESZCZAŁ

Reżyserka mówi, że ma sprzeczne sygnały co do losów swojego filmu. TVP zapowiedziała, że pokaże go w 11. rocznicę tragedii smoleńskiej. – Przeżyłam już podobną sytuację, jakieś 20 lat temu, kiedy Sławomir Zieliński zdjął z anteny mój reportaż o „taśmach Kiszczaka”. Po kolaudacji tego materiału w montażowni Zieliński zaczął potwornie wrzeszczeć. Nie na mnie, bo ja jakbym w tej sytuacji nie istniała, ale na szefa redakcji. Przypominają mi się te sceny. Ale jest postęp. Teraz nikt nie wrzeszczał – mówi dziennikarka.

Według jej relacji o wycofaniu swojego filmu z emisji dowiedziała się jako jedna z ostatnich. Jak mówi, dopiero krótko przed zapowiadaną premierą udało się jej potwierdzić tę informację w TVP.

Solidarność z Ewą Stankiewicz wyraziło Centrum Monitoringu Wolności Prasy działające przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, które zaape-

**Stankiewicz stawia pytania:
Kto i dlaczego wbrew
dowodom materialnym, które
są w posiadaniu państwa
polskiego, blokuje wyjaśnienie
sprawy smoleńskiej?**

lowało do władz telewizji publicznej o to, żeby ta pokazała „Stan zagrożenia” „w najbliższym możliwym terminie”.

MIARA SUWERENNOŚCI

Ewa Stankiewicz jest reżyserką filmową i dziennikarką o bogatym dorobku. W 2010 r. po katastrofie smoleńskiej założyła stowarzyszenie Solidarni 2010, którego działalność zorientowana jest na godne upamiętnienie ofiar dramatu pod Smoleńskiem z 10 kwietnia 2010 r. i wyjaśnienie okoliczności tej tragedii. Wspólnie z Janem Pospieszalskim wyreżyserowała trzy filmy dotyczące katastrofy smoleńskiej: „Solidarni 2010”, „Krzyż. Solidarni 2010 cz. 2” i „Lista pasażerów”. Co miesiąc przewodniczy marszowi

w hołdzie ofiarom w centrum Warszawy. Jej mąż, duński inżynier Glenn Jørgensen, do 2020 r. wchodził w skład Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem kierowanej przez Antoniego Macierewicza.

Pytana o przesłanie swojego nowego filmu, Stankiewicz mówi, że to historia smoleńskiej tragedii w pigułce, która ma pozwolić odbiorcom próbować odczytać ukryty mechanizm wydarzeń sprzed prawie 11 lat. Według reżyserki wymowę „Stanu zagrożenia” najlepiej oddają ostatnie sekwencje dokumentu, przedstawiające pasażerów wchodzących na pokład półtorej godziny przed śmiercią. W tym fragmencie filmu wybrzmiewają słowa z przemówienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego, które miał wygłosić podczas uroczystości w Katyniu. Słowa o tym, że przez całe dziesięciolecie miarą suwerenności Polski była możliwość mówienia o ofiarach zbrodni katyńskiej, zdolność mówienia o tym, kto ich zabił.

– Myślę, że teraz jest bardzo podobna sytuacja. Miara mówienia prawdy, zdolność powiedzenia, kto ich zabił. To nie jest tylko walka o film – mówi Ewa Stankiewicz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Czy wiesz?

Dobra odporność niezbędna dla skutecznego szczepienia

Oslabiony układ immunologiczny może być przyczyną, że nie rozwinię się odporność poszczepienna. Dobra odporność to też warunek bezpiecznego dotrwania do samego szczepienia. Obecnie prawie każdy reklamowany produkt jest rekomendowany na odporność. Większość z nich to preparaty zawierające witaminy i minerały ważne

dla dobrego działania układu odporności, chociaż same odporności nie pobudzają.

A który produkt tak naprawdę wzmacnia odporność? Warto sięgnąć po suplement diety **Immulina[®]+D₃**, która dostarcza **witaminę C** i **D₃** oraz mikroelementy **cynk** i **selen**, niezbędne dla dobrego działania układu odporności. **Immulina** dodatkowo dostarcza **kompleks lipopolisacharydowy ze spiruliny** oraz **β-glukan z drożdży**, które aktywują i wspierają układ odporności. Działają tym skuteczniej im słabsza jest nasza odporność, a ich skuteczność została potwierdzona badaniami w renomowanych instytucjach medycznych USA i Europy.



Immulina+D3 kosztuje w aptece ok. 50 zł. za 60 kapsułek i ok. 25 zł. za syrop dla dzieci. Phytomedica Polska: tel. 22 651 75 40, info@phytomedica.pl, http://immulina.pl



Łukasz Zboralski

Polacy znaleźli już wiele sposobów, by nie obejmowały ich restrykcje związane z pandemią koronawirusa. Oto pomysły na uniknięcie lockdownu

Szukanie luki w prawie i niestandardowe myślenie – to polskie cechy, które pozwalały nam przetrwać rozmaite polityczne reżimy i okupacje. Symbolem tego na wieki został chłop Drzymała, który przy wykorzystaniu wozu jako domu skutecznie (aczkolwiek tylko do pewnego czasu i to już w tej legendzie w symbolicznej świadomości narodowej się nie utrzymało) unikał restrykcji zaborcy dotyczących osiedlania się.

Ten nasz spryt czasem powoduje, że nie stosujemy się nawet do zasadnych norm. I jest nam trudno współdziałać. Czasem pozwala to utrzymać tzw. zdrowy rozsądek. W przypadku unikania obostrzeń pandemicznych zbiegają się chyba oba przypadki.

A – jak anarchia. To nie sposób omijania restrykcji, ale bez tej litery „alfabet oporu” byłby niekompletny. Za anarchizację odpowiada jednak władza, która wytwarza przepisy lockdownowe niezgodne z innymi przepisami oraz konstytucją – czego efekt obserwujemy już w postaci wyroków sądowych potwierdzających, że bez wprowadzenia stanu wyjątkowego nie za bardzo można Polakom zakazać działalności gospodarczej.

B – jak budowa. Właściciel stoku narciarskiego na Podkarpaciu ustawił na jego szczycie kapliczkę z figurką Matki Boskiej (w sieci opisywał, że to rzeźba sprzed 40 lat). Zaprosił do Chyrowej i na stok pod pretekstem „odwiedzania kapliczki”. Żeby wejść, należało uiścić 10 zł opłaty na „rozbudowę kapliczki”. Każdy pielgrzymujący mógł odebrać zresztą równowagę tej opłaty w restauracji lub „usługach hotelowych” (patrz N – jak narty).

H – jak handel. A konkretnie – konkretnymi artykułami. Gdy pod koniec grudnia w galeriach zamknięto wszystkie sklepy oprócz aptek i spożywczych, okazało się, że mogą działać jedynie sklepy sprzedające kosmetyki, artykuły



Alfabet oporu

toaletowe, artykuły remontowo-budowlane, gazety czy karmę dla zwierząt. Marka sklepów z dodatkami do domów – Duka – zaoferowała więc klientom nagle karmę dla psów, miski do ich karmienia, żwirki dla kotów. Dzięki temu mogła otworzyć swoje sklepy mimo zakazów. Przedstawiciele sieci oficjalnie stwierdzili, że i tak chcieli wprowadzać taki asortyment, ale lockdown tę decyzję przyspieszył.

K – jak kadra. Kiedy rząd zamknął wszystkie sportowe przybytki, pozwolił trenować jedynie zawodnikom sportowym powołanym do kadry narodowej. Tutaj najszybciej zareagował Polski Związek Pływacki. Tymczasowo (do końca stycznia) powołał do kadry narodowej wszystkich zawodników zarejestrowanych w Systemie Ewidencji Zawodników PZP. Ponieważ wszystkie kluby fitness i siłownie pozostawały zamknięte, ich właściciele zaczęli masowo podpowiadać – a czasem i pomagać – swoim dotych-

czasowym klientom, jak zdobyć licencję sportową Polskiego Związku Przeciągania Liny i wejść od razu do kadry narodowej w tym sporcie, co można było zrobić, wysyłając odpowiednie zgłoszenie. Dzięki temu Polska pochwalić się może zapewne największą na świecie kadrą narodową w przeciąganiu liny, a siłownie otworzyły się, żeby umożliwić „kadroviaczom” trenowanie.

L – jak licencja. Tam, gdzie uprawianie sportu zostało ograniczone tylko do licencjonowanych zawodników, nastąpił wzmożony popyt na licencje sportowe. Polski Związek Tenisa już na początku roku wydał dwukrotnie więcej licencji sportowych niż przez cały ubiegły rok. Zwłaszcza że dla najmłodszych dzieci licencję można uzyskać przez darmową rejestrację on-line. Darmowe były też licencje Polskiego Związku Squasha i – podobnie jak u zajmujących się przeciąganiem liny – system rejestracji nie wytrzymał nawału zgłoszeń. Masowo



Tysiące ludzi zostało kadrowiczami Polskiego Związku Przeciągania Liny i mogło ćwiczyć na zamkniętych siłowniach FOT. ADOBE STOCK

wstępują też ludzie, w obecnym sezonie zimowym, do Polskiego Związku Łyżwiarstwa Figurowego oraz do Polskiego Związku Narciarskiego (tylko niektórzy – jak była minister Jadwiga Emilewicz i jej dzieci zaniedbały tak proste zabezpieczenie jak wyrobienie sobie licencji).

N – jak narty. Przedsiębiorcy właściciele hoteli w górach tej zimy postanowili błyskawicznie się „przebranzowić”. Część z nich wszystkie swoje pokoje zamieniła w „schowki na narty”. W takich schowkach umożliwili ludziom trzymanie nart, ale też zajmowanie się ich serwisowaniem – co wiązało się z obecnością właścicieli nart. Serwisować można było sobie dowolnie długo.

O – jak odśnieżanie. Zakopane w sylwestra pełne było turystów. Hotelarze i właściciele pensjonatów na gwałt szukali bowiem pracowników do odśnieżania terenu. Jeden z pensjonatów oferował możliwość pracy na umowę o dzieło 45 osobom. W ramach pracy za „korzystną cenę” oferował pokoje dla takich pracowników.

P – jak pies. O tym, jak dobrze jest mieć psa, przekonali się wszyscy podczas wiosennego twardego lockdownu, kiedy władza na kilka tygodni kompletnie zamknęła nas w domach. Szybko okazało się, że z psem wychodzić jednak trzeba

i nie będzie to karane. Część Polaków nieposiadająca psów zaczęła wówczas korzystać z psów sąsiadów. Psom podwójne albo potrójne spacerzy były tylko na rękę czy raczej na łapę.

S – jak służbowo. Zanim w Polsce zastrzono rygor, powoli odcinano możliwość poruszania się po kraju. W pewnym momencie wyjazdy i noclegi możliwe były jedynie dla tych, którzy podróżowali służbowo. Oczywiście rząd nie powiedział, kto i jak ma to weryfikować, więc wszyscy goście nagle zaczęli po prostu zgłaszać na portierniach, że podróżują służbowo, a administracja miejsc hotelowych uznawała, że tak właśnie może być. Chociaż były i ciekawsze pomysły – schronisko w Wiśle przygotowało wówczas ofertę „górskiego biura”, czyli miejsca do pracy.

T – jak tester. A dokładniej: tester produktów. Restauratorzy, którym rząd zabronił otwierać lokali i zmusił do sprzedaży posiłków wyłącznie „na wynos”, poradzili sobie z tym zakazem, zatrudniając na umowy każdego klienta jako testera jakości jedzenia. Tak zrobiły m.in. restauracje w Toruniu i Chełmie. Umowa przewiduje, że tester za produkty do testowania płaci, a za swoją „pracę” w lokalu otrzymuje wynagrodzenie w wysokości 1 zł. Właściciele restauracji

podkreślają, że ich działania są ważne jeszcze z innego powodu: „W trudnej dobie pandemii dajemy ludziom pracę”.

W – jak wynajem. W górach tej zimy popularnym pomysłem stało się oferowanie w sieci wynajmu miejsc parkingowych. Takie miejsce można było – w zależności od długości pobytu – wynająć np. za 2,5 tys. zł. Gdzie haczyk? Do każdego wynajętego miejsca parkingowego hotel lub pensjonat dodawał pokój do spania gratis.

Z – jak zawody. W hotelach nikt w ferie wynajmując pokoju nie mógł. No, poza żołnierzami, skarbowką, ITD, pracownikami utrzymującymi infrastrukturę krytyczną itp. Znów jednak z pomocą przyszedł sport. W hotelu we Władysławowie przebywało 300 gości. Zastali ich tam kontrolerzy sanepidu i policja. Nic nie wskórali, bo goście byli uczestnikami turnieju szachowego. Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa, nie widząc do tego podstaw.

Wszystko wskazuje na to, że pomysłów Polakom – jak bardzo, to najlepiej wskazuje nasz „alfabet” – opracowywanie kolejnych koncepcji ominięcia zakazów przestało już wystarczać. Od niedawna przestali też na ulicach domagać się zniesienia obostrzeń, a po prostu zaczęli bez oglądania się na możliwe kary (i pokrzepieni korzystnymi wyrokami sądowymi) otwierać swoje firmy z zachowaniem sanitarnych reżimów. Niektórzy czynią to otwarcie i potem, podczas kontroli, niczego się nie wypierają. Inni zapraszają na otwarcia parlamentarzystów, którzy bronią prawa do działalności gospodarczej podczas interwencji policji. Jeszcze inni otwierają wszystko „po cichu” dla zamkniętego kręgu klientów, choć organizują dyskoteki czy spotkania dla całkiem dużych grup Polaków. Wydaje się, że ten trend – przy braku wysokich wskaźników zachorowań i z coraz mniejszym strachem związanym z wyborem: albo bankructwo za chwilę, albo ryzyko starcia z urzędnikami – będzie się nasilał. W ubiegłym tygodniu dziennikarz „Wprost” Marcin Dobski ujawnił na Twitterze film mający pochodzić z warszawskiego lokalu – widać na nim było potężny tłum młodych ludzi bawiących się w rytm muzyki.

A do tego całe branże szykują się już do sądowych starć z państwem. Będą się domagały odszkodowań. Z takimi roszczeniami na pewno wystąpi Polska Federacja Fitness.

Energia płynąca z Bałtyku



Ustawa o promowaniu wytwarzania energii elektrycznej w morskich farmach wiatrowych, która właśnie wchodzi w życie, jest ważnym krokiem w rozwoju wielkoskalowych inwestycji na Bałtyku i przyspieszy zieloną transformację kraju

Aż 300 tys. nowych miejsc pracy w branżach powiązanych z odnawialnymi źródłami energii (OZE) może powstać w ciągu najbliższych 10 lat – czytamy w zaktualizowanym i zaprezentowanym przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska na jesieni

ub.r. programie „Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.”. Sama tylko budowa farm wiatrowych na Bałtyku ma dać pracę ok. 34 tys. osób – i to w całkiem bliskiej perspektywie, bo branża morskiej energetyki wiatrowej właśnie doczekała się podpisu prezydenta pod tzw. ustawą offshorową. Dokument – obok systemu wsparcia dla inwestorów – gwarantuje, że przy budowie farm na Bałtyku pracować będą w dużej mierze krajowe przedsiębiorstwa.

– Budowa morskich farm wiatrowych na Bałtyku to projekt o ogromnym znaczeniu dla polskiej gospodarki. To nie tylko krok ku transformacji naszej energetyki, ku gospodarce niskoemisyjnej, ale przede wszystkim korzyści związane ze stymulowaniem rozwoju, zwiększeniem innowacyjności, a także

z wykorzystaniem potencjału polskich firm. To szczególnie istotne dla przywracania gospodarce wzrostu po kryzysie wywołanym przez pandemię – mówi wicepremier Jacek Sasin.

Dlaczego polska energetyka wiąże tak duże nadzieje z Bałtykiem? Z kilku powodów. Przede wszystkim panują tam korzystne warunki fundamentowania wiatraków, a prędkość wiatru jest porównywalna z tą na Morzu Północnym. Dzięki temu możliwe byłoby, jak szacują eksperci, pozyskanie w farmach zlokalizowanych na polskich wodach Bałtyku ponad 140 TWh taniej i stabilnej energii z 28 GW mocy. A to, zdaniem autorów raportu „Wizja dla Bałtyku. Wizja dla Polski”, przygotowanego przez Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej (PSEW), do 2050 r. zaspokoiłoby



FOT. JOHNS STOCK

Regulacji Energetyki (URE). Pierwsze farmy wiatrowe uruchomione w ramach tego etapu mogłyby zacząć produkcję energii już w 2025 r. Możliwość wejścia do tego systemu kończy się 30 czerwca br. W kolejnych latach wsparcie będzie przyznawane już w formule konkurencyjnych aukcji, organizowanych dla farm o łącznej mocy 5 GW w terminach określonych w ustawie. Co ważne, energia płynąca z Bałtyku nie będzie istotnie obciążała kieszeni odbiorców energii. Ustawa offshore zawiera bowiem wiele mechanizmów chroniących ich przed nadmiernym wzrostem cen energii wynikającym z rozwoju nowej na polskim rynku technologii OZE.

Ale – jak zaznaczają eksperci PSEW – wejście ustawy offshore w życie nie kończy starań, by energia z Bałtyku popłynęła już w połowie tej dekady. Oprócz niej konieczne jest wydanie stosownych aktów wykonawczych, takich jak m.in.: rozporządzenia w sprawie ceny maksymalnej za energię wytworzoną w morskiej farmie, regulacji określających szczegółowo wymagania techniczne dla instalacji zlokalizowanych na morzu, rozporządzenia w sprawie szczegółowego zakresu ekspertyz i planów w celu spełnienia wymagań z zakresu bezpieczeństwa morskiego czy rozporządzenia w sprawie zakresu ekspertyz w zakresie oceny wpływu instalacji na systemy obronności państwa, a także zasady ewentualnego odkupu sieci łączącej farmy morskie z lądem przez operatora systemu przesyłowego.

LIDERZY ENERGETYKI WIAТРOWEJ NA BAŁTYKU

Morska energetyka wiatrowa na Bałtyku świetnie wpisuje się w założenia tzw. Europejskiego Zielonego Ładu, dlatego Komisja Europejska ogłosiła niedawno unijną strategię morskiej energii odnawialnej. Zakłada ona, że Unia osiągnie moc zainstalowaną w morskiej energii wiatrowej na poziomie co najmniej 60 GW do 2030 r. i 300 GW do roku 2050. Sam potencjał Bałtyku szacowany jest nawet na ok. 93 GW w 2050 r. Nic więc dziwnego, że w farmy wiatrowe na Bałtyku inwestują kolejne koncerny z branży energetycznej. Wyraźnym liderem jest tu PGE, które spośród polskich przedsiębiorstw z udziałem Skarbu Państwa ma największe doświadczenie i know-how realizacji tego typu przedsięwzięć.

Swoje działania i plany wobec energetyki wiatrowej PGE zawarło w Programie Offshore Grupy PGE, który zakłada wybudowanie do 2030 r. dwóch morskich farm wiatrowych Baltica 2 i Baltica 3 o łącznej mocy do 2,5 GW. PGE prowadzi obecnie proces wyboru partnera branżowego dla obu wspomnianych projektów wiatrowych. A do 2040 r. moc jej morskich farm wiatrowych osiągnie 6,5 GW, co uczyni Grupę Kapitałową PGE liderem przyszłego sektora morskiej energetyki wiatrowej w Polsce. To o tyle istotne, że w tym czasie, według założeń rządowych, wszystkie morskie farmy wiatrowe w polskiej strefie Bałtyku będą posiadały moc 8–11 GW.

NOWA ENERGIA PO PANDEMII

Podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę tzw. ustawa offshore to zielone światło dla inwestycji na Bałtyku nie tylko dla PGE. To szansa dla wszystkich spółek energetycznych, stąd w drugiej połowie stycznia br. trzy największe firmy energetyczne w kraju – PGE, Enea i Tauron – podpisały list intencyjny w sprawie współpracy przy przyszłych projektach morskich farm wiatrowych. To pierwszy krok do powołania przez nie osobnej spółki, której celem będzie rozwój morskiej energetyki wiatrowej.

– Dzięki temu porozumieniu możemy razem z Tauronem i Eneą zwiększyć nasze szanse w procesie ubiegania się o pozwolenia lokalizacyjne dla morskich farm wiatrowych oraz zwiększyć możliwości finansowania rozwoju projektów inwestycyjnych w zakresie morskiej energetyki wiatrowej na Bałtyku – klaruje Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Tym samym projekty morskiej energetyki wiatrowej na obszarze Polskiej Wyłącznej Strefy Ekonomicznej Morza Bałtyckiego przez kolejne dekady wspierać będą proces transformacji Polski w kierunku niskoemisyjnym, a uruchomienie inwestycji wartych ok. 130 mld zł pomoże zniwelować negatywne skutki spowolnienia wywołanego przez pandemię. Nie tylko bowiem będą bezpośrednim zastrzykiem gotówki dla gospodarki, lecz także przełożą się na wpływy z podatków, dziesiątki tysięcy nowych miejsc pracy i szansę na budowę silnego przemysłu wokół sektora, czyli m.in. rewitalizację polskich stocznii i portów.

blisko 60 proc. prognozowanego w skali roku krajowego zapotrzebowania na prąd. Tym samym Polska zrobiłaby ogromny krok w kierunku zazielenienia swojego mixu energetycznego, w którym dziś dominują paliwa kopalniane.

WIATR W ŻAGLE MORSKIEJ ENERGETYKI

Przypomnijmy: ustawa offshore reguluje sposób pozyskiwania wsparcia publicznego przez inwestorów zainteresowanych budową morskich farm wiatrowych w polskiej wyłącznej strefie ekonomicznej Morza Bałtyckiego. We wstępnej fazie rozwoju tego rynku, w ramach której wsparcie przewidziano dla 5,9 GW mocy, pomoc publiczna przyznawana będzie w drodze decyzji administracyjnej przez prezesa Urzędu



Klinika Budzik dla dorosłych

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ewa Błaszczyk, inicjatorka budowy kliniki Budzik FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Jest o co się bić



Agnieszka Niewińska

– Niepokoi mnie grupa ludzi, która ma przekonanie, że terapia osób w śpiączce jest bez sensu. Proszę to powiedzieć pacjentom, którzy wyszli ze śpiączki – mówi Ewa Błaszczyk, inicjatorka budowy Kliniki „Budzik”. Dodaje, że w przypadku ponad połowy pacjentów leczenie kończy się pełnym sukcesem

W Klinice „Budzik” dla dzieci będących w śpiączce od 10 miesięcy ruch jest dużo mniejszy, niż to wcześniej bywało. Dawniej przy łóżku dzieci można było spotkać nie tylko rodzica, lecz także rodzeństwo, dziadków, przyjaciół, a nawet zwierzęta domowe. Dyrektor kliniki dr Maciej Piróg wyjaśnia, że kontakt dzieci w śpiączce z tymi, z którymi było związane, jest bardzo ważny. – Na oddziale jest z nami kilka pieszków, ale pandemia wymusiła niemal całkowite zamknięcie na świat

zewnątrzny. Z dzieckiem przez całą dobę przebywa jeden z rodziców. Jeśli rodzice muszą się wymienić, to potrzebny jest negatywny wynik testu na koronawirusa. To niezbędne, bo wirus w naszej klinice musiałby się skończyć ewakuacją pacjentów – podkreśla dr Piróg.

Rodzic towarzyszący dziecku na oddziale nie może wychodzić na zewnątrz. Dawniej mógł wybrać się na kawę czy do kina, żeby choć na chwilę oderwać myśli od trudnej sytuacji, w jakiej znalazło się jego dziecko. Dzisiaj niemożliwe jest na-

wet wyjście do sklepu znajdującego się w budynku Centrum Zdrowia Dziecka, z którym klinika jest połączona. – W zakupach pomagają pracownicy. Latem rodzice mogli wychodzić z dziećmi na zewnątrz, by tam z zachowaniem dystansu spotkać się z rodziną. W tej chwili jest to niemożliwe – mówi dyrektor placówki.

ROZPOZNANA PO GŁOSIE

Chociaż gości na oddziałach nie ma, to jedno pozostało bez zmian. Klinika nie zwolniła z terapią dzieci w śpiączce. Mali pacjenci tak jak wcześniej są pod opieką lekarzy, przeprowadzane są badania, prowadzone rehabilitacja, różnego rodzaju terapie, takie jak terapia widzenia, dogoterapia czy muzykoterapia. – Były sytuacje, w których dziecko musiało być objęte kwarantanną, ale wtedy rehabilitacja odbywała się w jego pokoju. Pracownicy zakładali ubrania ochronne i prowadzili zajęcia – opowiada dr Piróg.

W styczniu po trzech miesiącach leczenia w klinice obudził się Oskar. Zakrztusił się skuwką od długopisu, która utknęła w płucach. Próba jej usunięcia doprowadziła do niedotlenienia mózgu i śpiączki. Z kliniki Oskar wyszedł na własnych nogach. – Stan Oskara bardzo szybko się poprawiał. Po trzech miesiącach wyglądał tak jak wiele dzieci po roku pobytu w „Bu-

dziku” – mówi dr Piróg. Wśród małych pacjentów kliniki przeważają ci poszkodowani w wypadkach komunikacyjnych, ale w klinice terapii poddawano też dzieci, które zapadły w śpiączkę po tonięciach czy, niestety, w efekcie próby samobójczej.

Do pacjentów „Budzika” przychodzi też szkoła. W pracy z dziećmi o większej świadomości pomaga technika, np. cyberoko, za pomocą którego pacjenci komunikują się z nauczycielem. Tym w głębokiej śpiączce pedagogzy po prostu czytają. – Wiemy, że dzieci w śpiączce nas słyszą. Jedna z naszych pacjentek po wybudzeniu rozpoznała wolontariuszkę, która przychodziła do kliniki jako klaun. Dziewczynka wolontariuszkę spotkała w centrum handlowym, poznała ją po głosie – opowiada dr Piróg.

Oskar, który klinikę opuścił w styczniu, jest 78. wybudzonym w niej dzieckiem. W „Budziku” dla dorosłych, który działa od czterech lat w Olsztynie, wybudziło się już 27 osób.

– Ostatnio były osoby, które z kliniki wychodziły na własnych nogach, z niewielkim uszczerbkiem na zdrowiu. W przypadku ponad połowy pacjentów leczenie kończy się pełnym sukcesem. To bardzo dużo. Jest o co się bić – mówi Ewa Błaszczyk, założycielka i prezes fundacji „Akogo?”, która zainicjowała i ze środków od darczyńców sfinansowała budowę Kliniki „Budzik”. Błaszczyk dodaje, że po kilku latach działania Kliniki „Budzik” każdej informacji o wybudzeniu pacjenta towarzyszą pozytywne emocje. – Widzimy, że to, co robimy, ma sens. Wierzyliśmy w to i to się sprawdza. Niepokoi mnie jednak grupa ludzi, która, jak widzę, ma przekonanie, że terapia osób w śpiączce jest bez sensu. Proszę to powiedzieć pacjentom, którzy wyszli ze śpiączki, i ich rodzinom.

W jedynym jak dotąd „Budziku” dla dorosłych działającym w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Olsztynie lekarze widzieli już pacjentów w ciężkim stanie, którzy wracali do całkiem normalnego życia. 51-letni Dariusz z Gdańska, który uległ wypadkowi samochodowemu, obudził się tam w lutym 2019 r. – Był to jeden z najtrudniejszych przypadków, z którym mieliśmy do czynienia. Wstępnie stan pacjenta był określany jako nieodwracalne uszkodzenie mózgu, ale jak widać „Budzik” pracuje i udało się – mówił w relacji dla uniwersyteckiego serwisu dr Łukasz Grabarczyk, kierownik Kliniki „Budzik” dla dorosłych. Dodawał, że po wybudzeniu

pacjent zaczął mówić i stawiać pierwsze kroki. W wywiadach dr Grabarczyk opowiadał też o pacjentach, z którymi nie było żadnego kontaktu, a w rezonansie magnetycznym odpowiadali na pytania, a nawet rozwiązywali skomplikowane zadania. W olsztyńskim „Budziku” był też pacjent w śpiączce, który miał upośledzoną możliwość komunikowania się po polsku, ale okazało się, że zna angielski, i w tym języku nawiązał kontakt z lekarzami.

Dyrektor Maciej Piróg podkreśla, że jako lekarza pediatrę i kierującego przez 10 lat Instytutem Centrum Zdrowia Dziecka niewiele jest go w stanie zdziwić. – Często od rodziców naszych pacjentów słyszymy: „W szpitalu powiedziano nam, że nasze dziecko nie ma szans na powrót do zdrowia albo ma minimalne szanse”. Zadaniem oddziału intensywnej terapii jest ratowanie życia. U nas są dzieci, co do których jest 100-procentowa pewność, że przeżyją. Pytanie jest inne: Ile uda nam się osiągnąć? Mamy ostre kryteria przyjęcia do „Budzika”. Pracujemy z dziećmi, które nie są w stanie wegetywnym, mają minimum świadomości, oddychają samodzielnie. Z reguły po miesiącu, dwóch wiemy, czy jest szansa na wybudzenie dziecka i kiedy to mniej więcej może nastąpić. Zdarza się jednak, że przyjmujemy dwoje dzieci w podobnym stanie. U jednego widzimy postępy, a u drugiego nie – opowiada dr Piróg. I dodaje, że choć w wyniku pracy, także rodziców, można wiele osiągnąć, to nawet po wybudzeniu nie można się spodziewać, że dziecko będzie w 100 proc. takie samo jak przed urazem. – Jego sprawność może być ograniczona i na to też musimy przygotować rodziców. Sukcesem są jednak nie tylko wybudzenia, lecz także poprawa stanu dziecka w śpiączce do takiego stopnia, by mogło wyjść do domu. Od trzech lat nie zdarzyło się, żeby niewybudzone u nas dziecko nie mogło wrócić do domu – zaznacza dr Piróg.

W „Budziku” w Międzyzlesiu nad sukcesami pacjentów pracuje kilkadziesiąt osób. Lekarze, pielęgniarki, fizjoterapeuci, psychologowie. – Wiele osób jest z nami, bo przywiązało się do kliniki, wierzy w to, co tu robimy. Finansowo nie jesteśmy najatrakcyjniejszym miejscem pracy. Wysockość naszego kontraktu nie zmieniła się od 2013 r., a ceny przez te lata wzrosły – wskazuje dyr. Maciej Piróg.

Przy Szpitalu Bródnowskim w Warszawie trwa budowa „Budzika” dla dorosłych. Udało się już zalać strop pierw-

szego piętra. – Potrzebna jest większa liczba miejsc dla dorosłych w śpiączce, bo oni częściej niż dzieci ulegają wypadkom – tłumaczy Ewa Błaszczyk. Fundacja „Akogo?” ma zabezpieczone środki na doprowadzenie budowy „Budzika” dla dorosłych do stanu surowego zamkniętego. – Od czasu stworzenia projektu wzrosły ceny i na pewno jeszcze się zmienia. Dociągniemy budowę do stanu surowego, tak by budynek był zabezpieczony przed warunkami atmosferycznymi, ale będziemy potrzebować środków na wykończenie kliniki i jej wyposażenie. Zależy nam na czasie, nie chcielibyśmy wstrzymywać otwarcia kliniki. Już dziś odbieramy telefony od osób, które myślą, że „Budzik” dla dorosłych w Warszawie już działa, i pytają o możliwość przyjęcia pacjentów – mówi Ewa Błaszczyk.

ŚWIATŁO W TUNELU

„Budzik” przy Szpitalu Bródnowskim będzie ostatnią kliniką budowaną przez fundację „Akogo?”. – Stworzyliśmy program, który wszedł do systemu NFZ, za co dostaliśmy nagrodę WHO. W tym programie na talerzu podane jest wszystko to, co trzeba zrobić, by stworzyć oddział dla osób w śpiączce. Jeśli ktoś w jakimś zakątku Polski chce otworzyć oddział wybudzeniowy, to musi spełnić zapisane w programie warunki – tłumaczy Ewa Błaszczyk. I dodaje, że fundacja mocniej zaangażuje się w działania badawczo-naukowe. – Chcemy ściągać ze świata wszystko, co jest nowe dla pacjenta w śpiączce, co mu może jeszcze pomóc. W radzie naukowej fundacji „Akogo?” są specjaliści z całego świata. W czasie pandemii spotykamy się tylko wirtualnie, analizujemy nowe ustalenia, terapie. Współpracujemy z PAN, z prof. Wojciechem Maksymowiczem, neurochirurgiem. Wspieramy badania nad neuronalną komórką macierzystą, która mogłaby odtworzyć i zregenerować uszkodzone części połączeń neuronowych. Jeśli to się uda, wówczas będzie można zastosować terapię nie tylko w przypadku pacjentów w śpiączce, lecz także wszystkich chorób neurodegeneracyjnych – udaru, wylewu, alzheimera, parkinsona. Dla pacjentów pojawiłoby się światło w tunelu – mówi Ewa Błaszczyk. Podkreśla, że nadzieję na wybudzenie się bliskiej osoby trzeba mieć zawsze. – Jak tego nie ma, to po co w ogóle wstawać co rano z łóżka?

Z dniem 1 września 1947 r. zostaje zatrudniony w redakcji jako człowiek do wszystkiego: rysunków, kopiowania, segregowania i wysyłania korespondencji, makietowania numeru oraz... wyprowadzania ratlerka na siusianie – tymi zdaniami Henryk Jerzy Chmielewski zamykał rozszerzone wydanie swej autobiografii „Tarabanie w Barbakanie” (2013, wyd. I „Urodziłem się w Barbakanie”, 1999).

Żołnierz AK, powstaniec warszawski (pseudonim Jupiter), znakomity rysownik, genialny scenarzysta znany jako Papcio Chmiel, opowiedział w książce mnóstwo o pierwszych dekadach swego życia i całkiem sporo o historii Warszawy. Zakończył na chwili, która odmieniła jego życie – rozpoczął pracę w magazynie „Świat Przygód”. Od razu zaczął rysować komiksy. Z początku kontynuował amerykański pasek przygodowy („Sierżant King z królewskiej konnicy”), potem wymyślił serię „Szczudełko i Sadełko”. Na Tytusa de Zoo, jego najsłynniejszą kreację, trzeba było jeszcze trochę poczekać – do października roku 1957 (pismo „Świat Młodych”) i roku 1966 (pierwsza edycja książkowa). Najważniejszą dla polskich czytelników życiową przygodę – karierę twórcy komiksów – opisywał Papcio Chmiel już w drugim tomie autobiografii – „Tytus zlustrowany” (2006), potem przerobionym i wydanym jako „Żywot człeka zmałpionego” (2016).

RYSOWNIK TO ZA MAŁO

Jak zauważa krytyk i badacz komiksu Adam Rusek (autor „Leksykonu polskich bohaterów i serii komiksowych”), określenie „rysownik komiksów” w przypadku Chmielewskiego to za mało. Papcio Chmiel „jest bowiem w istocie pionierem: pierwszym polskim twórcą komiksowym, tzn. grafikiem oddanym profesjonalnie przede wszystkim temu gatunkowi”. Jego poprzednicy (a i wielu po nim) traktowali rysowanie komiksów jako zajęcie uboczne lub fuchę dla szyb-



FOT. KRZYSZTOF ZIEMOWSKI / FORUM

Czarodziej z Barbakanu



Piotr Gociek

Mistrz gatunku, ojciec założyciel polskiego komiksu, król absurdałnego humoru, powstaniec warszawski, propagator polskiej historii – odszedł Henryk Jerzy Chmielewski

kiego zarobku. Rusek przypomina: „Dla Chmielewskiego natomiast to czynność główna, podstawowa: związał z komiksem całe swoje życie zawodowe. [...] Wkrótce dołączyli do niego dwaj inni, ale to on był pierwszy”.

Zatem ojciec założyciel i najwierniejszy gatunkowi twórca powojennego polskiego komiksu? Bez wątplenia tak. „Papcio ukończył album prawie równo z dniem swoich urodzin. Skończył 96 lat!” – informował wydawca ostatniej książeczki o Tytusie, Romeku i A'Tomeku w 2019 r. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że Henryk Jerzy Chmielewski rysował komiksy przez ponad siedem dekad.

Dla wszystkich tych, którzy wychowywali się na komiksach Papcia Chmiela (a imię ich legion,) najważniejsze jest jednak co innego. Nie tylko uczył nas życia z rysunkowymi opowieściami, lecz przede wszystkim rozbudzał fantazję i ostrzył humor. Całe pokolenia w Polsce mogą się porozumiewać kodem wyjętym z książeczek o Tytusie, cytatami, które znają na pamięć.

Pamiętamy, jak A'Tomek organizował pracę podczas akcji „Frombork 1969”: „Romek ładuje, Tytus wozi, a ja liczę taczki” i jak zbójcy przygotowywali napad na kupców: „Jak Zefiryn ciach, to Pafnucy bum! Wtedy Makary bęc, a Kapistran rymy!” (Księga VIII). „Chuligani, wysiadka! Dziś rozróbka, jutro wyrok i odsiadka!” (Księga IX), „Tam do kata! Dam dukata, jeśli nie był to kot kata z czarownicą w środku” (Księga XI), „Myślałem i wymyśliłem bezmyślnik ~ stawiać się go będzie przed zdaniem niemającym sensu” (Księga XII), „Dziennikarz nie musi znać ortografii. Wszystkie artykuły dyktuje bezbłędnej maszyniście” (Księga XVI) czy wreszcie kultowe: „Precz z preczem!” (także Księga XVI). Wymieniać można długo.

Kiedy dorośli kinomani w latach 80. zachwycali się „Purpurową różą z Kairu”, w której Woody Allen pozwalał bohaterom wędrować między ekranem filmowym a prawdziwym światem, my pamiętaliśmy, że bohaterowie Papcia Chmiela wskakiwali do filmu już ponad dekadę wcześniej. Podczas gdy rodzimi fantasiści mieli zwykle duży problem z uruchomieniem wyobraźni na większą skalę, Chmielewski potrafił dowolny przedmiot (żelazko, wannę) zamienić w cudowny pojazd i wysłać swoich bohaterów w dowolne miejsce, od kosmosu do Archipelagu Wysp Nonsensu czy czasów prehi-

storycznych (tak, wszak Tytus, Romek i A'Tomek podróżowali również w czasie).

Wedle wersji podawanej we wstępach do książkowych wydań komiksów (zwanych „księgami”) człękkształtna i gadatliwa małpa Tytus wzięła się z rozlanej plamy tuszu. Tak naprawdę Tytus zadebiutował w październiku 1957 r. jako małpka doświadczalna zamknięta w rakiecie. Pierwsze historyjki serii przeczytać można w zbiorze „Księga Zero” wydanym w 2002 r. przez Egmont. W następnych latach zostały dopracowane i mocno przerobione, zarówno jeśli chodzi o kreskę, jak i same postacie. Ustalono dynamikę małej grupy: najbardziej przemądrzały i z zapędami do rządzenia jest gruby A'Tomek, najbardziej rozsądny, choć często rozmarzony, jest chudy, wysoki Romek, Tytusowi zaś przeznaczono rolę dyżurnego urwisa o niewyparzonym języku, który wymaga „uczułowienia”, czemu służą kolejne tomy przygód. W pierwszym Tytus został harcerzem, co nie przeszkodziło mu potem być m.in. żołnierzem, olimpijczykiem, kosmonautą, geologiem, dziennikarzem, plastykiem, aktorem, tajnym agentem czy grafficiarzem.

Podobnie jak inni autorzy komiksów w PRL Papcio Chmiel musiał lawirować między naciskami ideologicznymi. Koncesje, na które się zgadzał, były podane z humorem (podróż bohaterów na międzynarodowe spotkanie młodzieży socjalistycznej czy autorska wersja harcerskich operacji „Frombork” oraz „Bieszczady”). W późniejszych latach Chmielewski przerabiał i przerysowywał najbardziej zideologizowane tomy serii.

Z jego wspomnień można się dowiedzieć, jak nieustannie – zwłaszcza w latach 50. i 60. – próbowano wskazywać mu, co ma rysować. Kuzyn Bermana zażyczył sobie plakat propagandowy na wzór „Olbrzyna i zaplutego karła reakcji”. Wydawnictwo Harcerskie przygotowało ośmiopunktowy zestaw zasad, których miał przestrzegać Papcio Chmiel, jeśli chciał opublikować u nich książkę (Pierwsza: „bohaterowie mają być w mundurkach harcerskich i mieć czerwone chusty”). „Na Akademii Sztuk Plastycznych zaliczyłem w pięć lat dwadzieścia tysięcy minut marksizmu-leninizmu” – zapisał Chmielewski. Gdy narysował pierwszą wersję Księgi V („Podróż do ćwierć koła świata”), zażądano od niego, by dołożył jeszcze Fidela Castro, imperialistów z Angoli, by zwiedli szpie-

gowski okręt podwodny RFN, a w USA – koniecznie poskromili małego kowboja rasistę prześladowającego czarnego chłopca. Gdy wydawnictwo przebrało miarę, Chmielewski wypowiedział umowę na tom V i nienarysowany jeszcze tom VI. Kilka dni później załagodzono sprawę i nacisk nieco zelżał, ale kłótnie trwały. Jeśli nie o ideologię, to o żenująco niskie honoraria. Komiksy Papcia były bestsellerami, ale on miał z tego niewiele.

TYTUS W SŁUŻBIE HISTORII

W III RP zmienił się charakter cyklu, książeczki czasem stawały się kontrowersyjne (włącznie z nazbyt dorosłym, zdaniem fanów, słownictwem), aż wreszcie Chmielewski zupełnie zmienił oblicze serii i wprzegł Tytusa z przyjaciółmi do służby polskiej historii. Prawdziwej historii, o której nie można było mówić w PRL. Wspomagał Muzeum Powstania Warszawskiego, narysował tomik o wojnie z 1920 r. O Tytusa upomniało się kino – w 2002 r. wszedł do kin film animowany „Tytus, Romek i A'Tomek wśród złodziei marzeń” (reż. Leszek Marek Gałysz), ale okazał się kłapą. Rysunki zawiodły fanów, a scenariusz „nie ma nic wspólnego z moją twórczością” – pisał Papcio. „Nie było w nim, wypracowanych przeze mnie latami, charakterów bohaterów, dowcipów, gagów i pedagogicznej ideologii uczłowieczania sympansa”.

„Żywoł człowieka zmałpionego” zamykała m.in. opinia lekarza, który zapowiadał, że oko Papcia wytrzyma jeszcze i 20 lat (Chmielewski przez długi czas walczył o wzrok w oku operowanym z powodu rozwarstwienia siatkówki). Pewnie, że dałoby radę. Niebiosa miały jednak inne plany. Dni i tygodni zabrakło, by doczekał premiery najnowszego albumu. Zmarł spokojnie, we śnie – mówił „Super Expressowi” przyjaciel rodziny. Papcio Chmiel odszedł 21 stycznia 2021 r. Przeżył niemal 97 lat.

Kochaliśmy jego komiksy, jego poczucie humoru, jego błyskotliwą inteligencję i to, że nigdy nie stracił wiary w człowieka. Ta wiara biła ze stron jego rysunkowych opowieści. Był naszym przyjacielem, wychowawcą i przewodnikiem w wyprawie do krainy poza granicami ponurego PRL. A potem przewodnikiem naszych dzieci po polskiej historii. Będzie nam Go brakować. Zwłaszcza że większość z nas nie pamięta nawet czasów, kiedy nie było jego komiksów w naszym życiu.



Wiesław Chelminiak

Na miejscu zniszczonej przez Niemców Warszawy powstało miasto, ponieważ będące jej zaprzeczeniem. Władza z obcego nadania znalazła wspólny język z młodymi architektami. Ten sojusz stworzył stolicę, jaką znamy

To nie była odbudowa

Książka Grzegorza Piątka „Najlepsze miasto świata” jest kolejnym głosem w sporze o PRL i jej dziedzictwo. Pokolenie budowniczych Polski Ludowej już odeszło. Dziwna sprawa: wielu z nich nie było komunistami, prawie wszyscy odebrali patriotyczną edukację. Kulturowych i estetycznych wzorów szukali raczej

na Zachodzie niż na Wschodzie. Nie oparli się jednak pokusie wzięcia udziału w projekcie nadzorowanym z Moskwy.

Polscy architekci i urbaniści szykowali się na tę chwilę długo. Już jesienią 1939 r. zaczął powstawać plan rekonstrukcji stolicy. Jeszcze ważyły się losy wojny i nikt nie wiedział, że Armia Krajowa rzuci na stół ostatnią kartę,

która jej została – Warszawę, kiedy oni uzgadniali, co trzeba odbudować, a czego nie warto. Ich praca zdałaby się jednak psu na budę, gdyby zwycięski Stalin na siedzibę rządu tymczasowego wybrał Kraków, Łódź albo Poznań. Generalissimus od razu jednak przeciął wątpliwości polskich towarzyszy i zdecydował, że wszystko zostanie po staremu. Skoro

Warszawa, odbudowa Rynku
Starego Miasta w 1948 r. FOT. NAC



Warszawa miała znów stać się administracyjnym centrum, to siłą rzeczy należało ją podnieść z gruzów.

Czerwoni nie mogli się pochwalić nadmiarem wykwalifikowanych kadr. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że o branży budowlanej kilku z nich miało pojęcie. W nowej elicie władzy wysoką pozycję zajmował Marian Spychalski,

przed wojną pracujący w miejskim Wydziale Planowania. Duże zainteresowanie urbanistyką przejawiał sam Bolesław Bierut. Faktycznym szefem Biura Odbudowy Stolicy był Józef Sigalin, rodowity warszawiak z długim komunistycznym stażem. Nie wiedział, że jego dwaj starsi bracia – też architekci – zostali zamordowani przez Sowietów. Udało mu się zwerbować do współpracy ludzi, którzy nie wykazywali wcześniej lewicowych sympatii, a czasem nawet byli związani z AK – jak Jan Zachwatowicz i Stanisław Jankowski „Agaton”.

PRZEWIETRZYĆ POMPEJE

W dobie gospodarczego boomu przełomu wieków XIX i XX centrum Warszawy, podobnie jak innych metropolii Europy, zyskało gęstą zabudowę. Kolejne pokolenie architektów nie bardzo miało gdzie zabłysnąć. Inwestycje skutecznie hamowała prywatna własność gruntów. Piłsudscy, nawróceni na etatyzm, dawali nadzieję, że ta przeszkoda zostanie pokonana. Nie kto inny jak Stefan Starzyński zapowiadał „okres burzenia”. Nie przewidział tylko, że przybierze ono tak gigantyczne rozmiary. W 1945 r. polską stolicę porównywano do Kartaginy i Pompejów.

Niektórzy, patrząc na ruiny „Paryża wschodu”, odczuwali schadenfreude. Już przed wojną marzyła im się urbanistyczna rewolucja. Zazdrościli włoskim kolegom, na rozkaz Mussoliniego likwidującym całe kwartały starożytnego Rzymu, by zyskać miejsce dla nowoczesnych arterii, placów i budowli. Rozmach inwestycyjny ZSRS i III Rzeszy też robił wrażenie. Stalin utrupił historyczną zabudowę Moskwy. Hitler nie przejmował się zbytnio alianckimi bombami demolującymi Berlin, bo i tak spisał go na straty. Choć widać widmo klęski zaglądało już w oczy, to Albert Speer – nazistowski architekt numer jeden – kładł fundamenty pod Welthauptstadt Germania.

Urbanisci służyli różnym panom, ale w jednym byli zgodni: miasta potrzebują więcej światła i przestrzeni. Le Corbusier opracował dla Paryża plan, przewidujący rozbiórkę całych dzielnic. Na szczęście wojna obeszła się ze stolicą Francji łaskawie i prosta kalkulacja kosztów wystarczyła, by projekt trafił do kosza. W metropoliach, które doznały największego uszczerbku, koncepcje modernistów zaczęto wcielać w życie. Z jakim skutkiem – można przekonać

się w Rotterdamie, Hawrze, Berlinie i białoruskim Mińsku.

Polscy wyznawcy idei Le Corbusiera nie mieli wątpliwości. Przegapienie szansy, która pojawia się może raz na tysiąc lat, byłoby głupotą. Kolaboracja z partią, przyniesioną nad Wisłę na sowieckich bagnietach, okazała się (początkowo) mało dokuczliwa. Cel wydawał się wspólny: dźwignięcie stolicy oraz innych pokiereszowanych miast z ruin plus radykalna modernizacja. Dla budowlanców pierwsze lata powojenne były złotą epoką. Nigdy wcześniej ani później ich branża nie zdobyła tak wielkiego wpływu na polską rzeczywistość.

WYROK NA MIASTO

Czy Warszawa Bieruta była kontynuacją przedwojennej stolicy? W pewnym sensie tak. Przy jej wznoszeniu użyto gruzu i cegieł z rozebranych obiektów, wykorzystano mniej zniszczone partery, piwnice i fundamenty. Zaspokojenie głodu mieszkań było potrzebą chwili, więc – do czasu – urzędnicy pozwalali zasiedlać domy docelowo skazane na zagładę.

Urbanistom marzyło się miasto bez mieszczan, z rozrzedzoną zabudową, oczyszczone z „reliktów kapitalizmu”

Piątek twierdzi, że w roku 1945 nikomu nie marzyło się rekonstrukcja miasta takiego, jakim było sześć lat wcześniej. Wątpię. Ludzi zresztą nikt o zdanie nie pytał, wątpliwości przykrywało bojowe hasło: „Cały naród buduje stolicę!”. Hamulcem nie był wzgląd na opinię społeczną – tę łatwo było oszukać, lecz opór materii: niedostatek materiałów, brak funduszy i wykwalifikowanej siły roboczej. Ówczesna technologia nie pozwalała na realizację najbardziej śmiałych pomysłów.

Urbanistom marzyło się miasto bez mieszczan, z rozrzedzoną zabudową, oczyszczone z „reliktów kapitalizmu”. Miejsce czynszowych kamienic z ozdobnymi fasadami i zapyziałymi podwórkami miały zająć domy godne XX w. To, co pozostawiło XIX stulecie, uważano (z wyjątkiem neoklasycyzmu) za złe

■ i brzydkie. Na cenzurowanym znalazły się eklektyzm, style historyczne i secesja.

Moderniści z BOS niszczyli dzieła swoich poprzedników z gorliwością, która w pewnym momencie zaniepokoiła nawet władzę. Gdy nie było podstaw do rozbiórki, usuwano wieże, kopuły i wykusze. Skuwano elewacje do gołej cegły, co upodabniało kamienice do bloków. Zachwotawic nie miało proponować, by na pamiątkę pozostawić w Warszawie jeden secesyjny dom, ale był to głos wołającego na puszczy.

Aby uzasadnić „politykę kilofa”, nie używano argumentów ideologicznych, lecz praktyczne. Ot, trzeba poszerzyć lub wyprostować ulicę, ujednolicić fasady i wysokość zabudowy, zrobić miejsce dla trasy szybkiego ruchu. Pamiętamy jednak, że była to epoka kamuflażu – komuniści też nie zapowiadali wprowadzenia dyktatury, ukryli się za szyldem „demokracji ludowej”.

ŁUDZIE SIĘ ZMIENIAJĄ

Współcześni warszawiacy, tacy jak Janusz Sujecki, Jerzy S. Majewski i Tomasz Markiewicz, twierdzą, że pod pretekstem porządkowania likwidowano „burżuazyjne” dziedzictwo Warszawy. Ryszard Bojarski poświęcił całą książkę przypadkom nieuzasadnionych – jego zdaniem – wyburzeń. Spór o budynki, które mogły zostać naprawione, lecz trafiły pod kilof, po 75 latach jest trudny do rozstrzygnięcia. Każdy wie swoje. Zdjęcia są niewyraźne, opinie naocznych świadków sprzeczne, dokumentacja techniczna skąpa.

Jeszcze większe emocje wzbudza pełzająca reprzytaczająca, będąca próbą obejścia wciąż obowiązującego dekretu Bieruta. Przy okazji wystawy „Spór o odbudowę Warszawy” zorganizowanej w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej w 2015 r., w zwartym szyku wystąpili dzisiejsi wrogowie wolnego rynku, pogromcy mitu bezgrzesznej II PR i fani komunalizacji gruntów. Tezie, że „prywatyzacja” nie podołałaby dziełu odbudowy, towarzyszy rehabilitacja „burzymurków” z BOS. W domyśle – cel uświęca środki. Pod rządami komunistów Warszawa stała się lepszym miastem do życia. Cała reszta to didaskalia.



GRZEGORZ PIĄTEK
„NAJLEPSZE
MIASTO ŚWIATA.
WARSZAWA
W ODBUDOWIE
1944–1949”
WYDAWNICTWO
W.A.B. 2020

Rewolucjoniści lubią udawać, że spadli z księżycą. Tymczasem Piątek zwraca uwagę na stylistyczną i personalną ciągłość stołecznej architektury. Bohdan Pniewski – pieszczoł sanacji – bez przeszkód kontynuował karierę w Polsce Ludowej. Niejedna z PRL-owskich inwestycji miała przedwojenny rodowód. Dom Partii wygląda jak jeden z budynków rządowych z planowanej w latach 30. monumentalnej dzielnicy im. Marszałka Piłsudskiego na Polu Mokotowskim.

Ciekawostka: w 1945 r. chciano zachować dla przyszłych pokoleń fragment

powstańczej Warszawy. W tym celu na Powiślu ogrodzono szmat terenu z mallowicznymi ruinami kamienic, barykadami i zepsutym niemieckim czołgiem. Kres istnieniu tego skansenu położyli szabrownicy.

GOTYK SOCJALISTYCZNY

Z krytyki poczyną BOS zwykle wyłączeni są architekci nadzorujący odbudowę Starówki. „Zabytkowicze” niewiele by jednak wskórali, gdyby nowa władza nie czuła potrzeby udowadniania

Moderniści z BOS niszczyli dzieła swoich poprzedników z gorliwością, która w pewnym momencie zaniepokoiła nawet władzę

swego patriotyzm i związku z narodową tradycją. To był główny powód odtworzenia emblematycznych budowli epoki przedrozbiorowej (z wyjątkiem Zamku Królewskiego, ale i na niego w końcu przyszła pora).

Pracowano w pośpiechu, by zdążyć z przecięciem wstęgi na miłą partii rocznicę – najczęściej 22 lipca. Zabytki powracały z niebytu w poprawionej formie (przykładem „twórczej rekonstrukcji” są katedra, pomniejszony kościół św. Aleksandra z pl. Trzech Krzyży czy dwupiętrowa zabudowa Nowego Świata). Pseudohistoryczne fasady robiły wrażenie, lecz wystarczyło wejść w bramę i czar pryskał.

Architekci z lat 40. wyznaczyli sobie jako cel „usunięcie błędów narosłych przez stulecia”. Niestety, sami też je popełniali. Na szczególne wyróżnienie zasługuje koncept, by poszatkować miasto na strefy: rządową, uniwersytecką, przemysłową, wypoczynkową, zaopatrzywane przez jedną centralną rzeźnię.

Szefowie BOS nie byli wszechmocni. Strategiczne decyzje zapadały wyżej, nie konsultowano z nimi budowy Pałacu Kultury, rozbiórki Zamku Ujazdowskiego czy likwidacji zabudowy na Powiślu. Ostatnie słowo zawsze należało do centrali. Stalin blokował zbyt daleko idące pomysły, to dzięki niemu „Mazurek Dąbrowskiego” pozostał polskim hymnem.

BŁĘDY I WYPACZENIA

Moderniści spadli z konia, gdy wyszło na jaw, że czerwony car nie trawi awangardy, a preferuje architekturę imperialną w tradycyjnym stylu. W 1949 r. oficjalnie przedstawiono zwrotnicę. Odtąd w sowieckiej strefie wpływów dominować miała twórczość „socjalistyczna w formie i narodowa w treści”. Apostołowie nowoczesności składali samokrytyki, odcinając się od „destrukcyjnego kosmopolityzmu”. Złudzenia o równorzędności architektury i polityki prysły jak bańka mydlana.

Entuzjazm lat powojennych już nie wrócił, a skąpstwo Gomułki ostatecznie podcięło skrzydła wizjonerom. Pozostała legenda Biura Odbudowy Stolicy jako fortecy neopozytywistów, którym zawdzięczamy nową, lepszą Warszawę. Piątek, mimo drobnych wątpliwości, tę legendę wspiera. Ubolewa, że tablica, sławiąca dokonania Sigalina i towarzyszy zniknęła w nieznanach okolicznościach.

Stosunek do modernizmu ewoluował: od apoteozy przez potępienie do rehabilitacji. „Gazeta Wyborcza” od lamentu nad losem secesyjnych kamienic gładko przeszła do organizowania kampanii w obronę zagrożonych rozbiórką „pereł architektury nowoczesnej”.

Czy demokratyczny rząd odbudowałby Warszawę lepiej? Tego nigdy się nie dowiemy. Stolica Polski jest cmentarzyskiem rozpoczętych, lecz niedokończonych pomysłów, miastem palimpsestem. W XXI w. znów zamieniła się w plac budowy. Jej przeznaczeniem najwyraźniej jest chaos, z którym próbowali walczyć doktrynerzy z BOS. Chwała Bogu, przegrali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KONIEC systemu



wtorek
21:30

zaprasza **Dorota Kania**



Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

Wendeta dla świętego



★★★★★

REŻ. ESHOM
NELMS I IAN
NELMS
„SPOSÓB NA
ŚWIĘTEGO”
(„FATMAN”)
USA 2020

wyst. Mel Gibson,
Walton Goggins,
Marianne
Jean-Baptiste

Święty Mikołaj istnieje i nazywa się Chris Cringle. Mieszka nie w Laponii, lecz w Kanadzie, a gra go Mel Gibson. Jest to Mikołaj zmęczony życiem oraz sfrustrowany zanikiem świątecznych obyczajów i pogarszającym się stanem moralnym młodzieży. W dodatku konieczność wręczania dzieciom różg albo węgla zamiast prezentów przekłada się na sytuację finansową świętego. Finansuje go bowiem rząd Stanów Zjednoczonych, a zasada jest prosta – im mniej prezentów dostarczonych, tym niższa dotacja. A tu trzeba utrzymać produkcję, opłacić elfy i rachunki za prąd.

Na zrzędzącego pana Cringle (Gibson jest uroczo wiarygodny w tej roli) czekają dwie niespodzianki: dobra i zła. Rozwiązaniem kłopotów finansowych jest przyjęcie zlecenia od armii USA na produkcję części do supermyśliwców. Zło natomiast przybędzie w postaci zawodowego kilera, ksywa Skinny Man (cudownie zabawny i jednocześnie trochę przerażający Walton Goggins). Do zabicia świętego wynajął go pewien wyjątkowo rozpuszczony bachor o czarnym sercu, inna sprawa, że kilera nie trzeba było specjalnie zachęcać, bo od lat tropi Mikołaja i ma z nim własne rachunki do wyrównania.

Czarna komedia braci Nelms najlepsza jest w tych partiach, w których dekonstruuje tradycyjne kino świąteczne. Mel Gibson o umęczonej twarzy, jego zatroskana żona (Marianne Jean-Baptiste), zdumieni urzędnicy z Waszyngtonu zachwyceni pracowitością elfów i organizacją pracy – wszystko to jest zabawne, bo podane ze śmiertelną powagą. Drugi wątek (ten z niegrzecznym dzieciakiem i kilerem) sam w sobie też jest zabawny, kłopot w tym, że połączenie obu części filmu okaże się umiarkowanie udane. To znaczy za dużo konwencjonalne, a dla niektórych widzów zapewne także za dużo krwawe. Nie zmienia to faktu, że „Sposób na świętego” ma więcej zalet niż wad. To film zręcznie opowiedziany, z paroma znakomitymi scenami (zwróćcie uwagę na Mikołaja w barze ratującego pewne dwie błędzące duszyczki), dobrze zagrany, tyle że ostatecznie daje nieco mniej, niż obiecuje. Ale dla samych Gibsona i Gogginsa – warto. ©



NOWE SERIALE: „ARSENAŁ SZPIEGA”

Serial dokumentalny Netflix o świecie szpiegów jest produkcją bałaganiarską, ale mimo wszystko ciekawą. Irytują banały wypowiedziane przez część gości, za to ciekawie robi się, gdy poznajemy kulisy konkretnych operacji i dzieje rozmaitych gadżetów, od mikrofonów w bucie do cyberzabawek. W czwartym odcinku wspomniano

o wywiadowczym wysiłku płk. Kuklińskiego (zestawiając go z Olegiem Pierikowskim). Wiele gorzkich słów pada – i słusznie – pod adresem Rosji, lidera w dziedzinie politycznych mordów, oraz Chin, przodujących w cyberszpiegostwie. © © **Piotr Gociek**
• sezon 1 „Arsenał szpiega” („Spycraft”), USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

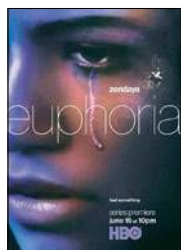
- reż. Agnieszka Holland „Obywatel Jones” („Mr. Jones”), Polska/Wielka Brytania 2019
- miniserial dokumentalny „Tiger”, USA 2021
- reż. Richard Hobert „Syn ptasznika” („Fågelfångarens Son”), Szwecja 2019

Serca w rozterce



Łajdaczenie się już dawno przestało być przywilejem dorosłych. Rodzice nadal chcą jednak wierzyć, że ich pociechy nie rzucają mięsem, a od papierosów, wódki, seksu i narkotyków trzymają się z daleka. Sektor rozrywkowy z radością eksploatuje owe lęki, regularnie rzucając na rynek utwory traktujące o dzieciach-śmiesiach, które – jak to się ładnie mówi – „eksperymentują” z używkami i własnym ciałem. Czasem udaje się wywołać skandal. Młodzi rozdzierają szaty, młodoci rozrabiają, zażywają kozackie słaawy, a ukryci za kulisami dziadzi liczą pieniądze. Sam Levinson Ameryki więc nie odkrył. Wypada jednak przyznać, że „Euforia” – remake

izraelskiego serialu pod tym samym tytułem – jest dobrze zagrana i ładnie sfotografowana. Może się też pochwalić adekwatnym do treści soundtrackiem. HBO postanowiło umilić oczekiwanie na kolejny sezon dwoma odcinkami bonusowymi w mocno zawężonej obsadzie. Rue, najporządniejsza z bohaterów, wraca do ćpania, „bo ma gonitwę myśli”, i spotyka się w wigilijny wieczór ze swym guru (który przy okazji walki z nałogiem nawrócił się na islam). Z kolei androgyniczna Jules wyznaje psycho-terapeutę, że ma straszliwe rozterki. Zastanawia się nawet, czy nie odstawić hormonów. Jak tak dalej pójdzie, to się nam dzieciaki zupełnie rozkleją. Byłe do wiosny! © © **Wiesław Chełmiński**



★★★★★
„EUFORIA”
(„EUPHORIA”)
USA 2020

wyst. Zendaya,
Hunter Schafer,
Colman Domingo



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZENKA CIEŃ

MOJEKINO.PL

Pouczająca porażka. Dopóki nasi filmowcy będą podchodzić do disco polo jak pies do jeża, dopóty nie zdołają zainteresować ani fanów, ani wrogów „Majteczek w kropeczki”. Na tle niedawnego „Zenka” reżyserski debiut Bochniak jawi się skończonym dziełem sztuki. Gubią go jednak pastiszowy ton oraz teza, że muzyka chodnikowa wzięła się z amerykańskiego kompleksu Polaków (co jest dalekie od prawdy, bo źródłem natchnienia były niemieckie i włoskie listy przebojów). Akcja zaś, zamiast w epoce Kwaśniewskiego i Balcerowicza, rozgrywa się w jakieś Nibylandii. Na takie wygibaszy szkoda zawodowych aktorów, wystarczyłyby gwiazdy telewizyjnej śniadaniowej. Czy pojawi się odważny, który szczerze i od serca powie, dlaczego disco polo warto kochać (lub nienawidzić)? Widzę tylko jednego kandydata – Patryka Vegę. To człowiek, który o potrzebach publiczności wie więcej niż wszyscy nasi artyści, literaci i politycy razem wzięci.



★★★★★
REŻ. MACIEJ
BOCHNIAK
„DISCO POLO”
POLSKA 2015

wyst. Dawid Ogrodnik, Piotr Głowacki,
Joanna Kulig

TECZKA NA KAŻDEGO

flixiemojo

Nic tak nie śmiesz jak nadmiar powagi. Nazywanie „17 mgnień wiosny” sowiecką odpowiedzią na „Stawkę większą niż życie” jest nadużyciem. To było wyzwanie rzucone Bondowi. Serial, choć nafaszerowany wojennymi kronikami, realia roku 1945 traktuje lekko. Hitler i jego kamraci są mało podobni do oryginałów (Göring przypomina raczej Breżniewa). Szpieg z temperamentem szachisty z łatwością wodzi bonzów III Rzeszy za nos, wertując w myślach ich teczki personalne (zaczynające się zawsze od słów: „Typ nordycki, rasa aryjska, bezlitosny dla wrogów Rzeszy”), by na koniec doczekać się oszczędnej pochwały z ust samego Stalina. Domyslałem się, że wcześniej czerwony car przejrzał teczkę Stirlitz. Konsultanci z KGB też byli zadowoleni, Putin zaś obdarował sędziwą panią reżyser kwiatami. Po rosyjsku serial można obejrzeć na YouTube. © ©



★★★★★
REŻ. TATIANA
LIOZNOWA
„17 MGNIEŃ
WIOSNY”
ZSRS 1973

wyst. Wacław Tichonow,
Leonid Broniewoj, Oleg Tabakow

recenzuje **Wiesław Chełmiński**

GRA TYGODNIA: „KING ARTHUR: KNIGHT'S TALE”

A co, gdyby odwrócić znaną historię o królu Arturze i wcielić się w czarny charakter, który musi go powstrzymać? Dodajmy to tego akcję toczącą się w zaświatach Avalonu, a otrzymamy scenariusz mrocznego RPG turowego, połączonego ze strategią. Tak wygląda dzieło węgierskiego studia, które

postanowiło zaoferować graczom hybrydę gatunków, która spodoba się zwłaszcza fanom futurystycznej serii X-COM. Reguły są proste: zbieramy drużynę, kompletujemy uzbrojenie, zarządzamy frakcją na mapie strategicznej, a bitwy rozgrywamy już osobiście, stosując taktyczne



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sztuczki. Przyzwolita grafika i muzyka wzmacniają klimat. © ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** XSX/PS5/PC
- **Producent, dystrybutor:** NeocoreGames
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ludzie z nekrologów

Dwa lata po „Kamienicy” Wojciech Kudyba publikuje kolejny tom opowiadań mocno osadzonych w naszej codzienności, przedstawiających życie ludzi, o których nie pisze się ani na pierwszych, ani na ostatnich stronach gazet, zresztą jeśli tam w ogóle trafiają, to tylko po śmierci, gdy rodzina nie zaoszczędzi na nekrologu. Na razie jednak żyją, czy raczej wegetują, wiodąc marną egzystencję, a to kobiet samotnie wychowujących dzieci, pensjonariuszy domów pomocy społecznej czy emerytów. Wojciech Kudyba oddaje im głos, który wybrzmiewa doniośle i przejmująco, bo prawdziwa bieda ma to do siebie, że nie krzyczy, a szepce, ale ten szepot słyszymy każdym porę ciała.

Ostatnio w telewizji publicznej kilkakrotnie widziałem starszą panią, chwającą obecną władzę, bo przy poprzedniej emerytura jej wzrastała o trzy złote, a teraz – bywa – i o całe 70. Kogoś może to porównanie dziwi lub śmieszy, mnie, a pewny jestem, że i autora „I co dalej?” – boli. A co z tymi ludźmi, których zwyczajowo nazywamy „marginesem”? Pani Kwiatkowska z tytułowego opowiadania tomu Kudyby zastanawia się nad tym, „jak to jest, żeby i świr, i melnel, i taki, co pisze książki, musieli wybierać puszkę, żeby im starczyło na życie”. Luśka z tego samego opowiadania na pozór znajduje się w nie najgorszej sytuacji, jest jeszcze stosunkowo młoda, ma pracę, tyle że musi dzieci wykarcić, a tu do pierwszego nie starcza i w kółko trzeba od sąsiadów pożyczać. Bogu dziękować, że ma jeszcze takich, ale i ich ubywa, jak pewnego starszego pana, któremu, gdy dowiedział się, że jego parobank zbankrutował, pomieszało się w głowie i nażarł się tabletek, by skończyć ze sobą. Podobna jest historia jednej z postaci opowia-



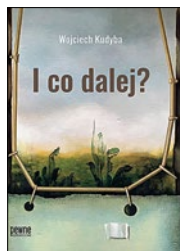
FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

dania „Dom dla Tereski”, która nieoczekiwanie otrzymała spadek, przeznaczyła go na budowę domu dla córki (w domyśle: i siebie), na razie jednak pieniądze zdeponowała w takim nowym banku, „co to w złoto i srebro inwestuje, a daje dziesięć czy nawet jedenaście procent oszczędności, prawie trzy razy więcej niż inni”. No tak, no tak...

Polityka jest obecna w opowiadaniach Wojciecha Kudyby, nigdy jednak nie wysuwa się na pierwszy plan. Tyle że zrozpaczona Luśka przeklina „podwyżki i alimenty Michała, i to, jak się traktuje w tym kraju samotne matki. A potem też brak perspektyw dla młodych, psujące się auto, wieczne diety Kaśki, arogancję urzędników, materializm, pogardę wobec słabszych, kurwę z MOPS-u, idiotyczne przepisy, głupich polityków, a prócz tego mizoginizm i znieczulicę”. A stałym tematem przyjacielskich pogawędek jest „ogólne dziadoństwo w tym kraju”.

Niewolne od polityki są również – w opowiadaniu „Niech im świeci” – prze-myślenia uczestników żałobnej mszy świętej. W Wawrze, a więc w prawobrzeżnej Warszawie, o oprawie nabożeństwa decydowali jednak mieszkańcy części stolicy leżącej na lewym brzegu Wisły, a tej – na przykład – Różaniec źle się kojarzy. Wybrali zatem Koronkę do Miłosierdzia Bożego, bo krótsza, a i tak słowom księdza: „Dla Jego bolesnej męki...” odpowiada cisza. „Gdyby nawet zaczął »Ojcze nasz« – kapłan nie ma złudzeń – byłoby tak samo. Albo jeszcze gorzej. Jakby byli martwi”. Za to jeden z żałobników, ważny naukowiec, nie może się nadziwić, że kolega z jego wydziału chodził pod pałac prezydencki i ponoć nawet tam się modlił. A tak się dobrze zapowiadał, miał jechać na stygendum do Stanów. I co teraz? A co dalej? Jedno jest pewne, że Kościół to obciach.

„Niech im świeci” to najmocniejsze opowiadanie w tomie Wojciecha Kudyby, a przy tym nawiązujące do najznakomitszych tradycji naszej literatury, w której dwa ceremoniały mają wyjątkowe znaczenie: weselny i pogrzebowy właśnie. W tym drugim mieściło się m.in. niedocenione swego czasu „Requiem dla gospodyni” Wiesława Myśliwskiego, w pierwszym – choćby „Wesele raz jeszcze” niezapomnianego Marka Nowakowskiego. To ostatnie nazwisko przywołuję nieprzypadkowo. Tom „I co dalej?” Wiesława Kudyby to ważny tytuł na drodze, którą Nowakowski naznaczył swoimi opowiadaniem, pełnymi trudnej, bolesnej prawdy o naszej rzeczywistości, a jednocześnie wypełnionej współczuciem dla ludzi spotykanych na tej drodze. O których w gazetach nie przeczytamy, chyba że w nekrologach. ©



★★★★★
**WOJCIECH
KUDYBA**
„I CO DALEJ?”
**PEWNE
WYDAWNICTWO,
KIELCE 2020**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Świt tyranów

Wśrodek dyskusji o wolności słowa duszonej przez prywatne korporacje, takie jak Facebook czy Google, wpadają dwa głosy, które trzeba zauważyć. „Wiek kapitalizmu inwigilacji” Shoshany Zuboff to wspaniała i przerażająca analiza procesów ostatnich dwóch dekad, które skutkują trwającą już „walką o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy”, jak określa to emerytowana profesor Harvard Business School.

Kapitalizm inwigilacyjny odbiega od kapitalizmu rynkowego na trzy sposoby, tłumaczy Zuboff. Domaga się przywileju nieograniczonej wolności oraz wiedzy. Porzuca obowiązujące zasady wzajemności i wreszcie promuje model „życia w roju”, niszczący jednak kolektywistyczną wizję społeczną, promujący bowiem radykalną obojętność. To, co dzieje się obecnie – rosnąca dominacja gigantów new-tech i związane z tym przemiany społeczne – określa Zuboff odgórnym zamachem stanu.

Jej praca jest bez wątplenia jednym z najważniejszych dzieł dekady. Kto wie, czy nie będziemy się do niego odwoływać jako pozycji pionierskiej i klasycznej w kolejnych ponurach dziesięcioleciach

walki z kapitalizmem inwigilacji, które to dziesięciolecie niestety przed nami. Chociaż wydana oryginalnie w roku 2019, jest to też najważniejsza lektura czasów pandemii koronawirusa. Procesy, które analizuje Zuboff, przyspieszyły bowiem w minionym roku, a przekraczanie kolejnych granic uzasadniano wyższą koniecznością (nie tylko pandemiczną, czego dowodzą polityczne działania Facebooka, Twittera i Google’a przeciw Trumpowi i jego wyborcom).

Rana Foroohar w książce „Nie czyni zła. Jak Big Tech zdradził swoje ideały i nas wszystkich” schodzi o szczebel niżej i patrzy na cyfrowych gigantów z innej perspektywy: ile na nas zarabiają, co robią z naszymi danymi, co obiecywały, a co robią. Dużo jest też o rywalizacji technologicznej między USA a Chinami. Jednak tam, gdzie Foroohar dotyka kwestii fundamentalnych, analizowanych przez Zuboff, tam jej wywody robią się wątpliwe. Choćby zarzut, że główny problem z wolnością polega na tym, że Facebook czy Google niewystarczająco cenzurują wstrętnych prawicowców. Tak się kończą nauki wolności w wydaniu wice-naczelnej „Financial Times”, czyli jednego z filarów liberalnego establishmentu. ©©



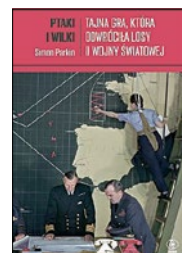
★★★★★
SHOSHANA ZUBOFF
„WIEK KAPITALIZMU INWIGILACJI”
ZYSK I S-KA 2020



★★★★★
RANA FOROOHAR
„NIE CZYNI ZŁA”
POLTEXT 2020

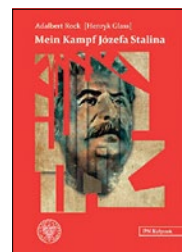
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejne rozszerzenie panoramy niezwykłego wysiłku aliantów, który doprowadził do zwycięstwa nad III Rzeszą – tym razem rzecz o brytyjskiej tajnej jednostce rozpracowującej (trafnie) strategię niemieckich U-Bootów.



SIMON PARKIN
„PTAKI I WILKI”
REBIS

Rock tak naprawdę nazywał się Henryk Glass i był wybornym znawcą ZSRS. Na emigracji w Anglii napisał m.in. tę niepublikowaną dotąd analizę celów sowieckiego imperializmu. Nie o wolność ludów chodziło, lecz podbicie świata.



ADALBERT ROCK
„MEIN KAMPF JÓZEFA STALINA”
IPN

Dwie klasyczne opowieści o duchach pióra jednej z ciekawszych pisarek brytyjskich, znanej m.in. z „Jestem królem zamku”. Na podstawie „Kobiety w czerni” powstał film z Danielem Radcliffem. „Rączka” to utwór równie ciekawy.



SUSAN HILL
„KOBIETA W CZERNI. RĄCZKA”
ZYSK I S-KA

Fantasy dla młodych (ale nie tak młodych jak fani najsłynniejszej serii Black, czyli „Kronik Spiderwick”). Rozszerzenie trylogii „Okrutny książę”. Autorka zgrabnie łączy young adult z baśnią, nie popadając w banał ani drastyczność.



HOLLY BLACK
„DLACZEGO KRÓL ELFÓW NIE ZNOŚIŁ BAŚNI”
JAGUAR

KOMIKS TYGODNIA: „NIEDOSKONAŁOŚCI”

Ben Tanaka to bohater mało sympatyczny: malkontent bez ambicji, który własne skazy rekompensuje sobie nadmierną krytyką wszystkich i wszystkiego. Obyczajowa powieść graficzna Adriana Tomine analizuje nie tylko jego (oraz pozostałych postaci) niedoskonałości, lecz także kompleksy wynikające z życia Japończyka wśród białych Amerykanów. I szerzej: kłopoty z barierami – płciowymi,



ADRIAN TOMINE
„NIEDOSKONAŁOŚCI”
KULTURA GNIEWU 2020

rasowymi, kulturowymi, pokoleniowymi. Wbrew rozmaitym akjom afirmacyjnym nie jesteśmy tacy sami – w świecie równych praw każdy i tak pozostaje sam na sam z własnym dziedzictwem i własną osobnością. ©©

poleca Piotr Gociek

Miał być zespół, ale ostatecznie skończyło się na duecie. – Chcieliśmy grać funk w dużo większym składzie, więc wymyśliśmy nazwę i roboczo myśleliśmy o utworach. I choć nie udało się skompletować planowanego składu, to nazwa i logo pozostały – opowiadała w Polskim Radiu Anna Kaptór, połowa projektu Funkasanki. Dopełnieniem duetu jest Przemysław Starachowski, który mówi, że także z racji ograniczonej liczby rąk do grania Funkasanki bardziej postawiło na elektronikę. Koncerty opierają na wiodącym wokalu Anny, samplach, syntezatorach i perkusji.

Duet Funkasanki związał się w Łomży w 2015 r. W 2017 r. Anna i Przemek zostali finalistami opolskich debiutów i zdobyli Grand Prix festiwalu nOFFa. W tym samym roku własnym sumptem wydali debiutancką płytę. Rok później nawiązali



Elektroniczny koniec świata

FOT. ROYAL TANENBAUM/WIDEPIA

współpracę z wytwórnią Kayax w ramach jej projektu skierowanego do młodych twórców My Name Is New.

Współpraca ta zaowocowała singlem „Where Are You” i koncertami, m.in. jako suport artystów Kayaxu.

W ubiegłym roku Funkasanki wypuścili swój drugi album. – Zrobiliśmy płytę o przededniu końca świata. „Last call” to ostatnie wezwanie, żeby się rozliczyć z życiem – mówił na antenie Czwórki Przemysław Starachowski. Dodał, że koncepcja takiej płyty zrodziła się przed rokiem 2020, ale dojrzewała i ewoluowała. W przeciwieństwie do pierwszego krążka, na którym utwory w języku angielskim przeplatane były piosenkami z polskim tekstem, „Last call” jest od początku do końca opowiedziana po angielsku.

Co zrobilibyście, gdyby jutro miało nie być? – Gdyby okazało się, że dziś jest ostatni dzień na Ziemi i jutra już nie będzie, to... poszlibyśmy na spacer. To uwalnia głowę, daje perspektywę i dystansuje. O tym opowiadamy na naszej nowej płycie – deklaruje duet Funkasanki. © ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

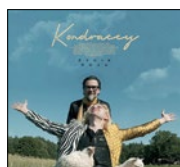
Zagdakać z pasją

Ojciec z synem stworzyli nowy gatunek muzyczny. Nagrali album, na którym nie ma instrumentów, a muzykę tworzą dźwięki i odgłosy wydawane przez zwierzęta.

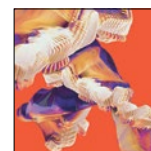
„Album »Życie Roju« to wiadomość od pozbawionych do tej pory głosu zwierząt – uciśnionych, zapomnianych, czasem wręcz udrczonych przez człowieka” – informuje ulotka reklamowa. Przez cztery lata panowie zbierali i skupowali odgłosy zwierząt z całego świata. Kategoryzowali je, dostrajali i łączyli w brzmieniowe zestawy. Sami nagrali solistę – kota Waldemara. Rolę instrumentów rytmicznych odegrały pohukiwania sów i okrzyki małp, za basy służyły muczenia krów i bawołów, a za instrumenty harmoniczne m.in. wycie psa dingo.

W tym szaleństwie jest metoda, ale trzeba się odpowiednio dostosować, by dać się porwać tym dziewięciu utworom. To rodzaj „gardlanej opery” na zwierzęce i ludzkie głosy. Śpiew syna, Kacpra, autora większości tekstów, wspólnie ze zwierzęcym akompaniamentem, ale z założenia jest nieoczywisty płciowo i wiekowo. Jest to rodzaj rapu, ale też kwiku, gdakania czy wycia. Tata Bogdan (producent m.in. Podsiadły i Brodki) dopełnia to oratorium w chórach, nadając utworom pseudocerkiewny charakter.

Jest rytm, ale nie ma zwrotek ani refrenów, żadna z części utworów się nie powtarza, a mimo to po kilkakrotnym wysłuchaniu płyty zaczyna się tę muzykę gdakać, świstać... a nawet śpiewać coraz głośniej. © ©



★★★★★
KONDRACCY
„ŻYCIE ROJU”
2TRACKRECORDS



★★★★★
BICEP
„ISLES”
NINJA TUNE

Drugi album duetu z Belfastu zaprasza w neorave'ową podróż po klimatach lat 90. Mamy hinduskie zaśpiewy, bułgarskie chóry czy tureckie i malawijskie przeboje wplecione w brzmienia zespołu Orbital. Przy czym wszystkie elementy są ze smakiem wymieszane.



★★★★★
MARIZA
„MARIZA CANTA AMÁLIA”
WARNER

Z okazji 100-lecia urodzin Amáliei Rodrigues Mariza Reis Nunes nagrała płytę z piosenkami najsłynniejszej śpiewaczki fado. Nowe aranżacje orkiestrowe napisał Jaques Morelenbaum. Wielokrotnie goszcząca w Polsce Mariza śpiewa przejmująco pięknie. © ©

Początek roku wiąże się w teatralnym świecie z pewnymi rytuałami. Do najświętszych



Grzegorz
Kondrasiuk

Ogłaszanie na koniec roku 2020 różnych rankingów i opowiadanie o walce z nadprodukcją przypomina dźwięki muzyki orkiestry na „Titanicu”, zagłuszającej podstawowe kwestie

Rok 2020 – i co dalej?

należą obowiązkowe rankingi, ogłaszane przez krytyków i redakcje. Na co dzień śpiewana jest pieśń na rzecz wszelakiej równości i konieczności wprowadzania w naszych teatrach tzw. relacji niehierarchicznych. Jednak dwa razy do roku (też w lecie, na koniec sezonu) zapomina się o tym, bo pojawia się szansa na podkreślenie swojego znawstwa i swojej eksperckości. W tych chwilach można bezpiecznie przyznać, że w sztuce jest jeszcze coś, być może, ważniejszego od poglądów. Na przykład, bagatelka!, talent (oraz brak talentu...). Tak zwana iskra Boża, którą się posiada albo nie, i nieważne, jak dużo nałożymy na swoje facebookowe zdjęcie profilowe obrazków i deklaracji aktywizmu. W końcu rankingów i nagród nie da się ustalać wyłącznie na podstawie zgodności z politycznymi poglądami środowiska.

W sezonie pandemicznym pojawiła się w publicystyce teatralnej nowa jakość: oto pojawiły się w tzw. środowisku nawoływania do autorefleksji. Artyści mają „zwołnić” (nie mylić z opuszczeniem etatów), zmniejszyć prędkość, aby z czułością przyjrzeć się „zwykłemu życiu”. Czasowe zamknięcie instytucji kultury ujawniło istniejące ponoć zjawisko „nadprodukcji”, nadmiernej liczby wydarzeń kulturalnych, a więc i premier w polskich teatrach. Na razie problem nadprodukcji objawił się głównie nadprodukcją tekstów i dyskusji. A pisać już bardziej serio – domaganie się spowolnienia to niebezpieczny postulat, otwierający drogę do bezpowrotnych redukcji przez samorządy budżetów na kulturę. Hasło brzmi świetnie, ale jest diagnozą częstkową, doty-

czącą głównie kilku większych miast i artystów nienarzekających na brak roboty. Oczywiście, chciałoby się powtarzać za doktorem Rieux z „Dżumy” Camusa szlachetne komunały: odkryliśmy, że wirusa nie da się pokonać, zarazki są zawsze z nami, przyczajone, i nigdy nie wiadomo, kiedy zaatakują. Powiedzieliśmy nam coś o nas samych: domagają się codziennej gotowości i doceniania tego, co mamy. Wirus jako wielki nauczyciel... – pobożne to życzenia. Zamiast Camusa wolę czytać Susan Sontag. Esej „AIDS i jego metafory” to dobra lektura na czas zarazy, jest jak szklanka zimnej wody na mózgową gorączkę. Sontag występuje w nim przeciwko „metaforycznym ozdobnikom”, w jakie wyposażamy nasze wielkie choroby. „Rak to po prostu choroba. Bardzo poważna, ale tylko choroba” – pisze. COVID-19 to tylko śmiertelnie groźny wirus, stąd obawy, że nie może niczego nas nauczyć, o ile sami nie zmyślimy i nie zaczniemy pracować naprawdę – a nie tylko symulować pracę. Oczywiście, chciałoby się wierzyć, że wyjdziemy z domów lepsi, dojralsi, przepełnieni etyką

troski, wytrenowani i bez nałogów. Że Krystian Lupa ze swoich 200 kawałków, które otrzymał za ostatnią premierę „Capri” w Teatrze Powszechnym, ufunduje jakiemuś przemieszczającemu głodem aktorowi sowite stypendium – w akcie środowiskowej solidarności. A co tam, śmiało, nie ograniczajmy marzeń, nawet kilkumiesięcznym aktorom i dramaturgom!

A wracając do rzeczywistości – ogłaszanie na koniec roku 2020 różnych rankingów i opowiadanie o walce z nadprodukcją przypomina dźwięki muzyki orkiestry na „Titanicu”, zagłuszającej podstawowe kwestie. Po pierwsze, chociaż ludzie znienawidzili teatr w Internecie, to na dobrą sprawę nie wiadomo, czy zechcą wrócić na widowienie. Nie wiemy, czy pandemia na dobre nie zmieniła zwyczajów odbiorców kultury. Po drugie zaś, nie wiemy, w jakiej formie kultura dożyje czasów powrotu do normalności. Korzystając z okazji olbrzymiego spadku liczby wydarzeń, samorządy (w Polsce głównie to one finansują instytucje kulturalne) przyszyły budżety rozmaitym jednostkom. Nie wiadomo, czy w kolejnych

latach zechcą je przywrócić choćby i do poprzedniej wysokości. Nie ułatwią im decyzji masochistyczne dywagacje zrodzone z ducha filozofii krytycznej i krytyki instytucjonalnej. Znając mentalność co poniektórych samorządowców, mogę sobie wyobrazić ich reakcję na tego rodzaju postulaty i odkrycia. Dostajemy mniej, więc i mniej musimy za to płacić, chyba proste? A już na pewno sytuacji nie poprawi – ostatnio modne – skrajne upolitycznienie instytucji kultury. Jawne deklaracje aktywizmu to niebezpieczna droga w jedną stronę. Skoro dyrekcje i zespoły państwowych instytucji manifestacyjnie stają po jednej stronie sporu politycznego, to co mają wspólnego z misją bycia „publicznym” – czyli otwartym dla wszystkich, niezależnie od poglądów? I do czego w takim razie są im potrzebne – publiczne przecię – pieniądze? Nie mówiąc już o fakcie, że najnowsze wystawy w galeriach i demonstracyjne machanie transparentami przy wychodzeniu do okłasków niebezpiecznie zaczynają przypominać sztukę tworzoną w czasach stanu wojennego.

Niżej podpisany na razie nie czuje się ani piękniejszy, ani mądrzejszy. Za to chciałby wierzyć, że z okazji odejścia wirusa wszyscy będziemy mogli po prostu normalnie pracować, a jeśli już z troską, to o standardowe procedury i o publiczne pieniądze, bez zaniżania czy zawyżania stawek, przykrywanego zasłoną dymną słusznych poglądów. Że skończy się nadprodukcja polegająca na zapraszaniu przez kuratorów festiwalu i dyrektorów teatrów ciągle tej samej grupy twórców – ich rzeczywiście możemy nazwać zapracowanymi. I że po pandemii będziemy mieli więcej kulturalnej nadprodukcji – nie tylko w wielkich miastach, lecz także w całej Polsce. ©



Marek Jurek

Opublikowane orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego jest jedynie rozwinięciem orzeczenia z 1997 r. A atak na nie uderza zarówno w prawo do życia, jak i w porządek konstytucyjny Rzeczypospolitej jako taki

Gdyby tylko na podstawie metodologii politycznej sędzić niemal studniową zwłokę w publikacji antyeugenicznego wyroku Trybunału Konstytucyjnego, trzeba by jasno uznać, że kierownictwo PiS ani z wyrokiem, ani z tą zwłoką nie miało nic wspólnego.

PiS-owska metoda polityczna to ustawodawczy blitzkrieg poparty absolutną „jednością przekazu” (bez jakiegokolwiek relatywizmu), frontalne uderzenie na forum parlamentu, kierowane przez sprawnie działających liderów z partyjnej czołówki. Niczego takiego nie widzieliśmy w sprawie usunięcia z prawa dopuszczalności zabijania niepełnosprawnych przed urodzeniem, ciągnącej się od co najmniej czterech lat. Dość przypomnieć największe kuriozum tej sprawy: podkomisję do prac nad projektem „Zatrzymaj aborcję”, która nie zebrała się ani razu. To najbardziej spektakularna demonstracja abdykacji z władzy parlamentu, z jego wyborczego mandatu, czego konsekwencją było zrzucenie kłopotu z niechcianymi dziećmi na Trybunał Konstytucyjny.

CIĄGŁOŚĆ PORZĄDKU KONSTYTUCYJNEGO

Sposób przyjmowania prawa buduje jego autorytet, choć stanowi o nim przede wszystkim jego treść, jej odniesienie do dobra wspólnego. Zamiast ustanawiania nowej normy konstytucyjnej wystarczyło stale przypominać Orzeczenie Trybunału z 28 maja 1997 r., z jego sentencją o ochronie życia od poczęcia jako koniecznym wymogu demokracji i praworządności. Jednak tego, co należało robić stale, przywódcy obozu PiS nie robili w ogóle. Sam parokrotnie (choć bezskutecznie) apelowałem do prezydenta, by w telewizyjnym orędziu, jako gwarant porządku konstytucyjnego,

życie przeciw nicości

FOT. RÓDEK PETRUSZKA/PAP

przypominał tamto orzeczenie jako kryterium debaty na temat prawa do życia.

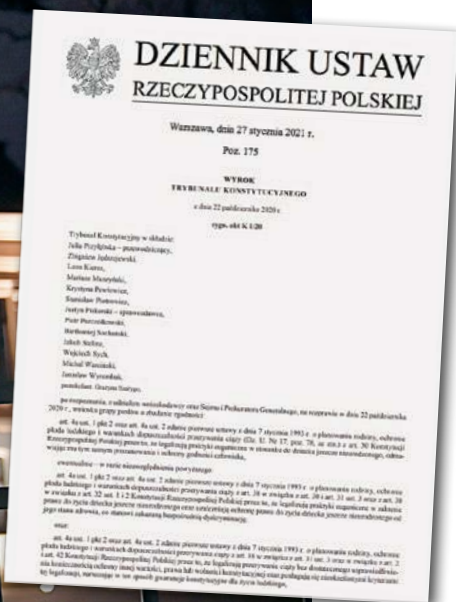
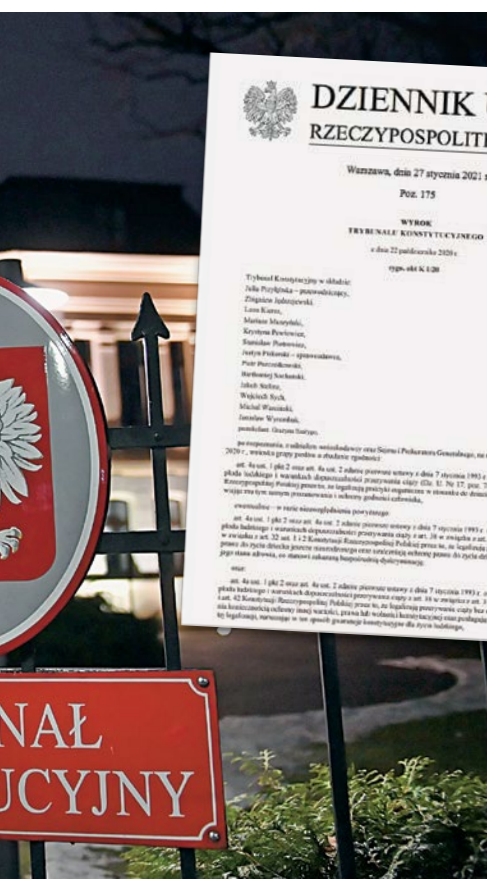
Orzeczenie z 1997 r. należało przypominać stale i w oparciu o nie dokonać zmian w prawie zaraz po pojawieniu się w Sejmie obywatelskiej inicjatywy „Stop aborcji”. Niezależnie jednak od tych wszystkich zaszciości (których jednak nie można unieważniać, bo dobrą politykę należy dobrze wykonywać) najważniejsze, że wyrok z 22 października ubiegłego roku został w końcu formalnie ogłoszony. Z punktu widzenia siły i spójności porządku konstytucyjnego szczególnie istotne jest to, iż w jego uzasadnieniu (p. 3.3.1) Trybunał przypominał, że definitywne potwierdzenie „podmiotowości prawnej dziecka w okresie przed narodzinami, a w konsekwencji konstytucyjnej ochrony jego życia” zawiera się już w „orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997”. To nowe orzeczenie jest jedynie rozwinięciem tamtego, sprzed prawie ćwierć wieku, a atak na nie – niezależnie od wszystkich pretekstów – uderza zarówno w prawo do życia, jak i w porządek konstytucyjny Rzeczypospolitej jako taki.

Ten atak jest jednak faktem. Z jednej strony widzimy bowiem władzę, traktu-

jącą ciągle prawo do życia jako „kwestię światopoglądową”, a także demobilizowane prawicowe środowiska, którym przez całe lata dawano do zrozumienia, że kwestia prawa do życia jedynie władzy przeszkadza, z drugiej – zrewoltowaną skrajną lewicę, której antykonstytucyjnych zbiegowisk nawet rząd nie chce nazywać po imieniu, wspierające je instytucje zagraniczne i opozycję, która już dawno straciła wszelki zmysł państwa i skrupuły polityczne, a przede wszystkim zantagonizowane przez władzę środowiska prawnicze i (częściowo) lekarskie. W takich warunkach rozstrzygać się będzie teraz realny wpływ decyzji Trybunału na działanie państwa i reakcje społeczeństwa.

GWARANT KONSTYTUCJI

Efektywne rządy prawa potrzebują oparcia społecznego, opinii publicznej wspierającej prawo (czyli przeciwniej jego łamaniu, oczekującej jego wykonywania) i wreszcie – przekonanych wykonawców prawa. Żadna ustawa edukacyjna nie będzie działać dobrze, jeżeli z jej celami nie będą identyfikować się nauczyciele. Dziś więc trzeba odbudować aktywne poparcie opinii publicznej dla prawa do życia. Jeśli są „protesty”, to trzeba pokazać, że nie



prezydenta powołanego na drugą turę jest jeszcze większa. Zapewniany mu przez Rzeczpospolitą status urzędowy, który zachowa do końca życia, ma chronić go przed pokusą oportunistów, ma zwiększać jego niezależność, konieczną do wykonywania suwerennej władzy.

Prezydent nie może traktować wyroku Trybunału jak deklaracji politycznej. Jeśli jednak zastanawia się nad nastrojami społecznymi, to powinien przede wszystkim pamiętać, że o jego wyborze zadecydowały 2 mln wyborców, którzy nie głosowali na niego w pierwszej turze, a jednak poparli go w ostatecznym głosowaniu. Jeśli tylko co czwarty wyborca wśród nich zostałby w domu, to Andrzej Duda (który drugą turę wygrał większością 420 tys. głosów) prezydentem by już nie był. Prezydent może nie rozumieć oczekiwań obrońców życia, ale musi je rozważyć i na nie reagować. Oczywiście, opinii publicznej nie można sprowadzać do popierania wystąpień przywódców politycznych, ale – szczególnie po latach demobilizowania społeczeństwa – mają oni tu konieczną pracę do wykonania. Tym bardziej że gdy prawda walczy z kłamstwem, konieczne są racje, ale i siła mikrofonu.

ABORCYNIE FAKE NEWSY

Po publikacji Uzasadnienia TK renomowany portal prawo.pl napisał, że wyrok Trybunału „oznacza pierwszą w historii zmianę w wypracowanym w 1993 roku kompromisie aborcyjnym”. Nie wiem, czy jest to intencjonalne kłamstwo, choć na pewno funkcjonalne. Ono właśnie ma uśmierzać odpowiedzialność opinii publicznej, wyciszając wszystkie głosy przypominające o obowiązku ochrony życia najsłabszych. Tym gorzej (i tym skuteczniej – z punktu widzenia paraliżowania reakcji społecznych), jeśli bezmyślnie powtarzają to politycy związani z prawicą. Teza o „pierwszej w historii zmianie” ignoruje aborcyjną ustawę z 1996 r., podpisaną przez Aleksandra Kwaśniewskiego, omawiany już wyrok Trybunału z 28 V RP 1997, różnice między przepisami karnymi z lat 1993 i 1997 i zmiany późniejsze, na przykład art. 157a Kodeksu karnego, chroniący

zdrowie dziecka poczętego. Krótko mówiąc – i zmiany przeciw ochronie życia, i cały nieprzerwany wysiłek społeczny oraz polityczny w jego obronie.

Intencjonalny niewątpliwie był atak Moniki Olejnik, która w dniu ogłoszenia uzasadnienia perorowała, że w konstytucji nie ma nic o życiu od poczęcia. Wrodzona wiedza konstytucyjna autorki „Kropki nad i” zwalnia ją od poszukiwania dodatkowej, ale w debacie należy przypomnieć, że (niezależnie od sporów o ich zakres) prawa nienarodzonych są sprawą tak oczywistą, iż nawet w głosie przeciwnym do orzeczenia z 1997 r. (złożonym przez prof. Garlickiego) możemy znaleźć stwierdzenie, że „obiektywny system wartości wynikający z całokształtu norm i zasad konstytucyjnych nakazuje traktowanie życia poczętego jako samoistnego dobra prawnego, któremu przysługuje konstytucyjna ochrona”.

Owszem, ale protagonistom ruchu wypie.alać chodzi właśnie o „uwołnienie ludzi” od „obiektywnego systemu wartości” i „całokształtu norm i zasad konstytucyjnych”. Nienarodzeni bowiem i tu są ofiarą przewrotu jeszcze szerszego. Dobrze ilustruje to osobliwy charakter aborcyjnej koalicji, z tyleż wybitnym, co zaskakującym udziałem liderów politycznego ruchu homoseksualnego.

OPÓR SPOŁECZNY

Żyjemy w czasach demokracji masowej, której centrum jest nie parlament, ale media, w której decyduje nie mandat przedstawicielski, ale medialna rozpoznawalność. To media robią wielkie rewolucje, jeśli grupę uda im się przedstawić jako tłum, a tłum – jako naród. Media nie mają charakteru reprezentatywnego, ale taki zachowuje ciągle państwo. Jego instytucje dają szansę (choć nie gwarancję) wolności narodu. Państwo bowiem, a raczej reprezentująca je klasa rządząca, może również pozostawić społeczeństwo sobie.

Obrona cywilizacji życia ciągle trwa, więc ciągle waży się, czy październikowy wyrok Trybunału stanie się realnym czy martwym prawem. Aktywność lub bierność władz będzie tu miała znaczenie istotne, ale decydujące będzie społeczeństwo. Każdy z nas będzie o tym decydował, bo ład społeczny tworzą i deklaratowane sądy, i opinie podejmowane lub odrzucane, i język, którego używamy; a na koniec to, czy nie stoimy z boku, kiedy trzeba reagować razem i publicznie.



Po publikacji wyroku TK aktywistki Strajku Kobiet wyszły na ulice. Na zdjęciu: Marta Lempart FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Rafał A. Ziemkiewicz

Aborcyjny spór pozwala PiS za jednym razem rozgrywać opozycję, zdusić konkurencję Konfederacji, przykryć bunt przedsiębiorców. Jednak odwracanie uwagi od kryzysu kolejnym kryzysem działa tylko do pewnego momentu

Kryzysem w kryzys

Panie, w co pan gra? W to, proszę pana, w co wygrywam – takimi słowami kończył się jeden z klasycznych już dziś skeczy kabaretu Pod Egidą Jana Pietrzaka (ten, w którym Piotr Fronczewski i Wojciech Pszoniak grali w szachy, aluzyjnie przedstawiając grę prowadzoną przez władzę ze społeczeństwem). Wiele wskazuje na to, że te właśnie słowa doskonale pasują do politycznej sytuacji w naszym kraju

obserwowanej w ubiegłym tygodniu. W chwili, gdy władzy zagroziła akcja nieposłuszeństwa przedsiębiorców, Trybunał Konstytucyjny opublikował uzasadnienie wyroku, uznającego aborcję eugeniczną za niezgodną z konstytucją. Jeśli ktoś zechce się upierać, że publikacja wyroku nie wynikała z bieżących potrzeb politycznych, lecz tylko z własnego, wewnętrznego rytmu pracy Trybunału, który, trzeba przyznać, już

dawno zapowiadała, że nastąpi to „jeszcze w styczniu” – zwracam uwagę, że Trybunał mógł skorzystać z możliwości wyznaczenia dowolnie długiego terminu na dostosowanie przez ustawodawcę przepisów. Często tak robiono, tym razem jednak skorzystano z klauzuli, zgodnie z którą wyrok obowiązuje od momentu publikacji.

A to już jest bez wątpienia decyzja polityczna. I, po licznych manifestacyjnych pokazach siły sprawczej prezesa PiS – na czele z ogłoszoną i przeprowadzoną „w żadnym trybie” „piątką dla zwierząt” – nikt nie wierzy, że tę decyzję podjęli samodzielnie przewodnicząca Przyłębska i sędziowie.

Amerykanie powiadają: „Diabeł, którego znasz, jest zawsze lepszy od nieznanego”. Można powiedzieć, że sprawa aborcji, którą grano w historii III RP wielokrotnie, jest właśnie tym diabłem, którego PiS doskonale zna. Wiadomo, jakie są hasła, możliwości mobilizacyjne i aktywa lewicy oraz feministek, zarządzających hasłami proaborcyjnymi. Mimo gorliwego wsparcia liberalno-lewicowych mediów okrzyki, że „rząd PiS obalą kobiety!”, wznoszone jeszcze za czasów Beaty Szydło, okazywały się wielokrotnie czczymi pogrózkami. „Czarne protesty” jak dotąd zawsze okazywały się „flash mobami” – tłum pojawiał się znikąd i równie szybko zniknął. Oczywiście, nie ma żadnej pewności, że tak musi być zawsze. Jest bardzo prawdopodobne, że władza na to właśnie liczy. Na ulice znowu wyjdzie te same kilkadziesiąt tysięcy „Julek”, identyfikujących się z hasłem „Aborcja jest OK”, i, znając je, znowu przy tym szybko nakręcą się w szalonym radykalizmie (zasłonięte zielonymi chustami szefowe Strajku Kobiet, rzucające kilkadziesiąt minut po publikacji godne Hamasu pogróżki: „Urządzimy wam piekło” i wzywające, by „protestować tak, by zostawić ślady” – czytaj: „jak najwięcej demolki” – doskonale się wpisały w takie oczekiwania). A potem, jak to już kilkakrotnie widzieliśmy, radykalizm grupy inicjatywnej, rozmiągający się z nastrojami ogółu społeczeństwa, sprawi, że protesty stopniowo wygasną.

ROZBIJAJĄC OPOZYCJĘ

PiS, jak sądzę, liczy tutaj także na podział opozycji. To uprawniony wniosek z lekcji, wynikającej z fali protestów po ogłoszeniu przed kilkoma miesiącami wyroku, który teraz doczekał się publikacji uzasadnienia.

Radykalizm tęczowo-feministycznej lewicy, organizującej protesty, utwardza jej żelazny elektorat, ale generalnie osłabia poparcie dla szeroko rozumianego obozu anty-PiS. Analiza sondaży pokazuje, że na tamtych protestach, tak naprawdę, ani PiS nie stracił – to znaczy, sondażowe straty były chwilowe i zostały szybko odrobione – ani też nie zyskała opozycja. I nie tylko opozycja jako całość. Nie zyskała na nich nawet Lewica, która wyraźnie artykułowała oczekiwanie, że wyprowadzenie ludzi na ulice, jeśli nie odbierze wyborców władzy, to przynajmniej przesunie na lewo elektorat antypisowski. W istocie stało się coś wręcz przeciwnego: na Strajku Kobiet najwięcej straciła PO, która nie umiała się od lewicowych radykałów odciąć, a najwięcej zyskał Hołownia, który zajął stanowisko umiarkowane, w duchu „kompromisu aborcyjnego”, uwiarygodnione sławnym „wyp.....łaj”, które usłyszał od Marty Lempart.

Mówiąc krótko, liberalizacja prawa aborcyjnego jest tematem bardzo wygodnym dla opozycji ulicznej, ale niewygodnym dla opozycji parlamentarnej. Dzieli ją, zmusza do niezrozumiałych dla wyborców piruetów, do deklaracji „za, a nawet przeciw”. Jak na razie w większym stopniu niż radykalnej lewicy służy to obozowi władzy.

Na protestach po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, pod koniec ubiegłego roku, straciła też Konfederacja, którą w oczach wyborców reprezentowali w tamtych sporach narodowcy, wzywający do „obrony kościołów” (oczywiście, żeby być ścisłym, Straż Narodowa Roberta Bąkowskiego ze strukturami Konfederacji nie miała nic wspólnego, ale przeciętny wyborca nie dostrzega ani nie rozumie niuansów). To, z punktu widzenia prezesa PiS, bardzo istotna sprawa. Jego realizowana od wielu lat doktryna polityczna zakładała zawsze, że na prawo od jego partii nie może być niczego. W sposobie myślenia Jarosława Kaczyńskiego opozycja lewicowo-liberalna jest gripą, natomiast prawicowa – dzumą, by użyć znanego powiedzenia z poprzedniej epoki. Ta lewicowo-liberalna zbiera bowiem, zagospodarowuje i tasuje na różne sposoby wyborców, którzy i tak są straceni dla jakkolwiek rozumianej centroprawicy, czy przybierze ona maskę „nowoczesnej chadecji”, tak jak dawne Porozumienie Centrum, czy „oboju patriotycznego”, tak jak Porozumienie dla Polski, czy formacji na-

Rewolucja to mniejszy problem niż erozja władzy, którą jest otwieranie kolejnych biznesów wbrew zarządzeniom

rodowo-eurosceptycznej, którą próbuje być obecnie PiS. Natomiast opozycja „na prawo od Kaczyńskiego” odbiera mu „jego” elektorat, ten, który przy braku prawicowej alternatywy, nawet mając do niego rozliczne zastrzeżenia, będzie musiał wybrać go jako mniejsze zło od liberałów i lewicy.

PRZYKRYWANIE ROSNĄCEJ KONFEDERACJI

Ta opozycja „na prawo od PiS”, którą stanowi obecnie Konfederacja, w ostatnich tygodniach znalazła się na fali wznoszącej. Już nie jako formacja narodowców, użerająca się pod kościołami z bojówkami LGBT, ale gospodarczych liberałów, udzielających wsparcia zbuntowanym przedsiębiorcom, podsyłających im prawników, pomysły na obchodzenie rządowych obostrzeń i domagających się ustawowego zniesienia lockdownu. Sondaże szybko to odnotowały niewielkim, ale jednak zauważalnym wzrostem notowań. Akcja przedsiębiorców sama w sobie też była dla rządzących – a przynajmniej powinna być – poważnym bólem głowy. Rewolucja – pomijając już, że od manifestacji ulicznych, choćby nawet będących frekwencyjnym sukcesem, do rewolucji daleko – to znacznie mniejszy problem niż erozja władzy. A otwieranie się, wbrew zarządzeniom, kolejnych biznesów to nic innego jak właśnie erozja władzy. Nawet liczny tłum na ulicy można opanować, zablokować i rozproszyc. Jeśli natomiast w różnych miejscach demonstracyjnie zaczynają się otwierać zamknięte przez władze restauracje, kluby i siłownie, to, pomijając już problem braku podstawy prawnej do ich karania, siły porządkowe po prostu nie są w stanie nadążyć z wkraczaniem do nich. A każdy przykład skutecznego i bezkarnego nieposłuszeństwa wobec przepisów zachęca naśladowców.

Wydaje się oczywiste, że uliczne zadymy to dla władzy mniejsze zło, choćby dlatego, że przykrywają w oczach

społeczeństwa mniej spektakularny, choć w istocie dla władzy groźniejszy sprzeciw przedsiębiorców.

Nie należy też zapominać o jeszcze jednej sprawie. Niewiele wiemy o konfliktach wewnątrz Zjednoczonej Prawicy i samego PiS poza tym, że są i że są poważne. Kolejne wzmoczenie „opozycji ulicznej” na pewno pomaga „naczelnikowi” zapanować nad nimi i zdyscyplinować swoich pokłóconych pretorianów. Nie czas na przepychanie się do lepszych miejsc na naszej łódce, gdy cała łódka jest bujana przez wrogów i może zostać przez nich zatopiona.

Jarosław Kaczyński ma dobrze opaloną sztukę zarządzania konfliktami, trudno sądzić, że nagle zapomniał o tym, jakie korzyści osiągał w swej karierze z zaostrzania polaryzacji i wszczynania ideologicznej wojny. Zwłaszcza że w przypadku aborcji jest to wojna na polu dla niego dogodnym. Sondaże nie pozostawiają wątpliwości: zdecydowana większość Polaków, nawet samych tylko Polek, nie uważa, że „aborcja jest OK”. Tym hasłem można przyciągnąć nastolatków, zresztą będących obecnie w szczególnej sytuacji wskutek lockdownu. Ale oni przyjdą, pokrzyczą, wrzucą selfiki na fejsa i filmiki na insta-story, i pójdą, a po tygodniu na ulicy znowu zostanie garstka żelaznych aktywistów KOD, Obywateli RP i LGBT.

Skoro zacząłem od starych żartów Pod Egidą, to przypomnę jeszcze jeden: „Dlaczego w sklepach zabrakło sera? Żeby odwrócić uwagę od braku ryb. A dlaczego nie rzucili ryb? Żeby ludzie zapomnieli o braku wędlin”. Odwracanie uwagi od kryzysu przez wywołanie innego kryzysu skuteczne jest tylko do pewnego momentu. Potem kryzysy mogą się skumulować – tak właśnie, jak stało się w PRL. Kiedy to nastąpi, tego żaden specjalista nie jest w stanie przewidzieć. Być może już teraz. Być może jeszcze nie teraz. Bardziej od kolejnych zadym, które nie są w stanie wytworzyć narzędzi przekładających nastroje ulicy na politykę (próba, w postaci Rady Konsultacyjnej Strajku Kobiet i jej „tez programowych”, okazała się śmiechu warta), stronnicy rządu powinni niepokoić się tym, że nie bardzo wiadomo, czemu właściwie ma służyć kupowanie przez władzę czasu i jaką metę widzi przed sobą coraz bardziej „pływająca rozpaczliwcem” Zjednoczona Prawica.



Łukasz Warzecha

Albo będziemy trwać w unijnym systemie, który faktycznie staje się coraz uciążliwszy, albo znajdziemy się w geopolitycznej próżni

Obowiazki bardzo ciężkiego urzędu sprawiają, że codziennie odczuwam niedostatek własnych środków i potrzebę szczególnych łask. Błogosławieństwo, o które usilnie proszę Waszą Świątobliwość, stanowiłoby dla mnie wyjątkowo cenną rękojmię i zachętę – tak pisał do Piusa XII w maju 1948 r. zajmujący wówczas stanowisko premiera Francji Robert Schuman, jeden z trzech najważniejszych twórców europejskiej jedności, głęboko wierzący katolik. Inne epizody z życia Schumana określają i opisują go pod tym względem równie wyraziście – choćby ten, gdy jako 23-latek uczestniczył w Rzymie w uroczystości beatyfikacji Joanny d'Arc i później wyznaje, jak głęboko poruszyło go, gdy papież Pius X całował francuski sztandar. A pamiętajmy, że Schuman, urodzony w Luksemburgu z Francuza i Luksemburki, miał po ojcu niemieckie obywatelstwo.

Dzisiaj trwają procesy beatyfikacyjne Schumana i Alcidego de Gasperiego, drugiego z trzech ojców zjednoczonej Europy. Trzeci z nich, Jean Monnet, pochodził także z głęboko religijnej rodziny, a jego matka była zaangażowana w Action Catholique, której celem było zwiększenie wpływu katolików na życie społeczne.

Bardzo możliwe, że pojednanie francusko-niemieckie, a tym samym plan zjednoczenia Europy nie powiodłyby się, gdyby nie obecny u wszystkich trzech ojców założycieli silny element wiary, chrześcijańskiego podejścia do wybaczenia oraz zrozumienie, że krzyż jest jednym z fundamentów Europy, musi więc być obecny również w nowej wspólnotce – Europejskiej Wspólnocie Węgla i Stali, protoplaście Unii Europejskiej.

Dla wielu współczesnych europejskich federalistów, słabo znających historię naszego kontynentu, życiorysy Schumana, Monneta i de Gasperiego mogą być szokiem. Z ich przekonaniami, z głęboką i nieskrywaną wiarą każdy z nich byłby dzisiaj na marginesie głównego nurtu



Gorzka UE, ale konieczna

UE. To pokazuje, jak dramatycznie daleko obecna UE odeszła od wartości, na których ją ufundowano.

Prawdą jest jednak i to, że nawet wstępując do Unii – już przecież mocno odmiennej od tego, co chcieli urzeczywistniać Schuman, de Gasperi i Monnet – nie mieliśmy dość wyobraźni, żeby przewidzieć, w jakim kierunku pójdą sprawy w ciągu kolejnych 16 lat. I nie mówię tu tylko, może nawet nie przede wszystkim, o agresywnej laicyzacji, ale o kwestiach takich jak popychanie UE drogą klimatycznego szaleństwa, którego koszt trzeba liczyć na biliony euro wydatków inwestycyjnych, utraconych PKB i większych kosztów dla każdego gospodarstwa domowego w państwach członkowskich.

Kłopot i w tym, że w tych fundamentalnych sprawach, które wpłyną nieuchronnie na zamożność Polaków w kolejnych dekadach, niczego istotnego nie uzyskaliśmy ani nie wytargowaliśmy. Tam, gdzie właśnie należało się położyć Rejtanem, my, owszem, położyliśmy, ale uszy po sobie. I stało się to niestety w dużej mierze już po 2015 r. Ta niby-przełomowa data w gruncie rzeczy niewiele zmieniła – nadal płyniemy w głównym nurcie, okraszając to jedynie co i raz buńczuczną retoryką. Efekty są jednak niemal identyczne jak przed dojściem Zjednoczonej Prawicy do władzy.

Łatwo jest sporządzić bilans finansowych korzyści z członkostwa, podsumowując po prostu to, co do Polski napłynęło w postaci unijnych funduszy. Znacznie trudniej stworzyć bilans całościowy, a więc uwzględniający korzyści wytransferowane za sprawą interesów robionych w naszym kraju przez firmy z państw będących płatnikami netto, a także polskie straty, wynikające na przykład z konieczności stosowania norm unijnych, będących w gruncie

rzeczy wymysłem znudzonych biurokratów albo dobrze ukrytych lobbystów, za to niemających większego wpływu na jakość usług czy produktów; lub też strat polskich gospodarstw domowych, które zmuszone są płacić więcej za towary i usługi z powodu ciążących na producentach norm i regulacji. Pierwszy z brzegu przykład to ceny samochodów produkowanych na europejski rynek. Taki całościowy bilans mógłby być dla wielu niewygodny, bo wcale nie musiałby pokazać wyraźnej przewagi korzyści nad stratami.

Wszystko to może prowadzić do wniosku, który w debacie „Do Rzeczy” się już przewijał – pora zacząć myśleć o polexicie jako realnym wariantcie. Jestem ostatnią osobą, która domagałaby się, aby tę myśl rugować z debaty publicznej na tej samej zasadzie, jak niektórzy domagają się wykluczenia z niej na przykład „negacionistów klimatycznych”. To pomysł równie niemądry – rodzaj cenzury poglądów. Roztropność w polityce powinna polegać na tym, że żadnego wariantu zdarzeń nie uznaje się za całkowicie nieprawdopodobny.

OGRANICZONE POLE WYBORU

Roztropność powinna jednak polegać i na tym, aby zastanawiać się, co się zdarzy, gdybyśmy dany wariant wybrali. I tu, niestety, nasze pole manewru okazuje się ograniczone. Nie jesteśmy Norwegią, Szwajcarią ani nawet Wielką Brytanią. Wszystkie te trzy kraje (przyczem Szwajcaria nie jest nawet członkiem Europejskiego Obszaru Gospodarczego) mają specyficzną historię, a przede wszystkim wyjątkowe położenie – kłania się zapomniana przez ponad dwie dekady po 1989 r., a teraz przeżywająca renesans geopolityka. Tamte państwa, nie będąc członkami UE lub z niej występując (kazus



ważniejszymi aktorami europejskiej gry, w tym z Niemcami, nie zaś ze sobą nawzajem, z USA czy Polską.

FIASKO OBOZU ŚRODKA

Polska rządzona przez PO w ogóle nie miała ambicji, aby tę koncepcję realizować, a Lech Kaczyński po 2007 r. nie miał możliwości, aby robić to samodzielnie. Z kolei Polska po 2015 r. nie starała się nawiązać do tamtego planu poza czczymi hasłami, zdecydowawszy się na płynięcie w najważniejszych sprawach z głównym europejskim nurtem. Na dodatek agresywna antyniemiecka retoryka Warszawy raczej odstraszała, niż zachęcała do współdziałania potencjalnych partnerów z regionu. Dlatego wciąż jesteśmy politycznie w tym samym miejscu.

To zaś stawia przed nami w tej chwili wybór: albo będziemy trwać w unijnym systemie, który faktycznie staje się coraz uciążliwszy, albo znajdziemy się w geopolitycznej próżni, gdzie działających na nas sił nie będą ograniczały bądź co bądź jednak temperujące brutalną międzynarodową grę unijne reguły. Na razie bilans powinien być w tej sprawie oczywisty, jakkolwiek może być gorzki – warto być w Unii.

W stosunkach międzynarodowych obowiązuje jednak – przy zawieraniu umów – zasada *rebus sic stantibus* – umowa pozostaje w mocy, o ile radykalnie nie zmienia się okoliczności, w których była zawierana. Okoliczności, w jakich przystępowaliśmy do Wspólnoty w 2004 r., już mocno się zmieniły, choć wciąż nie na tyle, aby unieważnić powody, jakie nami wtedy kierowały. Nic jednak nie jest dane na zawsze ani nic nie jest wieczne. Dlatego bądźmy przygotowani na każdy wariant rozwoju wypadków. Oraz wybijmy sobie z głowy absurdalne pomysły w rodzaju wpisywania członkostwa w UE do konstytucji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zjednoczonego Królestwa), nie znajdują się w geopolitycznej próżni, na styku geopolitycznych płyt tektonicznych. Polska zaś leży dokładnie w takim miejscu, co w pewnych okolicznościach może być naszym atutem, ale znacznie częściej bywa przekleństwem.

Unia Europejska, poza tym, że jest wspólnotą polityczną, gospodarczą, także niestety biurokratyczną – bo już coraz mniej wspólnotą wartości – jest też częścią rzeczywistości geopolitycznej. W tej sprawie niestety dla nas nic się nie zmieniło od ponad 300 lat. Leżymy wciąż między Niemcami a Rosją – jak swoją książkę z roku 1937 zatytułował Adolf Bocheński. Wybitny publicysta i analityk opisał w niej cztery warianty polskiej sytuacji. Po pierwsze, koalicję niemiecko-rosyjską przeciwko Polsce. Po drugie, antagonizm niemiecko-rosyjski w ostrej fazie, prowadzący do rozbicia jednego z tych organizmów państwowych przez drugi. Po trzecie, antagonizm niemiecko-rosyjski w fazie chronicznej (Bocheński dodawał: „jak obecnie”, czyli w roku 1937, co radykalnie zmieniło się przed wybuchem wojny na wariant pierwszy). Po czwarte, wzajemny antagonizm również w fazie chronicznej, z tym że Polska opierałaby się na jednym z dwóch mocarstw w obronie swojej integralności. Te cztery warianty to wciąż wszystkie realnie istniejące możliwości.

Rację mają ci, którzy twierdzą, że zwłaszcza po odejściu Wielkiej Brytanii UE to przede wszystkim twór niemiecki i że to Berlin odgrywa w niej obecnie dominującą rolę. To wynika po prostu z siły gospodarczej oraz organizacyjnej niemieckiego państwa. Na tę rzeczywistość nie można się obrażać, potrząsanie szabelką jest tutaj dziecinne. Ona nie zniknie od płomiennych przemówień. Ją trzeba po prostu uwzględnić w swoich rachubach.

Patrząc na schemat Bocheńskiego, sytuacja mieści się obecnie gdzieś pomiędzy wariantem czwartym a pierwszym. Pierwszy wariant działa przede wszystkim w konkretnych kwestiach gospodarczych czy energetycznych (Nord Stream 2). Czwarty – w wielu kwestiach politycznych, głównie jednak wynika z samej naszej obecności w UE (a więc przymierza z Niemcami). Przy czym w przeciwieństwie do czasów Bocheńskiego mówimy dzisiaj bardziej o obronie przed agresją gospodarczą, informatyczną, polityczną niż militarną. Nie zmienia to faktu, że właśnie ów czwarty wariant jest dla nas najkorzystniejszy.

Tę sytuację bardziej trwale chciał odmienić Lech Kaczyński, trzeba sobie jednak jasno powiedzieć – poniósł porażkę. Nie powiodła się koncepcja, która w uproszczeniu opierała się na stworzeniu własnego obozu państw Europy Środkowej, powiązanych wspólnymi interesami gospodarczymi i politycznymi, z Polską jako przywódcą. Nie jest jej wypełnieniem koncepcja Międzymorza, której uczestnicy zadbali, aby była widziana jak najwięcej. Wygrały tutaj wyraźnie interesy łączące jej poszczególnych uczestników z naj-

Polexit – za czy przeciw?

Wcześniej w tej sprawie na łamach „Do Rzeczy” pisali:

- **Paweł Lisicki** – „Czego naprawdę się boimy?” („Do Rzeczy” nr 48, 23 listopada 2020 r.)
- **Rafał A. Ziemkiewicz** – „Chcesz pozostać w Unii, szukaj polexit” („Do Rzeczy” nr 48, 23 listopada 2020 r.)
- **Piotr Semka** – „Nie wszystko jest takie proste” („Do Rzeczy” nr 49, 30 listopada 2020 r.)
- **Tomasz Sommer** – „Unia przekupuje nas funduszami” („Do Rzeczy” nr 50, 7 grudnia 2020 r.)
- **Marek Jurek** – „Nowa geopolityka” („Do Rzeczy” nr 51, 14 grudnia 2020 r.)
- **Tomasz Cukiernik** – „Alternatywa dla Unii” („Do Rzeczy” nr 1, 1 stycznia 2021 r.)
- **Paweł Lisicki** – „Paradoksy eurorealistów” („Do Rzeczy” nr 2, 11 stycznia 2021 r.)
- **Stanisław Michalkiewicz** – „UE nadal będzie obezwładniała państwa członkowskie” („Do Rzeczy” nr 3, 18 stycznia 2021 r.)



Z Michałem Rzepiakiem
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Największą sportową publiczność w II RP zyskał mecz mistrzostw świata w piłce nożnej pomiędzy Polską a Brazylią. Ze stadionu w Strasburgu komentował go pański dziadek...

MICHAŁ RZEPIAK: 5 czerwca 1938 r. na Stade de la Meinau mecz oglądało prawie 15 tys. widzów, w tym 1 tys. Polaków, a słuchała – trudna do oszacowania – liczba słuchaczy przy odbiornikach radiowych w całym kraju. Mój dziadek, Michał Frank, sprawozdawca sportowy Polskiego Radia, mecz relacjonował z dachu trybuny stadionu! Warunki techniczne, ale i pogodowe, szczególnie po pierwszej połowie, nie były sprzyjające. W wywiadzie udzielonym po meczu tygodnikowi „Antena” stwierdził, że najgorszy moment miał przy stanie 4:4 i zarządzonej dogrywce, ponieważ nie mając obsługi technicznej w pobliżu, nie wiedział, czy Polskie Radio transmituje dodatkowy czas gry i czy jest słyszany. Jednak przez 38 minut mówił do mikrofonu, moknąc przy tym niemiłosiernie.

Uzupełnijmy: Polacy przegrali 5:6. Cztery gole strzelił Ernest Wilimowski, co przez ponad pół wieku było mundialowym rekordem snajperskim, a bramkarz Edward Madejski został w PRL skazany za szpiegostwo.

Po latach, w 2010 r., Andrzej Łapicki, aktor i miłośnik sportu wspominał: [...] Pamiętam wspaniały mecz: co Leonidas strzelił, to Wilimowski wyrównał – thriller. Na stanowisku spikera występował świetny, zapomniany sprawozdawca Michał Frank, który relacjonował z flegmą angielskiego dżentelmena – żadnych: „Proszę państwa... och!, ach!”. Spokojny opis sytuacji wywoływał napięcie większe od historycznych amoków, będących w modzie”.

Pierwotnie Michał Frank nosił inne imię. Co wiadomo o jego genealogii?

Do 24. roku życia miał na imię Mojżesz. Urodził się w rodzinie żydowskiej, w Warszawie 28 lutego 1907 r. O jego korzeniach rodzinnych wiem niewiele. Rodzice, Fanny i Gerszon (Gustaw) Frank, mieszkali w Warszawie. Jego ojciec zmarł w 1931 r. Miał młodszą siostrę, która przeżyła wojnę i zamieszkała w Izraelu. Jej świadectwo znajduje się w instytucie Yad Vashem w Jerozolimie. Zostało złożone w 1999 r. Kilka lat temu udało mi się nawiązać kontakt



Mistrzostwa świata we Francji.
Mecz Polska-Brazylia. Na zdjęciu
Władysław Szczepaniak
(w środku), Leonidas da Silva
(z lewej) i Edward Madejski
(z prawej) FOT. NAC

Głos z tamtego świata

z jej synem mieszkającym w Hajfie, ale po krótkiej wymianie korespondencji kontakt się urwał. Konwersja religijna na katolicyzm, w wyniku której dziadek przyjął imię Michał, mogła – jak widać – stwarzać problem i wtedy, i dziś.

Kiedy i jak w jego życiu zainicjowało Wilno?

Po zdaniu matury w III Gimnazjum Męskim w Warszawie w 1925 r. dziadek wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W kwestionariuszu akademickim napisał: narodowość polska, wyznanie mojżeszowe. Służba wojskowa, m.in. w Szkole Podchorążych Sanitarnych Rezerwy w Warszawie, a potem półroczna praktyka spowodowała przerwanie studiów, na które wrócił z początkiem lat 30. Zachowany odpis dyplomu lekarskiego datowany jest na listopad 1937 r. Wilno to także działalność w Komendzie Okręgu Związku Strzeleckiego, Polskim Związku Piłki Nożnej i Związku Lekkoatletycznym,

a także sędziowanie meczów piłkarskich. No i sprawa najważniejsza – ślub w 1931 r. z moją babcią, Władysławą Borkowską, w kościele Ducha Świętego, a przedtem chrzest w wileńskim kościele pw. św. św. Jakuba i Filipa.

Komu zawdzięczał fascynację sportem?

Nie wiem, ale sądzę, że swojemu charakterowi i – jak się wydaje – niespożytej energii i zainteresowaniom. Z ankiet wojskowych na stopień oficerski z 1934 r. wynika, że miał uprawnienia instruktorskie i sędziowskie w piłce nożnej, lekkiej atletyce, pięściarstwie i narciarstwie.

Zrazu porzucił stetoskop na rzecz pióra?

Stetoskopu nie porzucił. Medycynę, sport i paranie się pisaniem na tematy sędziowskie, m.in. w tygodniku „Sport Polski”, łączył w sposób dziś trudny do wyobrażenia, a do tego, proszę sobie wyobrazić, doszła jeszcze praca w Polskim Radiu.

W jakich okolicznościach tam trafił?

We wrześniu 1936 r. Polskie Radio zorganizowało pierwszy raz w swojej historii [istniało już wówczas 11 lat – przyp. T.Z.Z.] otwarty konkurs na sprawozdawcę sportowego. Zgłosiło się 300 kandydatów, w tym 120 z Warszawy. Cóż powiedzieć, Michał Frank pokonał wszystkich i w ten sposób zaczęła się jego radiowa przygoda. Ciekawostką jest, że trzecią lokatę zajął wówczas Witold Dobrowolski, znany po wojnie komentator, m.in. Wyścigu Pokoju.

Co relacjonował na antenie?

Oprócz wspomnianego już meczu Polska-Brazylia w 1938 r. mam informacje o relacji z paryskiego turnieju piłkarskiego Wszystkich Świętych w 1937 r., wygranego przez Polaków, wiem, że relacjonował w marcu 1938 r. spotkanie naszej reprezentacji w Zurychu, miesiąc później występ Białe-Czerwonych w Belgradzie. W lutym 1939 r., wspólnie z Wojciechem Trojanowskim (po drugiej wojnie światowej dziennikarzem sportowym sekcji polskiej Radia Wolna Europa), obsługiwał FIS – tak wówczas określano mistrzostwa świata w narciarstwie – w Zakopanem. Wiąże się z tym ciekawa historia, mianowicie para reporterów Trojanowski-Frank wykonała po raz pierwszy na sportowej antenie tzw. transmisję łączeniową, którą opisał w książce „Radio i sport” Bogdan Tuszyński.

Krótko mówiąc, Trojanowski znajdował się na Kasprowym Wierchu i stamtąd komentował start i część przejazdu, a Frank omawiał poczynania narciarza mniej więcej od połowy trasy aż do mety. W trakcie rywalizacji przekazywali sobie głos. Sęk w tym, że zawodom towarzyszyła gęsta mgła, toteż mieli utrudnione zadanie, ale jako intuicyjnie podołali zadaniu.

Skąd się wzięły orderzy Franka?

W wileńskim dokumencie – liście kwalifikacyjnej Kadry Zapasowej 8. Szpitala Okręgowego – w rubryce „odznaczenia” wymienione są polski Srebrny Krzyż Zasługi oraz estoński Order Krzyża Białego Związku Obrony – Valgerist. Niestety, nie wiem, jakie były powody uhonorowania nimi dziadka. Staram się zdobyć więcej informacji na ten temat.

Uczestniczył w kampanii wrześniowej?

We wrześniu 1939 r. został wysłany do Wilna i Grodna w celu zorganizowania konspiracyjnej siatki Organizacji Orła Białego, opartej na przedwojennych struk-

turach Związku Strzeleckiego. Zachował się dokument delegacyjny datowany na 1 września wydany przez Ministerstwo Transportu. Jest to zgoda dla Michała Franka, asesora PKP w Ministerstwie Komunikacji, w związku z powszechną mobilizacją, „do wyjazdu dla uregulowania pilnych spraw prywatnych do Wilna i Grodna w dniach od 1 do 3 września 1939 r.”.

Czym się zajmował podczas konspiracji?

Od jesieni 1939 r. działał w Wydziale Legalizacji Dowództwa Głównego Służby Zwycięstwu Polski. Warszawski lokal



Michał Frank FOT. ARCHIWUM MICHAŁA RZĘPIAKA

przy ul. Miedzianej 4 pełnił podwójną funkcję. Był gabinetem lekarskim dziadka, a także miejscem, które służyło do wydawania fałszywych metryk urodzenia, ślubów i aktów zgonu. W Służbie Zwycięstwu Polski współorganizował „łączność na Wilno”, a następnie stworzył i prowadził komórkę w oddziale II Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. Takie, skrócone informacje podał w „Słowniku biograficznym konspiracji warszawskiej 1939–1944” prof. Andrzej Krzysztof Kunert. Są one doskonałym przyczynkiem do poszerzenia wiedzy o wojennych losach mojego dziadka.

Niemcy aresztowali go dwukrotnie...

Pierwszy raz w kwietniu 1941 r. Znalazł się na Pawiaku, gdzie po śledztwie i brutalnych przesłuchaniach został włączony do pracy w kolumnie sanitarnej wraz z innymi więźniami. Dzięki możliwości w miarę swobodnego poruszania się przenosił informacje i grypsy. Po kilku miesiącach zorganizowano mu ucieczkę.

Po sfigowanym zapaleniu wyrostka robaczkowego trafił do Szpitala Dzieciątka Jezus. Stamtąd go uwolniono.

Niestety po kilku tygodniach został zatrzymany powtórnie. W Muzeum Pawiaka zachowała się notacja, z której wynika, że był bardzo bity, ale nikogo nie ujawnił. Podobno chodziło o jakąś kobietę – więźniarkę działu żeńskiego, tzw. Serbii. Potem kilka miesięcy przesłuchań i izolacji w siedzibie gestapo przy al. Szucha. 17 kwietnia 1942 r. – w grupie kilkusetosobowej – trafił do KL Auschwitz. Po półrocznym pobycie rozstrzelano go 28 października 1942 r. w grupie 280 więźniów. Ten dzień przejmująco opisuje w swoim raporcie rtm. Witold Pilecki. Była to największa zbiorowa egzekucja w dziejach obozu. Zamordowanych spalono w krematoriach. W niemieckim akcie zgonu jako przyczynę śmierci dziadka podano zapalenie płuc.

Jego głos także zginął?

Wierzę, że przetrwał, chociaż jeszcze go nie odnalazłem. Mam nadzieję, że znajdzie się gdzieś w zakamarkach archiwów Polskiego Radia albo innych instytucji, tudzież w zbiorach prywatnych w kraju lub poza jego granicami. Na ten głos, który komentował historyczny mecz Polska-Brazylia, czekają miłośnicy sportu. Czekają także, a może przede wszystkim córka Michała Franka, Maria Rzepiak – moja mama, która ma dzisiaj 83 lata. Ojca straciła, mając lat pięć. Jestem przekonany, że głos dziadka się odnajdzie!

Co po Michale Franku pozostało?

Pozostała serdeczna pamięć o nieprzeciętnym człowieku, którego życie tak ciekawe i pełne planów okrutnie przerwano w 35. roku życia. A także gorzkość, że Niemcy wspólnie z Sowietami doprowadzili do systemowego unicestwienia olbrzymiej części narodu polskiego. Skutki tej hekatombi odczuwamy do dzisiaj, szczególnie w sferze intelektualnej.

Mam pudełko z dokumentami i ze zdjęciami po Michale Franku, ale zamiast takich pamiątek chciałbym go poznać, posłuchać jego opowieści i pójść z nim – będąc dzieckiem – na spacer, a później na mecz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Michał Rzepiak – dziennikarz od lat związany z Trójmiastem, m.in. z „Dziennikiem Bałtyckim” i Radiem Gdańsk.



Tomasz Stańczyk

Podolskie powiaty borszczowski, buczacki, czortkowski i zaleszczycki nazywano krajem słońca oraz winnic, należącym do śródziemnomorskiej strefy klimatycznej i odznaczającym się „wczesną wiosną, upalnym latem, długą pogodną jesienią”

Sezon turystyczny trwał na ciepłym Podolu od połowy kwietnia do połowy października, a więc pół roku. Nasłonecznienie było największe w Polsce – liczba godzin słonecznych sięgała nawet 1,9 tys. Temperatury w cieniu dochodziły do 38 stopni, a w słońcu sięgały aż 63 stopni. Jednak były też minusy – silne wiatry, zatem zalety klimatyczne istniały tylko w miejscowościach położonych w jarach rzecznych.

Ciepłe Podole reklamowano także jako miejsce kuracji winogronowych i owocowych. Na Podolu były liczne winnice, a także sady, w których dominowały morele. Jedną z odmian nazywała się zaleszczycka. Do XIX w. uważano jednak morele za „liczy owoc” i dopiero wymarzenie sadów na Węgrzech dało impuls do rozwoju uprawy tych owoców na Podolu. Pierwszy sad morelowy powstał w 1870 r. W połowie lat 30. XX w. z sadów na Podolu wywożono 700 ton moreli. Były one – a także gruszki – słodsze, bardziej aromatyczne i lepiej wybarwione niż pochodzące z sadów w innych rejonach Polski.

Klimat sprzyjał także wybitnie uprawie kawonów i melonów, a także orzechów włoskich w Kutach oraz Kosowie, gdzie lecznicze walory orzechów propagował dr Apolinary Tarnawski, właściciel słynnej lecznicy. Do rozwoju Podola jako rejonu sadowniczego przyczyniło się powstanie na początku XX w. krajowego Zakładu Sadowniczego w Zaleszczykach. Była to zasługa ziemianina Tadeusza Cieńskiego. W latach II Rzeczypospolitej placówkę przekształcono w Państwowy Instytut Ogrodniczy.

KLIMAT I TURYSTYKA

Ciepłe Podole polecano chorującym m.in. na otyłość i zaparcie, skazę moczową, przewlekły gościec i choroby skórne, których leczenie wspomagało



światło słoneczne. Było to także miejsce dla wyczerpanych pracą, a tych nigdy nie brakowało. „Wśród winnic i sadów spójność i pokrzepienie po całorocznych trudach” – głosiło hasło reklamowe.

Dla kuracjuszy i turystów atrakcjami były malownicze jary rzek Dniestru, Seretu i Zbrucza. Najwięcej wsi letniskowych było nad pierwszą z tych rzek. Poza pensjonatami oferowano mieszkania w domach oraz chatkach włościańskich będących pod kontrolą czynnych samorządowych komisji letniskowych, czyli agroturystykę. Jednak oprócz chłopskiej agroturystyki była też ziemiańska. Można było spędzić wakacje we dworze w Zazulińcach nad Dniestrem. Właściciele reklamowali kort tenisowy, mieli dla letników dwie łódki, proponowali „spacery” wozem konnym i autem. We dworze były radio, patefon i pianino. A okolica oferowała udane grzybobranie i wędkowanie.

W Skomorochach i Beremianach oferowano domki kempingowe z werandami. Były tam też niewielkie schroniska turystyczne. Brakowało jednak sklepów spożywczych, skoro zwracano uwagę na możliwości aprowizowania się w Beremianach we dworze i we wsi. Można było się tam zaopatrywać także w mleczarni.

Turystom proponowano spływy kajakowe Dniestrem i Seretem (najpiękniejszy odcinek rzeki znajdował się

między Kasperowcami a Monasterkami), wycieczki do słynnych Okopów św. Trójcy, gdzie znajdowały się reliktory dawnych fortyfikacji z czasów wojen polsko-tureckich w czasach Jana III Sobieskiego, do Jazłowca z nagrobkiem renesansowego kompozytora Mikołaja Gomółki, skały, gdzie można było oglądać ruiny zamku, a także pałacu Tarłów, Czerwonogrodu, dla obejrzenia zamku Ponińskich i 16-metrowej wysokości wodospadu na rzece Dżuryn, jaru Dupy, „ze względu na liczne skały fantastycznych kształtów.

Atrakcją były też skały zwane „Pucharem Sobieskiego” i „Sfinksem Podolskim”, koło Holihradów, oraz jaskinia „kryształowa” blisko miejscowości Krzywczów, uważana za europejską osobliwość. Ściany jaskini „tworzą jedną ogromną drużę kryształową barwy białej i jasnożółtej”. W latach międzywojennych udostępnione do zwiedzania z przewodnikiem były 4 km podziemi.

ZALESZCZYKI

Zaleszczyki, położone w zakolu Dniestru, liczące w latach 30. XX w. – gdy przeżywały swój rozkwit jako stacja klimatyczna – ok. 6 tys. mieszkańców, spośród których połowę stanowili Polacy, a drugą połowę Żydzi i Ukraińcy, zachwycały położeniem wśród winnic i sadów morelowych oraz posiadały



Plaża nad Dniestrem w Zaleszczykach. FOT. NAC



Tarnopolem a Zaleszczykami – ok. 60 km. Była to komunikacyjna propozycja dla najbogatszych kuracjuszy i turystów.

WINNICE

Podole miało znakomite warunki glebowe i klimatyczne do uprawy winorośli. I w niej upatrywano szansę na podniesienie dobrobytu ludności (podobnie jak w uprawie lnu na Wileńszczyźnie). Szacowano, że półhektarowa winnica może dać właścicielowi 1 tys. zł czystego zysku rocznie. W trzecim roku owocowania zwróciłyby się koszty jej założenia.

Podkreślano też, że podolskie winnice mogą uniezależnić Polskę od importu winogron deserowych. A w latach II Rzeczypospolitej, szczególnie podczas światowego kryzysu gospodarczego, który mocno dotknął Polskę, prowadzono politykę samowystarczalności i ograniczania importu powodującego wypływ pieniędzy za granicę.

W 1937 r. na Podolu i Pokuciu było 150 ha winnic, a oceniano, że terenów nadających się pod uprawę winnego grona – na stokach wzgórz i w jarach Dniestru oraz Seretu – jest 10 razy więcej.

Jedną z pierwszych i największych była założona w latach 80. XIX w. winnica Józefa Wartanowicza w Zazulińcach. Liczyła 10 ha, „przy czym swoimi nadzwyczaj słodkimi owocami konkurowała zwycięsko w Czerniowcach, stolicy byłej Bukowiny z winogronami węgierskimi”.

Jednak gdy Galicja należała do Austro-Węgier, towarowa produkcja winogron była nieopłacalna – na rynku naddunajskiej monarchii dominowały winogrona węgierskie.



Święto winobrania w Zaleszczykach, wrzesień 1935 r. (1928 na plakacie oznacza datę założenia winnicy) FOT. NAC

Na większą skalę zaczęto zakładać winnice w latach 20. XX w., a jedną z wybijających się była założona wówczas winnica Gustawa Głazewskiego w Chmielowej, pierwsza profesjonalnie przygotowana do uprawy winnego grona. Wśród pionierów uprawy winorośli na Podolu był Grzegorz Zarugiewicz, urodzony w Kutach, który po praktyce w winnicach w Rumunii w 1929 r. powrócił do Polski, założył winnicę w Borszczowie koło Zaleszczyk i był instruktorem uprawy winorośli Lwowskiej Izby Rolnej. W 1944 r. zagrożony aresztowaniem opuścił Podole. Zamieszkał w Zielonej Górze i tam zajął się poniemieckimi winnicami, został też dyrektorem technicznym w Lubuskiej Wytwórni Win.

Szczególnie polecane do uprawy i cenione przez konsumentów były deserowe odmiany winogron – chrupka złota i różowa (Chasselas doré de Fontainebleau i Chasselas rose). Józef Wartanowicz, jeden z właścicieli winnic, oceniał, że 10-krotny wzrost powierzchni winnic podolskich powinien całkowicie wyeliminować import winogron.

Niektórzy właściciele winnic zaczęli produkować wina gronowe, jednak napotykali przeszkody w postaci obowiązujących jeszcze ustaw austriackich o charakterze prohibycyjnym, a także polityki podatkowej państwa polskiego. Stawka podatkowa w latach 30. XX w. wynosiła 1,4 zł od litra wina, podczas gdy w Rumunii równowartość zaledwie 2–11 gr i była „największa na kuli ziemskiej”, jak żaliła się Zofia Łosiowa, właścicielka winnicy.

Problemem w popularyzacji polskiego wina gronowego było także to, że do jego produkcji przeznaczono odpady: owoce małe, uszkodzone przez grad, opadłe, co źle wpływało na jakość trunku. Produkcja jednak rosła. W 1935 r. wyprodukowano zaledwie 326 l wina, a w 1937 r. już 14 702 l. Jednym z producentów była największa na Podolu winnica Cyryla Czarokowskiego-Golejewskiego w Wysuczce.

Utrzymywano, że podolski riesling nie ustępował jakościowo nawet rieslingom znad Renu.

Popularyzacji produkcji i konsumpcji krajowych winogron, a także wina służyło Święto Winobrania, odbywające się od 1935 r. we wrześniu w Zaleszczykach, rok później objęte protektorem premiera Sławoja Felicjana Składkowskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Ostatnie lata polskich kresów” (Frona).



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koniec jazdy „Szaszłyka”

Bmw pędziło jak szalone. Samochód z rykiem silnika pokonywał kolejne serpentyny drogi prowadzącej na Mazury. 12 km za Mławą – na ostrym zakręcie – auto wpadło w poślizg. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i z impetem wbił się w nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę.

Do zderzenia doszło w czwartek, 31 sierpnia 1995 r. Przybyła na miejsce policja stwierdziła, że kierowca BMW zginął na miejscu. Nie żyło również dwóch chłopców – 14-latek i 12-latek – którzy siedzieli w samochodzie. Z kolei szofer ciężarówki nie ucierpiał.

Policjanci szybko ustalili, że samochód BMW był skradziony i miał fałszywe tablice rejestracyjne. Jego kierowca używał zaś nieprawdziwego nazwiska. W rzeczywistości był to Zdzisław Najmrodzki „Szaszłyk”. Słynny król ucieczek z więzień PRL. Feralnego dnia postanowił zabrać na wycieczkę dwóch synów swojego przyjaciela.

Historię „Szaszłyka” w nowym numerze „Czasypisma” opisał Patryk Pleskot. Z artykułu możemy się dowiedzieć o szczegółach kolejnych skoków, pijackich wybryków i oczywiście

brawurowych ucieczek Najmrodzkiego. Najgłośniejsza była chyba ta ostatnia – dokonana 3 września 1989 r. z zakładu karnego w Gliwicach.

Wspólnicy Najmrodzkiego zrobili podkop, który prowadził z terenu sąsiedniej szkoły na więzienny spacerniak. Podczas rutynowego spaceru „Szaszłyk” – na oczach zdumionych strażników – po prostu zniknął w dziurze w ziemi. Błyskawicznie przeczołgał się na drugą stronę, zrzucił z siebie więzienny kombinezon i uciekł na motorze.

„Trudno wręcz opisać, co działo się w mediach i wielu polskich domach – relacjonuje Patryk Pleskot. – Szaleństwo na punkcie Najmrodzkiego powróciło z podwójną siłą. Czegoś takiego w historii polskiej kryminalistyki jeszcze nie było. Scenariusz kiego filmu zrealizowany w rzeczywistości. To musiało robić wrażenie.

Podziw dla »króla ucieczek« walczył o lepsze ze zdumieniem z powodu nieporadności służb».

Tematem przewodnim nowego „Czasypisma” są losy słynnych śląskich kryminalistów. Kolejny znakomity numer najlepszego periodyku IPN. ©©



★★★★★
„CZASYPISMO”
2 (18)/2020
ADAM DZIUROK
(RED. NACZ.)
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatni skandal Jagiełły

Zwycieczka spod Grunwaldu nie miał udanego życia osobistego. Był żonaty czterokrotnie, a przy okazji każdego związku wybuchał skandal. Tak również było w przypadku jego ostatniego ślubu, gdy 7 lutego 1422 r. poślubił Sonkę (Zofię) Holszańską. Monarcha miał 71 lat, jego wybranka – 17 i była zjawiskowo piękna.

Torturowane dwórki wskazały rycerzy, z którymi królowa miała zdradzać męża

Opowiadano jednak o niej, że jej „uroda piękniejsza była od obyczajów”. Było to określenie zgodne z duchem średniowiecza, gdy bowiem pisano, że księżniczka była „piękniejsza przymiotami serca niż urodą”, to oznaczało, że poddani na widok jej oblicza natychmiast rzucali się do ucieczki. Natomiast „uroda piękniejsza od obyczajów” sygnalizowała mocno podejrzaną reputację.

Dwa lata po ślubie Sonka urodziła pierwszego syna, a w ciągu następnych trzech lat kolejnych dwóch (jeden z nich zmarł w niemowlęctwie). Otoczenie królewskie początkowo ze spokojem przyjęło nadzwyczajną płodność sędziwego Jagiełły, ale przy okazji ostatniej ciąży wybuchł skandal. Królową oskarżono o niewierność i podano pod wątpliwość legalne pochodzenie jej synów. Sprawa była poważna, gdyż chodziło o przyszłość

państwa polskiego, wobec czego uwięziono i poddano torturom dwórki Sonki. Nieśczęsne dziewczyny wskazywały sześciu czy nawet siedmiu (!) rycerzy, z którymi ich pani miała zdradzać męża.

„Hińcza z Rogowa – relacjonował Jan Długosz – który był najbardziej podejrzany o nierząd, usiłował zbiec. Schwytany podczas ucieczki, kiedy popadł w większe podejrzenie, wtrącony głęboko do brudnej wieży w Chęcinach i omal nie wyzionął ducha od smrodu w więzieniu”.

Ucieczka powiodła się Janowi z Konięcpola oraz Piotrowi i Dobiesławowi ze Szczekocin. Mniej szczęścia mieli natomiast: Piotr Kurowski, Wawrzyniec Zaremba i Jan Kraska, którzy podzielili los Hińczy i powędrowali do lochu.

Sonka po urodzeniu syna (przyszłego Kazimierza Jagiellończyka) stanęła przed sądem i złożyła przysięgę oczyszczającą. Uznano to za wystarczający dowód wierności małżeńskiej i od tej pory nikt już nie kwestionował legalnego pochodzenia jej synów. Starszy z nich, Władysław, objął tron w Krakowie po śmierci Jagiełły w czerwcu 1434 r. Sześć lat później został również królem Węgier, a jesienią 1444 r. zginął w bitwie pod Warną. Bohaterska śmierć w walce z niewiernymi spowodowała, że niewiele mówiło się o jego erotycznych upodobaniach. Władysław Warneńczyk okazał się bowiem pierwszym homoseksualistą na polskim tronie, ale to już zupełnie inna historia. ©©



ZNIKAJĄCE WADY KAMALI

Amerykański dziennik „The Washington Post” w lipcu 2019 r. opublikował wywiad z Kamalą Harris. Podczas tej rozmowy Harris opowiedziała m.in. anegdotkę o więźniu, który prosił ją o wodę i – jak wynikało z relacji – podczas opowiadania wybuchała śmiechem. Pani Harris została wiceprezydentem, a z internetowego materiału „WVP” kłopotliwy fragment nagle zniknął. Dostrzegli to dziennikarze magazynu „Reason”. Autocenzurę kolegów w tej sytuacji zarzucił „New York Post”. Po nagłośnieniu tej sprawy kontrowersyjny fragment znów pojawił się w materiale prasowym.

FOT. MANDEL NGAN/AFP/GETTY IMAGES

NIEMCY WYŚLĄ DO OBOZÓW

Niemcy w marcu znowelizowali ustawę dotyczącą zapobiegania chorobom zakaźnym, która pozwala na internowanie osób łamiących zasady kwarantanny. I teraz zapowiadają uruchomienie represji. Najpierw tacy ludzie mają być ostrzegani, potem dostawać grzywnę – a gdy i to nie poskutkuje, będą przymusowo umieszczani w obozach dla uchodźców lub ośrodkach zatrzymań.

ZASZCZEPIENI SOLĄ FIZJOLOGICZNĄ

Kilkunastu medyków we Włoszech zamiast szczepionki wstrzyknęło sól fizjologiczną. To efekt pomyłki personelu w Trentino. Prawdopodobnie pomieszano fiolki i odłożono w miejsce przygotowanych do szczepień także puste. A przed szczepieniem fiolki uzupełnia się roztworem soli fizjologicznej. Na szczęście Włosi mają procedurę kontrolowania liczby fiolek i pomyłka wyszła na jaw. Nie wiadomo tylko, kto z blisko 50 medyków dostał mRNA wirusa, a kto sam roztwór soli. Dlatego wszyscy zostaną przebadani na posiadanie przeciwciał.

CELEBRYCI PRZED KOLEJKAMI

Polscy celebryci byli pionierami – to u nas najpierw wybuchła afera z wypychaniem się przed najbardziej zagrożonych COVID-19. Ten patent stosują teraz inni celebryci ze świata. Austriackie media ujawniły, że tamtejsi znani i lubiani brali „resztki” dawek po szczepieniach podopiecznych w domach opieki. Są wśród nich samorządowcy. Z kolei w Hiszpanii poza kolejnością szczepienie przyjął najwyższy rangą w kraju generał – Miguel Ángel Villaroya, szef Sztabu Obrony. Już podał się do dymisji.

KŁOPOT Z MILIARDEM

Mieszkanka stanu Michigan (USA) wygrała na loterii Mega Millions 1 mld dol. I teraz musi zdecydować, czy chce dostać całość nagrody od razu, czy w ratach przez 30 lat. Wypłata jednorazowa będzie mniejsza – 739,6 mln dol. A po potrąceniu podatku zostanie właściwie „tylko” ok. 530 mln dol. Rozłożenie wypłaty na raty oznacza otrzymanie całości (ale też z potrąconym podatkiem). I jak tu wybrać? ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Covidowa Realpolitik

Pandemia COVID-19 niczym papiererek lakmusowy pokazuje, które rządy na świecie są najbardziej skuteczne.

Warto więc obserwować najlepszych i na tej podstawie odrabiać lekcje z ratującej życie Realpolitik.

Do najlepszych wykładawców z dziedziny skutecznego działania w czasach szalejącego koronawirusa należą władze Izraela oraz Węgier. Ministerstwo zdrowia pierwszego kraju poinformowało, że widzi pierwsze efekty zmasowanej akcji szczepień. W Izraelu zaszczepiono już ok. 80 proc. osób powyżej 60. roku życia, ponad połowę obywateli po pięćdziesiątce

i jedną trzecią tych, którzy skończyli 40 lat. Dzięki temu wskaźnik R, czyli współczynnik reprodukcji wirusa, obniżył się do 0,99. To zaś oznacza, że epidemia powoli, ale jednak zaczyna wygasać. I chociaż nowe mutacje sprawiają, że lockdown zostanie zniesiony później, niż zakładano, to oczekujący na powrót do normalności widzą już światelko w tunelu.

Z kolei rząd w Budapeszcie udzielił ważnej lekcji nieudolnym eurokratom. Po tym, jak Bruksela przyznała, że zamówione przez UE dostawy szczepionek będą o wiele, wiele niższe, niż obiecywa-

no krajom członkowskim, Węgry błyskawicznie podpisali umowy na dostawy chińskiej i rosyjskiej szczepionki. Co więcej, są coraz bliżej uruchomienia produkcji własnej szczepionki. Rząd w Budapeszcie jako pierwszy w Europie podpisał też kontrakt z producentem bamlanivimabu, czyli koktajlu przeciwciał, które pomagają szybciej zwalczyć wirusa COVID-19 i skrócić czas hospitalizacji. Dzięki temu rząd Węgier nie tylko uratuje życie wielu swoich obywateli, lecz także może myśleć o zniesieniu już latem najbardziej uciążliwych dla ludzi i gospodarki ograniczeń. Dla wielu innych państw w Europie ten termin wydaje się już nierealny. ©©



Piotr Włoczyk

Amerykańscy Żydzi sami się śmieją z tak dużej liczby przedstawicieli swojej społeczności w administracji Joe Bidena. Nie tylko pod tym względem nowy amerykański rząd nie przypomina w niczym poprzednich ekip

W judaizmie „minjan” oznacza kworum wymagane do odprawiania nabożeństw publicznych oraz do czytania Tory. Wynosi ono minimum 10 mężczyzn w wieku co najmniej 13 lat.

„Gdy prezydent elekt Joe Biden ogłosił skład swojego gabinetu, po żydowskim Twitterze zaczął krążyć dowcip, że w Zachodnim Skrzydle będzie minjan” – napisał ostatnio Jacob Kornbluh na łamach nowojorskiego magazynu żydowskiego „The Forward”.

Rzeczywiście, takiego gabinetu amerykańska polityka jeszcze nie widziała. Joe Biden wybrał do swojej administracji 10 przedstawicieli społeczności żydowskiej (stanowiącej ok. 2 proc. populacji USA). Podobnie liczni są katolicy (ok. 22 proc. społeczeństwa), ale z kolei na tak wysokim szczeblu ani jednego przedstawiciela nie mają biali ewangelikalni chrześcijanie (15 proc. społeczeństwa). To akurat nie powinno dziwić – grupa ta jest główną bazą wyborczą Donalda Trumpa.

TRUMP ANTYSEMITĄ?

Wśród Żydów wybranych przez Bidena do swojego gabinetu pierwszoplanową postacią jest Antony Blinken, który objął funkcję sekretarza stanu. Blinken bardzo często opowiada historię swojego ojczyma, pochodzącego z Białegostoku prawnika Samuela Pisara, któremu jako jednemu z liczącej 900 uczniów szkoły udało się przeżyć Holocaust. Pisar został wyzwolony w Bawarii przez US Army. Jeszcze w czasie administracji Clintona, gdy Blinken pełnił funkcję doradcy prezydenta ds. międzynarodowych i bezpieczeństwa, dał się poznać jako zwolennik wciągnięcia Polski do sojuszu północnoatlantyckiego. Czego Polacy mogą się dziś po nim spodziewać?

„Antony Blinken podziela wiele poglądów rządu w Warszawie, ale podobnie jak inni w zespole Bidena jest też zaniepokojony m.in. konfrontacją Polski z UE ws. praworządności” – powiedział w rozmowie z PAP Daniel Fried, były ambasador USA w Polsce. Amerykański dyplomata, który jest dziś ekspertem Atlantic Council, dodał, że Blinken „widzi Polskę przez pryzmat Solidarności 1989 r. oraz polskiego sukcesu w budowaniu wolnorynkowego dobrobytu na gruzach komunizmu za pomocą demo-

na starcie znajomości umówili się z narzeczoną, że o ile w ich domu choinka nie będzie na cenzurowanym, to jednak dzieci zostaną wychowane w wierze mojżeszowej.

Następną ważną osobistością w gabinecie Bidena jest Janet Yellen, sekretarz skarbu USA, w latach 2014–2018 przewodnicząca Systemu Rezerwy Federalnej. „Ta poważana przedstawicielka politycznego centrum była jedynym z trzech Żydów pokazanych w reklamówce wyborczej Trumpa



kratycznych środków”. Trudno jednak przypuszczać, by prawicowy polski rząd należał do ulubieńców nowego szefa amerykańskiej dyplomacji.

Kolejnym prominentnym amerykańskim Żydem w Białym Domu jest Ronald Klain, którego Biden wybrał na szefa sztabu Białego Domu. Klain zna się z amerykańskim prezydentem od wielu lat – w czasie pierwszej kadencji Obamy był szefem sztabu u ówczesnego wiceprezydenta Bidena. Ożeniony z chrześcijanką Klein wspominał w wywiadach, że

z 2016 r., która bazowała na starych antysemitycznych kliszach” – napisał o niej „Times of Israel” przy okazji analizowania zaskakującego składu administracji Bidena. Co konkretnie zarzuca Trumpowi ta izraelska gazeta internetowa? Otóż do rzucenia antysemityzmem w Trumpa, który dał się przecież poznać jako polityk skrajnie entuzjastycznie nastawiony do Izraela, wystarczyło zestawienie Yellen i George’a Sorosa w kontekście odpływu przemysłu (i oczywiście kapitału) z USA do Chin.

Inni prominentni Żydzi w administracji Bidena to m.in. Merrick Garland – prokurator generalny USA, Alejandro Mayorkas – sekretarz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego USA czy Avril Haines – dyrektor Wywiadu Narodowego. Wśród osób żydowskiego pochodzenia w bliskim otoczeniu Bidena magazyn „The Forward” zwraca też uwagę na Douga Emhoffa (upragniony przez amerykańską lewicę potencjalny „pierwszy mąż”, w sytuacji gdyby Kamala Harris została następczynią Bidena) oraz Rachel

Levine. Nominacja tej ostatniej osoby na zastępcę sekretarza zdrowia to z pewnością szczyt marzeń progresywnej części amerykańskiej społeczności żydowskiej, ale już niekoniecznie tej ortodoksyjnej. Levine dumnie została ogłoszona przez demokratów jako „pierwsza transpłciowa urzędniczka, której nominację musi zatwierdzić Senat”. Z kolei wielu republikańskich polityków stawia pytanie, czy osoba, która większość życia znana była jako doktor Richard Levine, a od niedawna występuje jako Rachel, na

pewno powinna współkierować amerykańskim systemem ochrony zdrowia i mieć wpływ na to, co jest uważane za zaburzenie, a co zaburzeniem nie jest.

PRZESTAŃCIE LICZYĆ ŻYDÓW

„To niezwykle podsumowanie roli Żydów w tym społeczeństwie” – komentował w „The Forward” skład gabinetu Bidena Jason Isaacson z American Jewish Committee. Isaacson dodał przy tym w tym samym tekście o wielkiej roli Żydów w administracji Bidena, że

środowisko żydowskie nie powinno się aż tak ekscytować składem gabinetu Bidena, ponieważ w administracji Donalda Trumpa amerykańscy Żydzi również pełnili bardzo eksponowane funkcje (na czele z zięciem byłego prezydenta, Jaredem Kushnerem, który pilotował plan pokojowy Trumpa dla Izraela i Palestyny – dziwnym trafem był on skrajnie korzystny dla Izraela).

„Jeżeli myśleliście, że Trump to nazista – jest to głęboko nieprawdziwa hiperbola, która stała się obiegowym sądem wśród wielu Żydów – to nic was zapewne nie obchodzi, że sekretarz skarbu i wielu innych wysoko postawionych urzędników było Żydami, ani to, że prezydent miał córkę, która przeszła na judaizm i dzięki temu doczekał się żydowskich wnuków. Ponieważ polityka stała się kulturową wojną plemienną, Żydzi w drugiej drużynie są malowani jako zdrajcy lub jeszcze gorzej; tylko Żydzi po twojej stronie są godni dumy” – napisał redaktor naczelny „Jewish News Syndicate”.

Tobin wyraźnie jednak zaznaczył w swoim tekście, że samo żydowskie pochodzenie danego urzędnika o niczym jeszcze nie może przesądzać w oczach amerykańskich Żydów. Najważniejsze, czy dba o interesy żydowskiej społeczności oraz Izraela. I dokładnie takie wymagania stawia ekipie Bidena.

„Jednym z najbardziej haniebnych rozdziałów w historii amerykańskich Żydów było zachowanie ludzi takich jak rabin Stephen Wise czy sędzia Sądu Najwyższego Felix Frankfurter, którzy mieli dostęp do ucha prezydenta Franklina D. Roosevelta, ale nie użyli swoich wpływów, by przekonywać do ratowania europejskiego żydostwa w czasie Holokaustu” – napisał Tobin.

Jak jednak zwracają uwagę żydowscy komentatorzy z USA, znane nazwiska na wysokim szczeblu wiążą się również z pewnymi zagrożeniami.

„Bez wątplenia odezwą się wrogowie narodu żydowskiego, wrogowie amerykańskiej różnorodności oraz promotorzy nienawiści i przemocy, którzy będą używali w każdy sposób faktu, że znacząca liczba Żydów zajmuje wysokie stanowiska w administracji Bidena” – powiedział Jason Isaacson z American Jewish Committee.

W kontekście całej tej debaty toczącej się w prasie żydowskiej trudno więc powiedzieć, czy można spokojnie liczyć Żydów na szczytach władzy w USA, czy może jednak lepiej zostawić ten temat w spokoju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Takiego gabinetu amerykańska polityka jeszcze nie widziała. FOT. JOSHUA ROBERTS/REUTERS/FORUM

to świetnie, iż „nikt o tym nie rozmawia i nie jest to w ogóle żadna nowina”.

W podobnym tonie wypowiedział się w tej sprawie Jonathan S. Tobin, redaktor naczelny „Jewish News Syndicate”. W tekście pt. „Już czas przestać liczyć Żydów w rządzie” Tobin wylicza, jak wielu przedstawicieli jego społeczności zasiada w najważniejszych amerykańskich instytucjach państwowych. Wychodzi na to, że dziewięciu senatorów (na 100) i dwóch sędziów Sądu Najwyższego (na dziewięciu) to Żydzi. Tobin zaznacza przy tym, że

Levine. Nominacja tej ostatniej osoby na zastępcę sekretarza zdrowia to z pewnością szczyt marzeń progresywnej części amerykańskiej społeczności żydowskiej, ale już niekoniecznie tej ortodoksyjnej. Levine dumnie została ogłoszona przez demokratów jako „pierwsza transpłciowa urzędniczka, której nominację musi zatwierdzić Senat”. Z kolei wielu republikańskich polityków stawia pytanie, czy osoba, która większość życia znana była jako doktor Richard Levine, a od niedawna występuje jako Rachel, na



Olivier Bault

Muszę walczyć, aby szerzyć tolerancję – mawia francuski sekretarz stanu do spraw europejskich. Clément Beaune na cel wziął Polskę i Węgry

Clément Beaune, francuski sekretarz stanu ds. europejskich przy ministrze spraw zagranicznych w rządzie Jeana Castexa, w trakcie jesiennych negocjacji budżetowych w Brukseli był, obok holenderskiego premiera Marka Ruttego, najbardziej stanowczym obrońcą mechanizmu praworządności. Pierwszy wysunął propozycję, aby w razie utrzymania polsko-węgierskiego weta w tej sprawie starać się opracować nowy plan odbudowy w gronie 25 krajów. Miało to miejsce już nazajutrz po ogłoszeniu polsko-węgierskiego weta na spotkaniu ambasadorów Unii Europejskiej, kiedy – odpowiadając na pytania francuskich senatorów – Beaune zapewniał, że w razie weta Unia Europejska pójdzie do przodu wraz z prezydentką niemiecką „bez tych krajów, które blokują”.

Cztery dni przed europejskim szczytem z 10 grudnia, na którym premierzy obu zbuntowanych krajów mieli w końcu wycofać weto, w rozmowie z gazetą „Le Journal du Dimanche” Beaune powtórzył swoją groźbę, zapowiadając jednocześnie francuskie weto przeciw umowie brexitowej, jeśli umowa ta nie będzie dla Francji wystarczająco zadowalająca. „Francja, podobnie jak każdy kraj członkowski, może używać weta” – stwierdził francuski sekretarz stanu, choć w sprawie mechanizmu praworządności nie chciał uznawać takiego prawa dla Polski i Węgier.

Warto przypomnieć, że Francuz już od momentu objęcia posady rządowej miał pomysł, jak wykorzystywać nowy mechanizm praworządności, aby narzucić Polsce i Węgrom „wartości europejskie”, czyli takie, które zyskują uznanie w jego oczach. W dniu 29 lipca ubiegłego roku, dokładnie trzy dni po objęciu pierwszej w jego życiu posady w randze członka rządu, 38-latek w rozmowie w publicznym radiu France Inter stwier-



FOT. STEPHANE DE SAUTIN/APPEST NEWS

Ofensywa homourzędnika

dził, że negocjowany w tym momencie w Radzie Europejskiej nowy mechanizm praworządności mógłby posłużyć do zawieszenia wypłaty funduszy dla Polski, gdyby władze w Warszawie zdecydowały się wypowiedzieć Konwencję Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet oraz przemocy domowej (tzw. konwencję stambulską). Nie przeszkadzał mu fakt, że prawo unijne nie nakłada obowiązku ratyfikowa-

wania tejże konwencji i że kilkanaście krajów należących do Rady Europy, w tym kilka będących członkami Unii, tej konwencji nie ratyfikowało lub wręcz ją odrzuciło.

TYPOWY URZĘDNIK

Mówi się o nim, że cieszy się pełnym zaufaniem prezydenta Macrona. Po wygranych przez tego ostatniego wyborach w 2017 r. mianował on



Przedstawicielstwie Francji przy Unii Europejskiej.

Jego obecny zwierzchnik, minister spraw zagranicznych Jean-Yves Le Drian, pochodzi – jak sam Macron, o czym się często zapomina – z francuskiej Partii Socjalistycznej (PS). W listopadzie 2020 r. Beaune dołączył do Territoire de progrès (Teren postępu), partii założonej w lutym zeszłego roku przez Le Driana razem z ministrem Olivierem Dussoptem, który podobnie jak Le Drian należał jeszcze kilka lat temu do Partii Socjalistycznej. Territoire de progrès określa się jako „ruch socjaldemokratyczny i europejski” i stanowi lewe skrzydło parlamentarnej większości prezydenta Macrona.

WYJŚCIE Z SZAFY

Na początku grudnia w rozmowie z gejowskim kwartalnikiem „Têtu” Clément Beaune ujawnił swoją homoseksualność i zadeklarował, że zamierza pojechać do Polski na początku 2021 r., aby odwiedzić jedną ze „stref bez LGBT” i aby wspierać ruch proaborcyjny po wyroku polskiego TK dotyczącym aborcji eugenicznej. „Pochodzę z rodziny, w której dwa pokolenia wstecz niektóre osoby zostały deportowane jako Żydzi” – powiedział na łamach grudniowego numeru „Têtu”. I dodawał: „To we mnie rezonuje. Nie chciałbym jednak, aby mówiono, że walczę przeciw strefom »bez LGBT« dlatego, że jestem gejem. Mówienie, że prowadzę tę walkę dla samego siebie, byłoby obraźliwe. [...] Natomiast, jako że jestem sekretarzem stanu ds. europejskich, spada na mnie dodatkowa odpowiedzialność. Muszę walczyć, aby szerzyć tolerancję”.

Dlatego też prawa ręka Macrona ds. europejskich w rządzie Castexa nie zamierzała ustąpić przed Polską i Węgrami w sprawie mechanizmu praworządności. Jak powiedział w tygodniku „Le Point” 8 grudnia ubiegłego roku, mechanizmu praworządności nie można zmienić, można co najwyżej dołączyć do niego pewne wyjaśnienia. Udostępniając własny wywiad z „Le Point” na Twitterze, w tym samym dniu Beaune skomentował między hashtagami „#Etatdedroit” (praworządność) oraz „#Pologne #Hongrie” (Polska, Węgry): „Nie jest to mecz. Jest to walka o nasze wartości”.

Dwa dni później, po rezygnacji przez Polskę i Węgry z weta, Beaune triumfalnie ćwierknął: „Tak jak zapowiedzie-

liśmy: nie poświęcamy ani odbudowy, ani praworządności. Wywiązaliśmy się z naszych zobowiązań!”. A 16 grudnia dodał jeszcze: „Będziemy prowadzić tę walkę dalej, także na polu praw LGBT czy prawa do aborcji. Mobilizacja sił politycznych i społecznych w tych krajach jest możliwa w dużej mierze dzięki temu, że Europa nazywa rzeczy po imieniu od trzech lat”. I ponownie opatrzył swoją twitterową wypowiedź hashtagami: „Praworządność”, „Polska” i „Węgry”.

20 stycznia francuski sekretarz stanu ds. europejskich opublikował list, który otrzymał od wiceprzewodniczącej Komisji Europejskiej, adresowany zarówno do niego, jak i do pani minister ds. równości kobiet i mężczyzn, różnorodności i równości szans, Élisabeth Moreno. W liście tym Věra Jourová dziękuje obu członkom francuskiego rządu za zwrócenie uwagi Komisji na sytuację mniejszości LGBT+ w Europie. Dalej wiceprzewodnicząca Komisji odpowiedzialna za „wartości i przejrzystość” zapewnia francuskich ministrów, że stanowczo potępia „strefy bez ideologii LGBT” w Polsce i że Komisja „podjęła kroki, w ramach kompetencji ustanowionych przez traktaty, aby wyprostować sytuację”. Jourová jednocześnie zapewnia Moreno i Beaune’a, że osobiście będzie śledziła „niepokojącą sytuację osób LGBTIQ w Polsce” i zobowiązuje się wspierać „polską społeczność LGBTIQ”.

Z drugiej strony, ten sam Clément Beaune w rozmowie z portalem Le Nouvel Esprit Public stwierdził 10 stycznia, odnosząc się do Polski: „Nie nadajemy na tej samej fali, jeśli chodzi o praworządność, wszyscy o tym wiedzą. Natomiast w zakresie polityki przemysłowej, polityki konkurencji, opodatkowania gospodarki cyfrowej, oba nasze kraje promują często identyczne reformy”.

Słowa te padły w wypowiedzi, w której francuski sekretarz stanu dowodził, iż nie mamy do czynienia z Europą dwóch prędkości ani z podziałem na wschód i zachód czy północ i południe kontynentu i że w Unii można różnić się w niektórych dziedzinach, jednocześnie działając wspólnie w innych.

Jak widać jednak, Francuz nie rezygnuje z próby narzucenia Polsce i Węgrom własnej ideologii i może liczyć w tym zakresie na czynną pomoc Komisji Europejskiej, z którą, w sprawach ideologicznych, bez wątpienia nadaje na tej samej fali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Beaune’a swoim specjalnym doradcą ds. europejskich. Beaune nie jest jednak rasowym politykiem – nigdy nie stanął do żadnych wyborów – ale typowym wysokim urzędnikiem francuskim. Jak większość członków kasty rządzącej nad Sekwaną jest absolwentem szkoły nauk politycznych (IEP) i krajowej szkoły administracji (ENA), którą skończył w 2009 r. Po drodze ukończył także studia w Kolegium Europejskim, szkoły utworzonej na wzór francuskiej ENA do kształcenia prawdziwie europejskich elit i posiadającej kampusy w Belgii i Polsce (w Natolinie).

W 2014 r. Clément Beaune zaczął pracować dla Emmanuela Macrona, gdy ten był ministrem gospodarki w socjalistycznym rządzie Manuela Vallsa za prezydentury François Hollande’a. W Ministerstwie Gospodarki Beaune zajmował się zagadnieniami europejskimi do 2016 r. Wcześniej, w latach 2012–2014, pracował jako doradca ds. budżetu w kancelarii socjalistycznego premiera Jeana-Marca Ayraulta, a następnie krótko jako doradca w Stałym

W 2020 r. opublikowano informację o 1293 niewypłacalnościach firm działających w Polsce, tj. o 32 proc. więcej niż w 2019 r.”

– zauważyli w wydanym w zeszłym tygodniu komunikacie eksperci firmy Euler Hermes. Badając dane pochodzące z oficjalnych źródeł – Monitora Sądowego i Gospodarczego – analitycy Euler Hermes stwierdzili również, że sytuacja na rynku jest daleka od przesilenia. W ostatnim kwartale 2020 r. odnotowano najwyższą liczbę niewypłacalności w historii – było ich o 20 proc. więcej niż w III kw. ubiegłego roku. I nic nie wskazuje na to, by los przedsiębiorców miał się szybko poprawić. Z prognoz Euler Hermes wynika bowiem, że w roku 2021 nastąpi kolejny znaczny wzrost liczby niewypłacalności w Polsce (o 17 proc.) oraz na rynkach eksportowych (o 25 proc.). Ryzykiem tym najbardziej dotknięte są zaś województwa ze znacznym udziałem usług transportowych i turystycznych z północno-zachodniej Polski, a także z województwa świętokrzyskiego. W tych regionach wzrost liczby niewypłacalności waha się w okolicach 100 proc. (rok do roku). Autorzy raportu Euler Hermes ostrzegają jednocześnie, że w obecnej sytuacji nie ma branż bezpiecznych i nieobjętych ryzykiem niewypłacalności, czego najlepszym przykładem jest sektor spożywczy, w którym niewypłacalnych było 109 producentów i przetwórców. Koniec roku pokazał, że również w budownictwie doszło do gwałtownej zmiany trendu: rynek wykonawcy stał się rynkiem zamawiającego. Według Euler Hermes widać to już w niewypłacalnościach (w IV kw. 2020 r. odnotowano ich 44, czyli o 76 proc. więcej niż w ostatnim kwartale 2019 r.).

– Tak złe rezultaty można tłumaczyć na wiele sposobów, wskazując m.in. zaszłości w gromadzeniu rezerw kapitałowych etc., ale najbliższe prawdy jest to najprostsze wytłumaczenie – pandemia i związane z nią ograniczenia oraz utrudnienia, co widać m.in. po niechlubnym rekordzie upadłości w usługach oraz w transporcie (nie tylko towarowym – ten powoli odżywa – lecz także w pasażerskim). Nigdy w historii nie było tak dużych wzrostów liczby niewypłacalności, rzędu 70 proc. rok do roku, jak w tych sektorach, co pokazuje, jak rozległe jest to zjawisko! – ocenia Tomasz Starus, członek zarządu Euler Hermes odpowiedzialny za ocenę



Jacek Przybylski

Pandemia COVID-19 i związany z nią lockdown nadal uderzają w gospodarkę. W 2020 r. rekordowo wzrosła liczba niewypłacalnych firm oraz upadłości konsumenckich. Niestety rok 2021 dla wielu wciąż będzie walką o przetrwanie. Rychłego bankructwa obawia się 50 proc. firm obecnych na rynku krócej niż dwa lata

Polsce grozi fala bankructw?



pracowników” – ostrzega Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP). W opublikowanym 25 stycznia „Podsumowaniu lockdownu w Polsce” eksperci ZPP zwracają uwagę, że tylko tzw. pierwszy lockdown kosztował polską gospodarkę co najmniej 277 mld zł (z uwzględnieniem spadku PKB oraz gwałtownie rosnącego zadłużenia sektora rządowego).

Właściciele firm i eksperci wskazują na pandemię i związane z nią ograniczenia jako głównych sprawców kłopotów gospodarczych

„Ograniczenia są katastrofalne w skutkach dla wielu branż. Hotele, lokale gastronomiczne, sklepy w galeriach handlowych, kluby fitness – wszystkie te miejsca zatrudniają miliony Polaków, a utracone przychody liczą w miliardach złotych. Ich sytuację dodatkowo pogarszają nowe daniny, takie jak podatek od sprzedaży detalicznej, którego pobór odwieszono, czy podatek cukrowy” – zauważają analitycy ZPP, który od tygodni prowadzi kampanię na rzecz otwarcia gospodarki.

Właściciele firm i eksperci nie bez powodu wskazują na pandemię i związane z nią ograniczenia jako głównych sprawców obecnych kłopotów gospodarczych. Gdy bowiem w listopadzie rząd ogłaszał nowy lockdown, ponad 40 proc. przedsiębiorców wciąż nie udało się nawet wrócić do obrotów sprzed wybuchu pandemii.

Mocno pesymistyczny wydźwięk mają również wyniki badania przeprowadzonego przez firmę Maison & Partners na zlecenie Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor. Wynika z niego, że pod koniec ubiegłego roku co 10. polski przedsiębiorca stracił wiarę, że kiedykolwiek uda mu się przywrócić dawną kondycję finansową prowadzonego biznesu.

Najgorsze jest jednak to, że bankructwa w roku 2021 obawia się już ponad jedna trzecia ankietowanych przedsiębiorców. Najczęściej na strach przed upadłością wskazują przedstawiciele mikrofirm (zatrudniających od 1 do 9 osób) oraz małych (w których pracuje od 10 do 49 osób). Najpewniej czują się zaś ankietowani przedstawiciele średnich firm, które zatrudniały od 50 do 249 pracowników (tylko 1 proc. bało się upadłości w 2021 r.).

ryzyka. – Kryzys zawsze mocniej dotyka słabszych, a im większy kryzys, tym większy jego skutek. Obecny kryzys to pierwsza recesja w Polsce od 30 lat, więc efekt jest duży i współmierny do okoliczności – dodaje Tomasz Starus. Zauważa, że choć rządowa kroplówka pozwoliła przetrwać pierwszy szok, to nie wyposażyła firm w kapitał na ponowny rozruch. Ten muszą zdobyć same. A o to – w czasach wciąż postępującej pandemii – wcale nie jest łatwo. Zwłaszcza że wiele firm nie może działać ze względu

na utrzymywany przez rząd lockdown, który ma uchronić służbę zdrowia przed ewentualną zapaścią, wywołaną nagłą falą zachorowań na koronawirusa.

WIELKI STRACH W MAŁYCH FIRMACH

„Jeśli nie powstrzymamy chaosu i utrzymamy obowiązujące obciążenia, grozi nam fala bankructw i masowych zwolnień, które odbiją się nie tylko na kondycji finansowej przedsiębiorstw, ale również na warunkach bytowych

FOT. ADRIAN STICK

■ Jeśli chodzi o branże, to największym strach przed koniecznością zamknięcia biznesu odczuwają przedsiębiorcy z sektora usługowego (18,9 proc.) oraz transportowego (16 proc.).

NIE JEST AŻ TAK ŹŁE?

– Zdaję sobie z tego sprawę i nie mam zamiaru tutaj malować na różowo, bo wiemy, że sytuacja w wielu branżach jest bardzo trudna. Natomiast kiedy popatrzymy na dane, to powiedziałbym tak: nic nie ujmując indywidualnym tragediom przedsiębiorców z tych branż, które są najbardziej dotknięte sytuacją pandemiczną, nie jest tak, że sytuacja gospodarcza Polski jest, nie wiem, zła, tragiczna, że firmy upadają. Tak nie jest – przekonywał w Sejmie wiceminister rozwoju, pracy i technologii Marek Niedziadak.

Rzeczywiście, według oficjalnych danych w ubiegłym roku upadło w Polsce „tylko” 587 firm. Teoretycznie nie było więc aż tak tragicznie, jak się mówi, ponieważ rok wcześniej bankructwo ogłosiło 586. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w listopadzie 2020 r. kolejny raz z rzędu nie tylko wzrosła liczba podmiotów, które zawiesiły działalność (o 3,1 proc.), lecz także znacząco spadła liczba nowo powstałych firm (spadek w listopadzie w stosunku do października wyniósł aż 23,5 proc.). Na szczęście w grudniu było ich już o 0,2 proc. więcej niż w listopadzie, a przez cały 2020 r. w rejestrze REGON przybyło 3,4 proc. podmiotów gospodarki narodowej. – 31 grudnia 2020 r. było o 139 tys. więcej firm niż w lutym 2020 r. – podkreślał minister Niedziadak podczas styczniowej debaty poświęconej sytuacji branż najbardziej zagrożonych w wyniku pandemii, odnosząc się do argumentu, że na skutek koronawirusa „padają firmy”. Dokładnie pod koniec grudnia 2020 r. w rejestrze REGON było 4 663 378 podmiotów (rok wcześniej było ich 4 524 638).

– Rzeczywiście powstaje wiele nowych firm. Pytanie brzmi jednak, jak wiele z nich przetrwa najtrudniejszy okres pierwszych trzech lat działalności. Z tyłu głowy trzeba mieć bowiem to, że w roku 2021 jesteśmy zupełnie w innej sytuacji niż 10–15 lat temu. W obecnym stanie gospodarki oraz łatwiejszego dostępu do informacji o kontrahentach nie jest już tak łatwo jak kiedyś zamknąć jedną firmę i z sukcesem otworzyć następną,

bo może mieć większy problem z uzyskaniem kredytów, leasingu etc. – mówi „Do Rzeczy” Grzegorz Błachnio z Euler Hermes. Zauważa jednocześnie, że choć wcześniej polskie firmy często zbyt późno korzystały z rozwiązań restrukturyzacyjnych, to w 2020 r. nie czekały już na pustkę w kasie, ale tylko na podstawie złych perspektyw zaczynały działania naprawcze, na przykład ograniczając sprzedaż tylko do najbardziej rentownych odbiorców, aby móc pewniej patrzeć w przyszłość.

Niestety, wśród zarejestrowanych podmiotów niemal trzy czwarte stanowiły osoby fizyczne, które prowadzą działalność gospodarczą. Rosnąca liczba firm nie musi więc świadczyć o szybko rosnącej w narodzie woli przedsiębiorczości.

Może być za to dowodem na to, że tzw. mały ZUS oraz podatek liniowy

13 tys.

AŻ TYLU POLAKÓW OGŁOSIŁO W 2020 R. UPADŁOŚĆ KONSUMENCKĄ

sprawiły, że na samozatrudnienie dobrowolnie przechodzi wielu świetnie zarabiających. A także na to, że wykorzystując rosnącą wśród Polaków strach przed bezrobociem, coraz więcej przedsiębiorców w Polsce, stosując metodę propozycji nie do odrzucenia, skutecznie nakłania pracowników do przechodzenia na samozatrudnienie. Państwo kompletnie nie radzi zaś sobie z kontrolą i ograniczaniem tej patologii.

Poza tym nawet w oficjalnych danych GUS rozbitych na poszczególne miesiące widać wyraźnie wpływ pandemii, a zwłaszcza kolejnych lockdownów. Zdecydowanie najmniej nowo rejestrowanych podmiotów gospodarczych było w marcu, kwietniu, maju oraz listopadzie i grudniu.

Największy problem z przywoływany przez ministra danymi polega zaś na tym, że w zeszłym roku w bardzo poważnych tarapatach znalazło się o wiele więcej przedsiębiorców, niż wynika to z oficjalnych statystyk. W 2020 r. rozpoczęto na przykład o wiele więcej postępowań restrukturyzacyjnych (było ich aż 800 wobec 465 w roku 2019). Zdaniem ekspertów obowiązujące wciąż obostrzenia i kończące się rządowe

„kroplówki antykryzysowe” (dopłaty, różnego rodzaju zwolnienia i ulgi) mogą w roku 2021 zakończyć się skokowym wzrostem liczby upadłości.

Najpoważniejsze ryzyko upadku dotyczy oczywiście mikrofirm i firm małych, a zwłaszcza osób prowadzących działalność gospodarczą w najbardziej dotkniętych przez kryzys gałęziach gospodarki: turystyce, gastronomii, transporcie, hotelarstwie czy zajmujących się organizacją targów i kongresów. Wielu dotkniętych pandemią przedsiębiorców zdecydowało się w ubiegłym roku jedynie zawiesić, a nie zamknąć działalność. Jeżeli rząd, nie chcąc zbytnio zadłużać kolejnych pokoleń, ograniczy akcję pomocową dla firm, a wielka akcja szczepień okaże się zbyt powolna i nie umożliwi szybkiego powrotu do normalnego prowadzenia biznesu, to przedsiębiorcy mogą stracić nadzieję i zamknąć swoje firmy.

TSUNAMI UPADŁOŚCI KONSUMENCKICH

Rosnące bezrobocie (w grudniu 2020 r. wyniosło 6,2 proc. w porównaniu z 5,2 proc. rok wcześniej) oraz recesja sprawiły, że już w zeszłym roku mocno wzrosła liczba tzw. upadłości konsumenckich. Początek zeszłego roku nie zapowiadał takiej tragedii – w styczniu prywatne bankructwo ogłosiło 649 osób. Pandemia koronawirusa w połączeniu z lockdownami i kryzysem gospodarczym mocno uderzyła jednak również w zwykłego Kowalskiego.

Od wakacji bankructw zaczęło lawinowo przybywać, a w grudniu padł koszmarny rekord – tylko w tym jednym miesiącu upadłość konsumencką ogłosiło aż 1809 osób. Według danych podanych przez Centralny Ośrodek Informacji Gospodarczej przez cały rok oficjalnie ogłoszonych bankrutami zostało 13 tys. Polaków. Dla porównania w całym 2019 r. odnotowano w Polsce w sumie 7944 upadłości konsumenckie. Od stycznia 2015 r. do grudnia 2020 prywatne bankructwo ogłosiło zaś 39,7 tys. Polaków.

Patrząc na pandemiczne opóźnienia w ożywieniu gospodarki, można się spodziewać, że rok 2021 przyniesie wzrost liczby upadłości konsumenckich. Miejmy nadzieję, że będzie to tylko trudny okres przejściowy przed znakomitą dla gospodarki, przedsiębiorców oraz konsumentów rokiem 2022.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Opozycjo, gdzie jesteś?

Bezskutecznie próbuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni w tym miejscu zajmowałem się opozycją. Jak dawno temu – i to licząc już nie w miesiącach czy kwartałach, a w latach – napisałem tu cokolwiek o opozycji?

Bo też, co można napisać – z punktu widzenia podejmowanych tu tematów, dotyczących głównie gospodarki, choćby i szeroko rozumianej – o tych przeważnie dziwnych bytach politycznych, które dziś sytuują się po stronie opozycji? Co takiego – na tyle ważnego i do tego konsekwentnie i donośnie głoszonego – mają one w tych sprawach do zaoferowania, że nie sposób przejść nad tym do porządku dziennego?

Czy na przykład istnieje po stronie opozycji choć jedno silne ugrupowanie – silne, a więc mające szansę na przejęcie władzy (na zajmowanie się kanapowymi szkoda czasu), które konsekwentnie, ale przy tym trzymając się realiów, a nie bujając w obłokach, proponowałoby wyborcom inny niż obecnie rządzący sposób walki z COVID-19, czyli inny niż lockdown?

Czy istnieje po stronie opozycji silne ugrupowanie, mające odmienną od obecnie rządzących, i do tego konsekwentnie prezentowaną wizję systemu emerytalnego, który przecież – jeśli pozostanie bez zmian – wkrótce po prostu się zawali, przyniatając nas wszystkich? Czy istnieje silne ugrupowanie opozycyjne, które miałoby (i nie wstydziło się prezentować) odmienny od rządu pomysł np. w spra-

wie utraconej przez rząd PiS reformy emerytalnej rządu PO-PSL, polegającej na wydłużeniu wieku emerytalnego do 67 lat dla kobiet i mężczyzn? Albo w sprawie tego, co zrobić z resztówką po zdemolowanych przez rząd Tuska OFE – co zrobić innego niż proponuje rząd Morawieckiego, zamierzający te pieniądze (po potrąceniu 15 proc. podatku) przekazać oszczędzającym w OFE na ich „już wreszcie całkowicie prywatne” Indywidualne Konta Emerytalne?

A może istnieje po stronie opozycji silne ugrupowanie, które mniej – mniej od obecnie rządzących – szamotałoby się w sprawie przyszłości polskiego systemu energetycznego? W sprawie żadanego od nas przez Brukselę szybkiego zamknięcia wszystkich kopalń węgla i opartych na węglu elektrowni i zbudowania w ich miejsce absurdalnej liczby mało efektywnych w naszych realiach pogodowych instalacji fotowoltaicznych oraz wiatraków (i – z konieczności – piekielnie drogich elektrowni atomowych)?

Ba, doświadczenie – zwłaszcza ostatniego roku – uczy, że jeśli można się spodziewać odmiennych pomysłów w ważnych sprawach, to raczej zgłosi je któreś z rywalizujących ze sobą ugrupowań Zjednoczonej Prawicy niż zajęte głównie sobą partie opozycji. A szkoda, bo bez lepszej opozycji nie będzie lepszej ani dziś obecnej władzy (bo czy musi się ona bardziej starać wobec marnej opozycji?), ani jutro nowej władzy (czyli dzisiejszej opozycji). ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Być lepszym niż Fawlty

Don't mention the war" – „nie wspominaj o wojnie” – to bodaj najlepszy odcinek genialnej serii „Fawlty Towers”, znanej w Polsce jako „Hotel Zacisze”, będącej dziełem najbardziej znanego z Monty Pythonów Johna Cleese’a. Do hoteliku Basila Fawlty’ego i jego żony przyjeżdża grupka Niemców, a Basil za wszelką cenę ma się pilnować, żeby nie wspominać przy nich o drażliwym temacie, czyli właśnie o wojnie. Co, rzecz jasna, kompletnie mu się nie udaje. W kultowej scenie

nie wezmę udziału w absurdalnej naparzanicy między zważnionymi stronami. Absurdalnej nie dlatego, że sprawa nie jest ważna, ale dlatego, że przecież nikt tu nikogo nie przekona, a ten spór jest rodzajem odprawianego od lat rytuału.

Wiem – już sam ten tekst sprawia, że jednak trochę na Fawlty’ego wyszedłem. Ale tylko trochę. Nie ma żadnych wątpliwości, że pod względem skali wpływu na rzeczywistość, na ludzi, na naszą przyszłość, na nasz dobrobyt kwestia dalszego funkcjonowania państwa w epidemii jest tysiąckrotnie ważniejsza niż sprawa wyroku TK. W innych państwach, które niestety polski rząd upiera się naśladować, pojawiają się coraz bardziej totalniackie w duchu pomysły na zamknięcie wszystkiego na kolejne miesiące. Coraz gwałtowniej też protestują przeciwko temu ludzie – by wspomnieć tylko ostre starcia z policją w Holandii. To na tym polu decyduje się, w jakim świecie będziemy żyć przez kolejne lata, może nawet dekady.

Planowane przez polski rząd nowe daniny (całkowicie ozusowanie umów-zleceń!) są w ścisłym związku z tym, ile kosztuje nas lockdown. Kto tego nie rozumie i daje się teraz wpuścić w awanturę o wyrok TK, ten tańczy beżmyślnie do melodii granej z Nowogrodzkiej.

Dlatego „don't mention the war” – i tego będę się trzymał. ©©

Planowane przez polski rząd nowe daniny są w ścisłym związku z tym, ile kosztuje nas lockdown

gospodarz hotelu kroczy przed niemieckimi gośćmi defiladowym krokiem, trzymając pod nosem dwa palce, udające wąsik – wiadomo czyj.

Postanowiłem, że będę twardszy od Basila Fawlty’ego i nie wspomnę o wyroku Trybunału Konstytucyjnego. To znaczy – nie wspomnę o samej istocie wyroku, o julkach, wyciągniętych znów na ulice przez panią Lempart, o „przypadkowym” opublikowaniu wyroku akurat w przededniu ogłoszenia kolejnych restrykcji, ani też



Wszystkie korzyści z lasów



Łukasz Zboralski

Lasów w Polsce przybywa zarówno powierzchniowo, jak i pod względem zasobności. Dzięki rozsądnej gospodarce leśnej las szybciej się odnawia, a gospodarka zyskuje – przekonywali przedstawiciele Lasów Państwowych i resortu środowiska podczas debaty tygodnika „Do Rzeczy”

Czy w Polsce wycina się za dużo drzew z lasów? Jak ograniczenie pozyskiwania drewna wpłynęłoby na same lasy oraz polską gospodarkę? Czy Unia Europejska może narzucić nam wyznaczenie ścisłych stref ochrony przyrody, przez co Polacy utracą dostęp do części lasów? Dlaczego wyznaczenie tak wielu obszarów chronionych w kraju paraliżuje rozwój regionów? I jak Lasy Państwowe poradziły sobie w czasach pandemii? O tych zagadnieniach dyskutowano podczas

debaty zorganizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy”. Wzięli w niej udział wiceminister środowiska i pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa Edward Siarka, dyrektor generalny Lasów Państwowych Andrzej Konieczny oraz wicemarszałek województwa podkarpackiego Piotr Pilch.

NA POMOC GOSPODARCE

Podczas lockdownu Polacy mocniej niż kiedykolwiek zrozumieli, jak bardzo potrzebne są im takie tereny do wypoczyn-

ku i rekreacji. Tymczasem sama pandemia okazała się ciosem gospodarczym. Lasy Państwowe z tego starcia wyszły jednak obronną ręką. Jak przekonywał podczas debaty dyrektor Andrzej Konieczny, w Lasach Państwowych szybko podjęto radykalne decyzje dotyczące polityki finansowej. – Chodziło o ograniczenie kosztów i nakładów ponoszonych na inwestycje, przesunięto też wydatki na gospodarkę leśną – tłumaczył. – Pozwoliło to Lasom Państwowym, które nie korzystały z rządowej tarczy, na zamknięcie roku z dodatnim wynikiem finansowym i na wykonanie prawie wszystkich zadań, oprócz planu sprzedaży i pozyskania drewna, bo to uległo zmniejszeniu o 5 proc.

Wiceminister Edward Siarka uznał, że teraz jest dobry moment na przeanalizowanie, jak można by jeszcze lepiej wykorzystać środki materialne, dużą bazę Lasów Państwowych i wiedzę leśników.

Na aspekt gospodarczy lasów wskazywał samorządowiec z drugiego pod-



względem zalesienia regionu Polski – Podkarpacia. Piotr Pilch, wicemarszałek województwa podkarpackiego, potwierdzał, że w Polsce buduje się coraz więcej drewnianych domów. – U nas są fabryki i producenci takich domów – mówił Pilch. – Trzeba to promować. Mamy też dużego producenta dziczyzny. I obie te rzeczy trzeba promować.

Pilch wspominał, że dla samorządowców współpraca z Lasami Państwowymi jest cenna m.in. przy projektach dotyczących bioróżnorodności (na Podkarpaciu samorządowcy dostają za darmo drzewa miododajne, dzięki czemu zwiększa się populacja pszczoł i produkcja miodu) czy w obszarze budowania nowych dróg. – Dobrze, że nie udało się przygotowywane przed laty pomysły prywatyzacji lasów. Takie plany poprzednich rządów bardzo nas, samorządowców, martwiły – dodawał Pilch.

ILE DRZEW MA BYĆ W LESIE

Podczas debaty padło też pytanie o jeden z najbardziej medialnych tematów, czyli wycinanie drzew w lasach. Coraz częściej mieszkańcy, a wraz z nimi media lokalne i ogólnopolskie informują o niepokojach dotyczących dużej skali wycinek w lasach. – Po pierwsze,

sprostujmy termin „wycinka”, bo to jest popularne, ale nie fachowe. Gospodarka zrównoważona, jaką prowadzimy, powoduje, że lasów przybywa, a nie ubywa – mówił Andrzej Konieczny. – W tym 30-leciu średnio na 1 ha przyrastało 9,19 m sześć. drewna. Lasy Państwowe pozyskały z tego 5,6 m sześć., czyli jedna trzecia pozostaje na pniu i zasoby się nam zwiększają. Lesistość kraju wzrosła o 50 proc. od 1945 r. Przy tym sposobie gospodarowania zwiększamy zasoby, podaż drewna, miejsca pracy – wyliczał.

Wiceminister Siarka zauważał, że trochę zaniedbano w Polsce kwestie edukacyjne w tej sprawie. – Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że las jest organizmem żywym. Tak jak w społeczeństwie mamy tam „dzieci”, „młodzież”, „dorosłych” i „seniorów”, czyli młody las, w średnim wieku i stary las – starodrzew, który stanowi ok. 14 proc. – mówił Siarka. – Gdybyśmy nie prowadzili zrównoważonej polityki i czekali na moment, w którym w lesie mamy tylko senioralne drzewa, to doprowadzilibyśmy do katastrofy – przekonywał.

Przedstawiciel Lasów Państwowych dodawał, że pozostawienie lasu samemu sobie spowodowałoby, iż jego odnowienie się trwałoby ponad 100 lat. A dzięki pozyskiwaniu drzewa i sadzeniu nowych las szybciej się odnawia. W dyskusji zaznaczono, że ma to znaczenie także dla pochłaniania CO₂, gdyż drzewa z wiekiem mają coraz bardziej ograniczoną zdolność do pochłaniania dwutlenku węgla.

Wiceminister zaznaczał, że często zaniepokojeni pozyskiwaniem drzew są ludzie, którzy przeprowadzają się z miasta do domów przy lesie. I trafiają akurat w okolice, gdzie drewno akurat dojrzało do pozyskiwania. To rodzi u ludzi frustrację, bo chcieli mieszkać „przy lesie”, a drzewa z okolicy ich domu znikają i pojawiają się małe, nowe nasadzenia. Siarka przypominał, że wszystko odbywa się na podstawie planu urzędnika lasu i jest czynione z wieloletnim wyprzedzeniem, a ten jest dostępny publicznie w aplikacji Lasów Państwowych – mBDL (mobilny Bank Danych o Lasach). – Ani w interesie rządu, ani leśników, ani społeczeństwa nie jest to, żebyśmy w lasach prowadzili jakąś rabunkową politykę – mówił wiceminister. – Trzeba ludziom tłumaczyć, że to dobro, które wszyscy szanujemy i odtwarzamy. Bo przecież jeśli zrezy-

gnujemy z produktów drewnianych, to co je zastąpi? Plastik?!

NIEPOKOJĄCE UNIJNE PLANY

Rozmówcy w debacie „Do Rzeczy” wskazywali na niebezpieczeństwo związane z „zielonym łądem” proponowanym przez Komisję Europejską. W ślad za tym zainicjowano bowiem powstawanie strategii bioróżnorodności oraz strategii leśnej. – Obydwa dokumenty są teraz mocno dyskutowane i zakłada się, że zostaną przyjęte w tym roku. Stanowią dla nas ważne wyzwanie – przyznawał wiceminister Siarka. – KE zakłada, by 30 proc. terenów lądowych i morskich danego kraju objąć ochroną, a 10 proc. ochroną ścisłą. Dla Polski to oznacza, że z ponad 9 mln ha lasów państwowych prawie 3 mln ha zostałyby objęte ochroną ścisłą – wskazywał.

Dzisiaj w Polsce różną ochroną (parki narodowe, rezerваты) objętych jest 0,5 mln ha. Trzeba by więc znaleźć dodatkowe 2,5 mln ha. Zdaniem wiceministra definicja „ścisłej ochrony” nie jest jasna. KE we wstępnych dyskusjach określiła, że to oznacza zakaz prowadzenia jakiegokolwiek gospodarki leśnej i łowieckiej. – To by też oznaczało, że na takim terenie nie można zbierać grzybów, łowić ryb. Całkowite wyłączenie – opisywał Siarka. – Strona polska podkreśla, że kwestia ochrony bioróżnorodności lasów jest istotna, natomiast pojęcie „ochrony” musi być jasno sprecyzowane. I żeby to poszczególne kraje same wskazywały tereny do wyłączenia gospodarki leśnej, aby nikt nam tego nie narzucał, bo to by była kompletna katastrofa.

Paneliści wskazywali, że już raz polskie władze zbyt pochopnie umieściły w strefach Natura 2000 wiele obszarów kraju. Nawet takich, w których w rzeczywistości siedliska chronionych gatunków mogły nie występować. Przez to wiele miejsc w kraju ma utrudniony rozwój, a zmiany w obszarach Natura 2000 są praktycznie na poziomie europejskim już nienegocjowalne. I nikt tego w Europie jeszcze nie próbował. O tym, czym to skutkuje, wspominał wicemarszałek Podkarpacia. – Mamy całe obszary Bieszczad, Beskidu Niskiego wpisane do obszaru Natura 2000 i ogranicza to np. budowę infrastruktury turystycznej – mówił Piotr Pilch. – Wójtowie nam zgłaszają, żeby pomóc coś z tym zrobić, bo to ogranicza możliwości rozwoju tych funkcji turystycznych, a to jedyne, które mogą tam się rozwinąć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Trzeba być niepokornym pacjentem



**Z dr. Januszem Mederem,
prezesem Polskiej Unii Onkologii**
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Jeszcze zanim rozpoczęła się epidemia COVID-19, wyniki leczenia nowotworów w Polsce były gorsze niż w innych krajach UE. Dlaczego wciąż jesteśmy w ogonie Europy?

DR JANUSZ MEDER: Jest wiele doniesień, że ciągle jesteśmy na ostatnich miejscach w Europie pod względem wyników leczenia, natomiast chcę wyraźnie powiedzieć, że w ostatnich latach znacząco poprawiły się wyniki leczenia. 20–30 lat temu średnia wyleczeń w Polsce to było 30 proc., niezależnie od stopnia zaawansowania nowotworu; dziś jest to 48 proc. Głównym problemem jest późne zgłaszanie się do lekarza: w Polsce tylko 20–30 proc. nowotworów jest wykrywanych we wczesnych stadiach. W USA, Kanadzie, Australii i w Europie Zachodniej proporcje są odwrotne – tam 80 proc. osób zgłasza się we wczesnych stadiach choroby. Patrząc z tego punktu widzenia, 48 proc. wyleczeń to nie jest źle, zwłaszcza że polska onkologia, podobnie jak cała służba zdrowia, jest niedofinansowana, a polski pacjent ma dostęp tylko do 50 proc. najbardziej skutecznych leków onkologicznych zarejestrowanych w UE.

Tak więc wyniki leczenia systematycznie się poprawiają, choć nadal nie nadążamy za Europą i faktycznie są one gorsze o ok. 10–15 punktów procentowych.

Trzeba jednak przyznać, że w ostatnich dwóch–trzech latach dostęp do nowoczesnego leczenia bardzo się poprawił, dlatego chwalimy obecną ekipę Ministerstwa Zdrowia. Mamy coraz więcej programów lekowych, czekamy jednak na kolejne, gdyż medycyna się rozwija. Duże nadzieje wiążemy z Narodową Strategią Onkologiczną (NSO), która miała ruszyć pełną parą w 2020 r., jednak z powodu pandemii są znaczne opóźnienia. Nie uruchomiono jeszcze środków finansowych, które miały być na to przeznaczone w roku ubiegłym, a było zaplanowane 250 mln zł. Na realizację NSO w latach 2020–2030 zgodnie z ustawą sejmową zagwarantowano kwotę 5,1 mld zł.

Na co zabrakło pieniędzy?

Na pewno na rozwój skринingu, czyli badań przesiewowych w kierunku wczesnego wykrywania raka piersi, szyjki

macicy, jelita grubego. Żeby skринing był efektywny, powinno się zgłaszać co najmniej 70 proc. osób, dla których jest on przewidziany. W Polsce z badań cytologicznych w ramach skринingu korzystało przed pandemią ok. 30–40 proc. osób, z mammografii – 55–60 proc. Najgorzej było z kolonoskopią. Ze względu na RODO i ochronę danych osobowych nie zostało określone, jak prowadzić system zawiadomień pacjentów o badaniach. Wielokrotnie podkreślaliśmy rolę lekarzy rodzinnych, pielęgniarek i położnych środowiskowych – to te osoby powinny edukować, zachęcać pacjentów do badań, rozmawiać i zostawiać zaproszenia. Efekt byłby na pewno lepszy niż wysyłanie zaproszeń pocztą. Powinien być jednak stworzony system, który motywowałaby finansowo personel medyczny do takich działań. W dobie dynamicznej cyfryzacji medycyny można sprawnie pokierować programem badań przesiewowych w onkologii w oparciu o kontakty telefoniczne, SMS-y czy pocztę elektroniczną.

Jak pandemia COVID wpłynęła na sytuację pacjentów onkologicznych?

Spadła zgłaszalność na badania skринingowe: z 60 do 80 proc. To jest dramat. Niedawno wiceminister Sławomir

Gadomski zapowiedział, że 2021 r. ma być rokiem profilaktyki. Mam nadzieję, że tak się stanie. Trzeba uruchomić odpowiednie środki finansowe, przewidziane w Narodowej Strategii Onkologicznej. Powinny być przeznaczone przede wszystkim na edukację i badania służące wczesnemu wykrywaniu chorób nowotworowych. Poza cytologią, mammografią, kolonoskopią jest już też dostępne badanie skrinin-gowe raka płuca za pomocą niskodawkowej tomografii komputerowej dla grupy osób wysokiego ryzyka. Najważniejsza jest jednak edukacja zdrowotna – trzeba ją prowadzić już od przedszkola.

Epidemia COVID-19 paradoksalnie spowodowała, że pacjentów onkologicznych w szpitalach jest dziś mniej. Jakie będą tego konsekwencje?

Dzisiaj nawet nie jesteśmy w stanie tego oszacować. Zmniejszyła się liczba wystawionych kart DİLO – Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego. Największy kryzys to okres między marcem a majem – wystawiano ich wtedy nawet o 30–40 proc. mniej. Nie wiemy jednak najważniejszego: ilu pacjentów w ogóle nie przyszło do lekarza, choć powinni. Miernik dotyczący kart DİLO nie jest wystarczający do oceny dramatu, który może się rozegrać w kolejnych latach. Specjaliści z Europy Zachodniej podkreślają, że będzie coraz więcej pacjentów w wyższych stadiach zaawansowania nowotworu. Symulacja ekspertów z Wielkiej Brytanii i USA pokazuje, że opóźnienie o trzy miesiące zgłoszenia się do lekarza powoduje o 10 proc. gorsze wyniki leczenia po 10 latach. W przypadku opóźnienia o pół roku spadek wyleczalności wynosi aż 30 proc.! To prognozy mrozące krew w żyłach.

Możemy się tego spodziewać?

Raport Polskiego Towarzystwa Chirurgów Onkologicznych pokazał, że w okresie między marcem a wrześniem w wielu ośrodkach onkologicznych opóźnienie dotyczyło aż 40 proc. operacji onkologicznych. Dopiero w ostatnich miesiącach 2020 r. sytuacja zaczęła się poprawiać. Sytuacja w onkologii w 2021 r. w dużej mierze będzie zależała od sprawności szpitali przeciw COVID.

W Polsce brakuje 50 proc. najnowszych leków zarejestrowanych w UE. To też pogarsza szanse pacjentów.

Stąd nadzieja w Narodowej Strategii Onkologicznej, której jednym z założeń

jest to, że w ciągu 10 lat polski pacjent uzyska dostęp do 90 proc. nowoczesnych leków onkologicznych zarejestrowanych w UE. Co prawda chcielibyśmy, żeby to stało się szybciej, jednak pandemia nie przyspieszy tego procesu. Chyba że decydenci wyasygnują więcej pieniędzy na nowoczesne leczenie przeciwnowotworowe. Priorytetem jest jednak jak najszybsze wprowadzenie Narodowej Sieci Onkologicznej.

Dlaczego Narodowa Strategia Onkologiczna jest tak ważna?

Powodów jest wiele. Jednym z nich jest to, że stawia ona na jakość leczenia, a nie tylko na liczbę wykonywanych procedur. Szpitale powinny

ści, których do tej pory nie miałeś, nie ustępują całkowicie w ciągu 2–3 tygodni pod wpływem leczenia objawowego po podaniu prostych leków przeciwgorączkowych, przeciwbólowych, jednego antybiotyku, to zrób wszystko, by zgłosić się do lekarza i wykonać badania celem wyeliminowania nowotworu”. To złota zasada „2–3 tygodni”. Nie można obawiać się zgłoszenia do szpitala, nawet w sytuacji pandemii, ponieważ konsekwencje zostania w domu powodują, że szanse na wyleczenie znacznie spadają. W wyższym stopniu zaawansowania nowotworu dostęp do skutecznych leków jest ograniczony, możliwości wyleczenia znacząco niższe, a koszty nierzadko astronomiczne.

Symulacja ekspertów z Wielkiej Brytanii i USA pokazuje, że opóźnienie o trzy miesiące zgłoszenia się do lekarza powoduje o 10 proc. gorsze wyniki leczenia po 10 latach. W przypadku opóźnienia o pół roku spadek wyleczalności wynosi aż 30 proc.! To prognozy mrozące krew w żyłach

raportować efekty leczenia, jego skuteczność i powikłania; konieczna jest coroczna ocena i certyfikacja ośrodków onkologicznych. Powinny zdecydowanie szybciej powstać tzw. specjalistyczne centra kompetencji: ośrodki kompleksowego leczenia raka piersi, płuca, jajnika, które oferowałyby koordynowane leczenie kompleksowe oraz ponosiły odpowiedzialność za całość kształtu opieki onkologicznej i dostawałyby pieniądze za efekty tych działań. Tylko wtedy opłaca się więcej inwestować w onkologię, tylko wtedy te pieniądze będą rozsądnie wydane. Pacjenci muszą wiedzieć, gdzie warto się leczyć. To niezwykle ważne, bo w onkologii pierwsze leczenie jest najważniejsze – jeśli nie jest ono optymalne i zgodne ze standardami europejskimi, to pacjent już na początku traci ok. 50 proc. szans na wyleczenie.

Z najnowocześniejszych leków nie będą mogli skorzystać pacjenci, jeśli nie będą wcześniej zdiagnozowani. Z jakimi objawami pacjent nie powinien czekać, tylko jak najszybciej zgłosić się do lekarza?

Zawsze powtarzam każdemu choremu, że trzeba wykazywać czujność onkologiczną: „Jeśli objawy i dolegliwości

Szybkie rozpoczęcie terapii może spowodować całkowite wyleczenie. Trzeba przekroczyć barierę strachu. We wszystkich ośrodkach onkologicznych jest stosowany ścisły reżim sanitarny. Nie obawiajmy się zgłoszenia do onkologa.

Dzisiaj pacjent chce iść do lekarza, ale często jest mu oferowana tylko teleporada. Co wtedy?

Przez telefon nie zdiagnozuje się nowotworu. Warto być niepokornym pacjentem. Gdy objawy nie ustępują, trzeba iść do lekarza. Jeśli nie przyjmie, to trzeba poszukać innego. Są też infolinie onkologiczne, gdzie można pytać o radę, np. w regionalnych centrach onkologii, w ośrodkach akademickich można szukać pomocy za pośrednictwem infolinii Rzecznika Praw Pacjenta i/lub NFZ. Nie wolno czekać, w przypadku nowotworu liczy się czas.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr n. med. Janusz Meder
– prezes Polskiej Unii Onkologii, specjalista w dziedzinach onkologii klinicznej i radioterapii z Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie.



Biała plama w drobnej komórce



Katarzyna Pinkosz

Od stycznia 2021 r. wiele się zmieniło w możliwościach leczenia raka płuca. Białą plamą, jeśli chodzi o dostęp do leczenia, pozostaje drobnokomórkowy podtyp tego nowotworu

Małgorzata Maksymowicz, która prowadzi na FB grupę dla chorych na raka płuca i ich rodzin, mówi, że chorzy na drobnokomórkowego raka płuca (DRP) są jak dzieci gorszego Boga. – Trudno nam cieszyć się z tego, że dla części chorych od stycznia jest bardzo nowoczesne leczenie, skoro dla innych go nie ma. To nie zależy przecież od człowieka, że przytrafił mu się taki podtyp raka

płuca, a nie inny. Ludzie często piszą na naszej grupie przez łzy, bo nie wiedzą, jak wytłumaczyć choremu rodzicowi, że lek jest dostępny, ale nie dla niego, bo ma inny podtyp raka. Nie potrafią wytłumaczyć, dlaczego nie może być w Polsce leczony, choć przez całe życie płacił składkę zdrowotną, a mógłby być, gdyby mieszkał w Niemczech, Słowenii, we Włoszech, w Austrii – dodaje Małgorzata Maksymowicz.

TRUDNY DO WYKRYCIA I LECZENIA

Gdy stawiana jest diagnoza raka płuca, na początku sprawdza się, czy jest to typ niedrobnokomórkowy (NDRP) czy drobnokomórkowy (DRP). W ok. 80 proc. przypadków jest to NDRP. Niedrobnokomórkowcy mają więcej szczęścia – w ich przypadku już od kilku lat dokonuje się rewolucja za sprawą dwóch klas leków. Pierwsza to tzw. leki ukierunkowane molekularnie, nakierowane na określoną zmianę genetyczną w komórkach nowotwo-

rowych. W przypadku niektórych zmian są już leki, dzięki którym chorzy mogą żyć nawet wiele lat (a być może w niektórych przypadkach można wręcz mówić o przejściu w fazę choroby przewlekłej). Druga klasa leków to tzw. immunoterapia (leki immunokompetentne). Odblokowują one zaślepiony przez komórki nowotworowe układ immunologiczny, dzięki czemu znów zaczyna on rozpoznawać i zwalczać komórki nowotworowe.

Drobnokomórkowego raka płuca rzadziej diagnozuje się w Polsce u ok. 3,3 tys. osób (to mniejszość, bo ok. 15 proc. wszystkich przypadków raka płuca). – To bardzo agresywny i szybko rozwijający się nowotwór, w ciągu dwóch miesięcy potrafi podwoić swoją wielkość i z niewielkiego guzka nagle tworzy się olbrzymi guz. Zazwyczaj jest już rozpoznawany w stadium przerzutowym; choroba ma charakter uogólniony, co powoduje, że nie możemy zastosować operacji, gdyż guza pierwotnego i przerzutów nie da się już usunąć radykalnie – mówi prof. Paweł



FOT. ANDRZEJ STOLCK

Krawczyk, kierownik Pracowni Immunologii i Genetyki Katedry i Kliniki Pneumologii, Onkologii i Alergologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Drobnokomórkowcy mają też pecha, jeśli chodzi o leczenie – w ich przypadku przez długie lata nie sprawdzały się ani leki ukierunkowane molekularnie, ani próby leczenia immunoterapią. W przypadku zaawansowanej choroby jedynym możliwym leczeniem była chemioterapia, jednak zwykle po kilku miesiącach następowała wznowa choroby. Podawano kolejną chemioterapię, ale po niej progresja choroby pojawiała się jeszcze szybciej. Przełomem było badanie kliniczne IMpower 133, w którym chorym podawano w pierwszej linii leczenia chemioterapię i atezolizumab (immunoterapia stosowana z powodzeniem w niedrobnokomórkowym raku płuca). – Było to pierwsze od ponad 20 lat badanie kliniczne, którego wyniki wykazały istotną różnicę przeżycia chorych otrzymujących nowy lek. Chorzy mieli wydłużony czas całkowitego prze-

życia i wydłużony czas wolny od progresji choroby. Nie ma wątpliwości co do skuteczności leczenia – mówi prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Narodowego Instytutu Onkologii, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca. Skuteczność immunoterapii potwierdziły następne badania z kolejnymi lekami z zakresu immunoterapii. Wyniki spowodowały zmianę zaleceń leczenia DRP. – Dziś zalecanym standardem leczenia tej grupy chorych staje się stosowanie w pierwszej linii leczenia połączenia chemioterapii z immunoterapią – dodaje prof. Kowalski.

LECZENIE ZALEŻNE OD PODTYPU

Według zapowiedzi Ministerstwa Zdrowia sprzed roku 2020 r. miał być rokiem raka płuca: nowotworu numer jeden w Polsce, jeśli chodzi o liczbę zgonów. Pandemia COVID-19 zrewidowała te plany, jednak duże zmiany w możliwościach leczenia pojawiły się na styczniowej liście leków refundowanych. Umożliwienie zastosowania najnowocześniejszych terapii u chorych na NDRP cieszy zarówno lekarzy, jak i pacjentów, pozostał jednak niedosyt, jeśli chodzi o DRP, gdyż w tym przypadku na liście nie znalazły się nowości, a chorzy z tym typem nowotworu nie mogą czekać. Małgorzata Maksymowicz opowiada, że zdarzają się sytuacje, kiedy mieszkające za granicą dzieci próbują ściągnąć do siebie chorego rodzica i tam walczyć o leczenie dla niego. Są też osoby, które pytają o możliwość zakupu leku prywatnie, jednak zdecydowanie przekracza to możliwości chorego i jego rodziny. – Pacjenci wiedzą, że lek mogą w Polsce otrzymywać chorzy na NDRP. Nie mogą zrozumieć, dlaczego dla nich nie jest dostępny. Jesteśmy już na takim poziomie rozwoju społecznego, że słowa „równość”, „solidarność” są dla ludzi ważne. Chorzy mają poczucie niesprawiedliwości, braku równości, ponieważ ten sam lek jest dostępny dla osób z NDRP, a dla nich nie – dodaje Małgorzata Maksymowicz.

Z raportu „Immunoterapia w drobnokomórkowym raku płuca – szansa pacjentów na dłuższe życie”, pod redakcją dr Izabeli Obarskiej i prof. Dariusza M. Kowalskiego, wynika, że w Polsce spośród 3,3 tys. pacjentów z DRP z takiej terapii mogłoby skorzystać ok. 1,5 tys. pacjentów. Autorzy podkreślają, że

choć z badania IMpower 133 wynika, iż różnica w czasie całkowitego przeżycia między pacjentami przyjmującymi immunoterapię a tymi, którzy dostawali tylko klasyczne leczenie, wynosi blisko trzy miesiące, to znaczący odsetek chorych przeżywał rok i więcej od rozpoczęcia terapii. Ważna jest też jakość życia: skojarzenie immunoterapii z chemioterapią nie zwiększa toksyczności leczenia.

Wniosek o refundację atezolizumabu w ramach programu lekowego czeka na rozstrzygnięcie ministra zdrowia. Rekomendacja prezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji była zarówno pozytywna, jak i negatywna: z jednej strony nie rekomendował on objęcia leku refundacją na proponowanych warunkach, z drugiej uznał, że ze względu na brak finansowania celowanej terapii w leczeniu DRP oraz istotność problemu zdrowotnego finansowanie ze środków publicznych byłoby wskazane. Pacjenci i lekarze czekają na wynik negocjacji między ministerstwem a producentem, a przede wszystkim pozytywną decyzję. – Tutaj nie ma pytania, czy te leki powinny znaleźć się w refundacji, tylko kiedy to się stanie. Oby jak najszybciej – mówi prof. Kowalski. Zaznacza, że leki immunokompetentne są już dobrze znane, onkolodzy mają doświadczenie, jak je stosować i jakich ewentualnych działań niepożądanych można się spodziewać. – Jest to grupa chorych, którymi trzeba bardzo szybko się zaopeczkować – dodaje prof. Kowalski. Rak drobnokomórkowy zabija szybko, pacjenci nie mogą czekać. W tym nowotworze szczególnie liczy się czas.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Objawy raka płuca:

Przez długi czas rak płuca może nie dawać żadnych objawów (lub mogą one być nietypowe, np. bóle barku, gdy guz jest usytuowany w szczycie płuca). Zaniepokoić powinny: przedłużający się kaszel (lub zmiana jego charakteru), pojawienie się uczucia duszności, trudności w połykaniu, powtarzające się zapalenia płuc, krwioplucie. Mogą pojawiać się objawy ogólne, takie jak zmęczenie, spadek apetytu, chudnięcie. U niektórych osób pierwszymi objawami DRP mogą być nudności, wymioty, atak padaczkowy, utrata przytomności (są spowodowane przerzutami do centralnego układu nerwowego).



Dorota Bardzińska

Rak jajnika jest podstępny, agresywnym i najgorzej rokującym nowotworem ginekologicznym. Nowa terapia, która opóźnia postęp choroby i wydłuża życie, staje się przełomem w leczeniu tego nowotworu

Barbara Górską zachorowała na raka jajnika w październiku 2011 r. Obecnie, po prawie 10 latach od diagnozy: „rak jajnika w trzecim stadium zaawansowania”, jest już po sześciu liniach chemioterapii i terapii lekiem z grupy inhibitorów PARP. Jak mówi, czuje się znakomicie, jakby nigdy w życiu nie chorowała. Jednak jej historia choroby jest raczej wyjątkiem niż regułą.

– Statystycznie z rakiem jajnika trzeciego stopnia żyje się do pięciu lat. Ja pokazuję, że można dłużej – mówi.

Rak jajnika jest bowiem najgorzej rokującym nowotworem ginekologicznym. Ma najniższy spośród tych nowotworów wskaźnik przeżycia pięcioletniego – według Krajowego Rejestru Nowotworów wynosi on tylko 44 proc., podczas gdy dla raka piersi – 79 proc., a dla raka szyjki macicy – 56 proc. Oznacza to, że ponad połowa kobiet z rakiem jajnika umiera w ciągu pięciu lat, a wyleczalność nie przekracza 20 proc.

To piąty pod względem częstości nowotwór złośliwy u kobiet (co roku tę diagnozę słyszy ok. 3,6 tys. pacjentek) i czwarta przyczyna zgonów Polek na nowotwory.

AGRESYWNY SKRYTOBÓJCA

Dlaczego rak jajnika jest tak groźny? Jest podstępny, agresywny i rozwija się błyskawicznie, co gorsza – „po cichu”, bo nie daje niemal żadnych objawów albo są one dyskretne, niecharakterystyczne. Czasami zaawansowany rak jajnika jest wykrywany u kobiet, które trzy miesiące wcześniej były u ginekologa, a badanie nie pokazało niczego niepokojącego. Co więcej, nie ma badań przesiewowych – takich jak cytologia w przypadku raka szyjki macicy – które pozwoliłyby wykryć stany przedrakowe czy nowotwór



FOT. ADRIAN STOK

jajnika we wczesnym stadium. Dlatego diagnozowany jest zwykle na etapie, kiedy jest już rozsiały na inne narządy.

Podstawą leczenia są operacja i chemioterapia. Po chemii u siedmiu–ośmiu pacjentek na dziesięć następuje częściowa lub całkowita remisja choroby. Okres bez objawów może trwać od kilku miesięcy do kilku lat.

Niestety u mniej więcej 70 proc. chorożba ponownie daje o sobie znać i staje się nieuleczalna. I w tym tkwi problem, bo po wznowie pacjentce podaje się kolejną chemię, po której może nastąpić kolejna remisja, nawrót i następna chemia...

TERAPIĘ, KTÓRĄ WYDŁUŻAJĄ ŻYCIE

Lekarze podkreślają, że leczenie raka jajnika jest trudne. Coraz częściej mówi się jednak o przełomowych terapiach. Takimi lekami okazały się inhibitory PARP. Stanowią tzw. leczenie podtrzymu-

jące, które wydłuża okres remisji, czyli bez objawów choroby.

– Wprowadzenie inhibitorów PARP jest istotnym przełomem w leczeniu nowotworu jajnika, takim, jakiego nie było od wielu, wielu lat – mówi dr hab. n. med. Radosław Mądry, który kieruje Oddziałem Ginekologii Onkologicznej w Szpitalu Przemienienia Pańskiego w Poznaniu.

Z zarejestrowanych w raku nowotworowym w Europie dwóch inhibitorów PARP: olaparybu i niraparybu, w Polsce dla chorych z mutacjami w genach BRCA refundowany jest ten pierwszy w drugiej lub kolejnych liniach leczenia, po wznowie, w przypadku uzyskania odpowiedzi na chemioterapię. – Przyjmowałam inhibitor PARP przez dwa lata przed wznową, którą dostałam w czerwcu 2020 r. Dwa lata remisji w trzecim stopniu raka jajnika to bardzo dużo. To dwa lata odpoczynku, spokoju, stabilizacji – mówi Barbara Górka.

Doniesienia z kongresu Amerykańskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej



były prezentowane na kongresach ESMO (European Society for Medical Oncology – Europejskie Towarzystwo Onkologii).

– W 2018 r. zaprezentowano wyniki badania SOLO1 z zastosowaniem olaparybu, a w minionym roku na ESMO przedstawiono update tego badania, czyli wyniki po pięciu latach obserwacji. Pokazują one, że pacjentki, które są nosicielkami mutacji w genach BRCA, bezwzględnie powinny być leczone za pomocą inhibitora PARP jako terapii podtrzymującej po pierwszej linii. W tym przypadku czas do progresji wydłużył się trzy-, czterokrotnie. Takiego postępu w wydłużeniu czasu do progresji nie było jeszcze w ginekologii onkologicznej nigdy – podkreśla dr Mądry.

W grupie pacjentek z zaawansowanym rakiem jajnika, które nie otrzymywały inhibitorów PARP, czas do progresji wynosił przeciętnie 13 miesięcy. U pacjentek, które przyjmowały inhibitor PARP w pierwszej linii, wznowa u części chorych wystąpiła przeciętnie w 56. miesiącu. – W grupie chorych, którzy po zakończeniu pierwszej linii leczenia mają tzw. całkowitą remisję – czyli nie można u nich stwierdzić wizualnie, za pomocą tomografii komputerowej oraz laboratoryjnie choroby – nastąpiło wydłużenie czasu do progresji z 15 miesięcy do 60 miesięcy. Co najmniej 60 miesięcy, bo ta obserwacja się nie skończyła – wyjaśnia dr Mądry. To rewolucja, na którą i lekarze, i pacjenci czekali od dekad.

Lekarze zakładają, że przełoży się to na wydłużenie czasu przeżycia. – Inne badania, takie jak PAOLA1, które pokazały efektywność leczenia w pierwszej linii olaparybu w połączeniu z bewacyzumabem, czy badanie PRIMA z zastosowaniem niraparybu, dowodzą, że jest jeszcze więcej pacjentów, którzy mogą odnieść korzyść z zastosowania inhibitorów PARP. Poza pacjentkami z mutacją genu BRCA1/BRCA2 istnieje grupa pacjentek z innymi przyczynami deficytu rekombinacji homologicznej, który to jest konieczny dla skutecznego działania leków z grupy PARP. Ta grupa chorych także odnosi istotne, naprawdę spore korzyści z tych leków – dodaje dr Mądry.

Dlatego zdaniem dr. Mądrego dostęp do inhibitorów PARP w pierwszej linii jest dziś dla pacjentek kluczową sprawą. – Nie ma wątpliwości, że rozwój powinien pójść w kierunku rozpoczęcia leczenia w pierwszej linii, ale także rozwijania terapii w zakresie różnych inhibitorów. Najbardziej pożądana byłaby sytuacja, gdyby można

było korzystać z dwóch leków, bo konkurencja jest zdrowa – podkreśla dr Mądry.

W PIERWSZEJ LINII

Katarzyna ma 44 lata i to, że przyjmuje inhibitor PARP w pierwszej linii leczenia – czyli zaraz po operacji i zakończeniu pierwszej chemioterapii – zawdzięcza własnej determinacji i dociekliwości. Udało się jej pokonać barierę, którą jest dostęp do tych leków (miesięczna dawka kosztuje 20 tys. zł).

Raka jajnika w trzecim stopniu (dwa guzy 8 na 10 cm) zdiagnozowano u niej we wrześniu 2019 r. (trzy miesiące wcześniej robiła badania, które nie wykazały zmian na jajnikach). Po operacji szpital miał jej do zaoferowania chemię i dodatkowe leczenie przeciwciałem monoklonalnym, które wpływa na hamowanie tworzenia się naczyń krwionośnych nowotworu. Informacji o metodach leczenia zaczęła więc szukać na własną rękę. Zapisła się na fora, na których chore na raka jajnika kobiety z całego świata opisywały swoje terapie. Stała się stałym czytelnikiem specjalistycznych portali onkologicznych. W końcu znalazła informację o testowaniu olaparybu w pierwszej linii leczenia z lekiem antyangiogenym. – Uświadomiłam lekarzom, że mogę mieć podawane te dwa leki w pierwszej linii.

Inhibitor PARP w pierwszej linii leczenia nie jest refundowany, nadzieją stał się więc Program Ratunkowego Dostępu do Technologii Lekowych. Szpital, w którym się leczyła, odmówił jednak podpisania wniosku do Ministerstwa Zdrowia. W znalezieniu placówki, która się tego podejmie, pomogła lekarka przypadkowo spotkana na oddziale chemioterapii.

– Cały proces przyznania finansowania trwał trzy miesiące i dostałam lek tylko dlatego, że jestem uparta jak osioł i się nie poddawałam, chociaż napotkałam mnóstwo przeciwności – mówi. Katarzyna przyjmuje inhibitor PARP już osiem miesięcy. Zmieniała pracę, czuje się dobrze, nie odczuwa skutków ubocznych przyjmowania leku.

– Nie wiem, czy inne kobiety mają taką determinację jak ja, bo ta choroba sprawia, że są często wycieńczone chemią, zrezygnowane i zdają się na to, co im się proponuje. Większość zwyczajnie nie poszukuje informacji o najnowszszych metodach leczenia. Nie można przerzucić wszystkiego na pacjentki, system powinien działać na ich rzecz – podkreśla. W końcu stawką jest dłuższe życie.

(ASCO) pokazały, że pacjentki z nawrotowym wrażliwym na chemioterapię rakiem jajnika otrzymujące w leczeniu podtrzymującym inhibitor PARP odnoszą korzyści, nie tylko jeśli chodzi o czas wolny od progresji choroby. – W grupie pacjentek ze wznową mamy twarde dane, że zastosowanie inhibitora PARP wydłuża czas życia o 16 miesięcy – mówi dr Mądry.

NAPRAWDĘ WIELKI PRZEŁOM

Badacze zastanawiali się jednak, co będzie, jeśli zastosować inhibitory PARP od razu po operacji i chemioterapii, zanim choroba ponownie da o sobie znać. Jeśli bowiem te leki dają dobre efekty w terapii choroby nawrotowej, w której nie ma szans na wyleczenie, to w przypadku ich zastosowania u chorych nowo zdiagnozowanych działanie może być jeszcze lepsze.

Takie przypuszczenia znalazły potwierdzenie w badaniach klinicznych, które

Układanka z leków



Z prof. Iwoną Hus,
hematologiem

rozmawia

Katarzyna Pinkosz



KATARZYNA PINKOSZ: W leczeniu nowotworów hematologicznych dokonuje się wielki postęp. Czy dzięki temu o szpiczaku można już powiedzieć: choroba przewlekła, z którą pacjent może żyć wiele lat, i to w miarę normalnie?

PROF. IWONA HUS: Szpiczak powoli staje się chorobą przewlekłą i jest to ogromny sukces medycyny. Jeszcze niedawno czas przeżycia od diagnozy wynosił blisko trzy lata, a obecnie chorzy żyją 7–10 lat, a nawet dłużej. Problem polega na tym, że po pewnym czasie komórki nowotworowe ulegają mutacjom i stają się odporne na stosowaną terapię. Szpiczak jest chorobą, która nawraca. Jeśli jednak mamy możliwość zastosowania nowoczesnych leków – a tych w ostatnich latach pojawia się coraz więcej, ponieważ w tej chorobie dokonuje się wręcz rewolucja – to pacjent może żyć wiele lat. Warunkiem jest dostęp do nowych leków i różnych schematów ich łączenia.

pacjentom w takich połączeniach, które byłyby najbardziej skuteczne.

Chociaż leki są refundowane, to nie dla wszystkich pacjentów, którzy odnieśliby korzyści?

Tak, np. mamy możliwość zastosowania daratumumabu tylko w schemacie z bortezomibem i deksametazonem, a ten lek byłby skuteczniejszy w schemacie z lenalidomidem. Z kolei inny bardzo skuteczny lek – karfilzomib (inhibitor proteasomu drugiej generacji) – możemy zastosować tylko w schemacie trójkowym (z lenalidomidem i deksametazonem) i wyłącznie u pacjentów, których kwalifikujemy do transplantacji szpiku. To mała grupa. Większość chorych na szpiczaka to osoby starsze, którym nie będziemy mogli przeszczepić szpiku. U nich karfilzomib również byłby skuteczny, ale w schemacie z deksametazonem. W takim połączeniu karfilzomib

asomu pierwszej generacji, karfilzomib nie powoduje takich skutków ubocznych jak neuropatia, dlatego może być długo stosowany.

Brakuje nam też możliwości stosowania lenalidomidu w połączeniu z deksametazonem w pierwszej linii dla osób, które nie kwalifikują się do przeszczepu. W przypadku zastosowania lenalidomidu w pierwszej linii ważne dla nas byłoby w drugiej linii schematy z karfilzomibem, bo są to leki z innej grupy. Lenalidomid jest też potrzebny w leczeniu podtrzymującym po transplantacji. Brakuje też iksazomibu, bardzo ważnego dla pacjentów, którzy mają wysokie ryzyko oporności na leczenie.

Leczenie szpiczaka to prawdziwa układanka...

Im więcej mamy możliwości korzystania z nowych terapii i ich kojarzenia, tym lepiej. Optymalne efekty daje właśnie stosowanie schematów skojarzonych, łączących różne grupy leków. Zastosowanie dwóch, trzech leków z różnych grup pozwala na uzyskanie dłuższej trwającej odpowiedzi na leczenie. Jeśli jednak po pewnym czasie chory przestaje odpowiadać na zastosowane leczenie, to trzeba je zmienić na takie o nieco innym mechanizmie działania. W niewielu chorobach nowotworowych mamy dziś takie możliwości jak w szpiczaku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na szpiczaka plazmocytozowego rocznie zachorowuje 1500–1800 osób w Polsce. Pierwsze objawy nie są specyficzne, to np. silne bóle kręgosłupa, niedokrwistość, częste infekcje, złamania kości, kręgosłupa, żeber

W 2019 r. głośno było o tym, że kilka bardzo nowoczesnych leków znalazło się w refundacji. Czy dziś polscy pacjenci mają optymalny dostęp do leczenia?

Chociaż dostęp do nowych terapii faktycznie się poprawił, to niestety nie możemy podać wszystkich, które byłyby chorym potrzebne. Ze względu na zapisy w programach możemy stosować leki w bardzo okrojonych wskazaniach klinicznych. Na wszystkie terapie możemy zaproponować

jest w wyższej dawce. To leczenie jest wskazane w przypadku pacjentów, którzy otrzymywali lenalidomid, a komórki nowotworowe już się na ten lek uodporniły, a także chorych, którzy nie mogą zostać zakwalifikowani do przeszczepienia szpiku, np. ze względu na wiek, obciążenia innymi chorobami. Mogłoby to wydłużyć czas trwania odpowiedzi na leczenie i życie pacjenta. W odróżnieniu od bortezomibu, czyli inhibitora prote-



prof. Iwona Hus – jest przewodniczącą Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów, kieruje Oddziałem Chorób Układu Chłonnego w Instytucie Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie.

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GALAXY S20 FE 5G

Wysoka częstotliwość odświeżania ekranu, łączność 5G, potężny procesor, dobry aparat fotograficzny oraz przyzwoity stosunek ceny do jakości – to największe zalety modelu Galaxy S20 z dopiskiem „Fan Edition”.

Gdyby trzeba było scharakteryzować model Samsung Galaxy S20 FE 5G w zaledwie kilku słowach, można by stwierdzić, że to po prostu tańsza odmiana Galaxy S20 (producent uniknął po prostu nazwy „Lite”).

Testowany model od flagowca z Korei Południowej odróżnia m.in. wygląd, który jasno wskazuje, że nie jest to smartfon z najwyższej półki cenowej, który ma zachwycać wzornictwem wszystkich dookoła. Plastikowa obudowa i prosty design sprawiają, że model S20 FE 5G wygląda wprawdzie nowocześnie, ale nie wyróżnia się niczym szczególnym w tłumie podobnych smartfonów.

Jakość dużego, 6,5-calowego ekranu zasługuje już jednak na pochwałę. Super AMOLED z obsługą HDR10+ potrafi wyświetlać przepiękne kolory oraz głęboką czerń w rozdzielczości 1080 x 2040. A do tego oferuje częstotliwość odświeżania na poziomie 120 Hz.

Drugą zaletą testowanego modelu jest potężny procesor Snapdragon 865 wspierany przez 6 GB pamięci RAM. Na pliki producent przewidział 128 GB pamięci, którą można rozszerzyć za pomocą kart microSD. Taka konfiguracja sprawia,

że smartfon działa płynnie, a do tego nawet przy bardziej wymagających zadaniach (w tym zaawansowanych grach) nie ma problemów z nadmiernym nagrzewaniem się.

Nieźle sprawdzają się również aparaty fotograficzne. Główny aparat o matrycy 12 Mpix i jasności obiektywu wynoszącej f/1.8 potrafi robić bardzo ładne zdjęcia nawet w trybie nocnym.

Przy dobrym oświetleniu często nieźle wychodzą także fotografie zrobione z aparatu z ultraszerokim obiektywem. Dużo gorzej sprawdza się teleobiektyw – w tym przypadku S20 FE 5G stosunkowo często ma problemy z prawidłowym działaniem autofocusa. Tańszy odpowiednik S20 potrafi również nagrywać filmy 4K z prędkością 60 klatek na sekundę. Bez zarzutów działa także optyczny czytnik linii papilarnych, a łączność 5G robi spore wrażenie (szkoda tylko, że głównie w stolicy).

Minusy? Poza wspomnianym na początku „tanim” wyglądem jest jeszcze kilka wad. Po pierwsze akumulator o pojemności 4500 mAh jest zbyt słaby, aby móc intensywnie używać smartfona na jednym ładowaniu od rana do północy. Po drugie w zestawie znajduje się ładowarka, która obsługuje jedynie ładowanie 15 W, choć sam smartfon można ładować dużo szybciej przy wykorzystaniu 25 W. Mocniejszą ładowarkę trzeba już jednak dokupić (ciekawe, co na to ekolodzy). Poza tym brakuje trady-



cyjnego wyjścia słuchawkowego oraz diody powiadomień.

Samsung Galaxy S20 FE 5G będzie więc bardzo dobrym wyborem dla wszystkich tych miłośników gadżetów, którym w południowo-koreańskim flagowcu podobało się wszystko poza bardzo wysoką ceną. Za „edycję dla fanów” trzeba zapłacić 3199 zł. To wciąż daleko od półki budżetowej, ale i tak stosunek ceny do jakości jest dużo lepszy niż w przypadku flagowców. ©©

Jacek Przybylski



PERFUMY STEROWANE SMARTFONEM

Ninu. Taką nazwę noszą inteligentne perfumy, zaprezentowane na tegorocznych targach CES. Dlaczego inteligentne? Ponieważ użytkownik otrzymuje gadżet w kształcie niewielkiej tuby, w której wewnątrz zamknięte są trzy niewielkie zbiorniki z zapachami bazowymi. Ostateczny zapach komponuje się za pomocą aplikacji na smartfona. Porcje można ustalać własnoręcznie lub dać wolną rękę sztucznej inteligencji, która potrafi dobrać zapach do okazji. Według producenta z jednego „flakonika” można uzyskać ponad milion różnych kompozycji zapachowych. Ninu ma być sprzedawane w wersji damskiej lub męskiej. Cena na razie jest nieznana.

ŁODÓWKA Z KOMORĄ PRÓŻNIOWĄ

Firma Haier wypuściła na rynek innowacyjną lodówkę F+ HFF-750CGBJ, która jako jedyna chłodziarko-zamrażarka na rynku domowych sprzętów AGD jest wyposażona w szufladę próżniową Antioxidant Zone. Dzięki niej przechowywane produkty mają więcej witaminy C i zachowują świeżość nawet osiem razy dłużej. Najfajniejsze jest jednak to, że nie trzeba ich w tym celu pakować do żadnych pudełek. Powietrze usuwane jest z komory automatycznie dzięki zastosowaniu pompy próżniowej i specjalnego filtra. Do tego lodówka wyposażona jest również w system antybakteryjny ABT, który wykorzystując płytkę z dwutlenku tytanu oraz światło ultrafioletowe, zabija aż 99,9 proc. bakterii. Niestety, zabójcza jest też cena. Lodówka kosztuje bowiem aż 16 999 zł. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsze polskie Termopile

Bitwy będące kandydatami do miana polskich Termopil znajdziemy w każdej epoce historycznej. We wrześniu 1939 r. stała się nimi obrona Wizny, ale poważnym kandydatem było także Westerplatte. Dawna Rzeczpospolita również miała swoje Termopile, okupione wielkimi stratami. Mowa o bitwie pod Hodowem na Podolu, 11 czerwca 1694 r., pomiędzy



– uderzyli z marszu na wroga, nie spodziewając się, że jest to jedynie awangarda znacznie większych sił. W ręcznym boju wzięto do niewoli dwóch znacznych murzów i rozbito wroga. Niespodziewanie jednak na polu walki pojawiły się przeważające siły tatarskie, które osaczyły naszych jeźdźców. Husarze i pancerni wycofali się zatem do wsi, zsiadli z koni, po czym przygotowali się do obrony. Wieś była ufortyfikowana kobylicami i płotami. Dodatkowo obrońcy „uczynili sobie obronę ze stołów, drzwi, beczek z chałup chłopskich powydobywanych”, po czym zaczęli odpierać ataki przeciwnika. Okazało się bowiem, że wrogiem są przeważające siły Tatarów pod wodzą Gazi Gereja, którzy wcześniej dostarczyli prowiant do okrążonego ze wszystkich stron Kamieńca Podolskiego. Po kilku szturmach odpartych bronią palną ordyńcy wysłali do Polaków Lipków – czyli Tatarów litewskich, którzy przeszli na początku wojny na stronę turecką, z wezwaniem do poddania się. Polacy odpowiedzieli wprost: „My po śmierć w te wąwozy przyszli”. Pod wrażeniem zacieklej obrony Lipkowie odradzali dalsze ataki, mówiąc Gerejowi: „My z tymi ludźmi co dzień ubijamy się pod Kamieńcem, są [...] niezwalenie, że wprzód wszyscy wyginiecie, nim wam ich dostać przyjdzie”. Walka trwała sześć godzin i wszystkie ataki wroga zostały odparte, orda się wycofała. Obrońców zginęło tylko 13, jednak było o wiele więcej rannych. Ogromnie ucierpiały konie poranione od tatarskich strzał. Było ich ponoć tyle, że obrońcy, którym na koniec brakowało kul, wkładali do luf pistoletów i bandoleatów same groty, odgryzając się nieprzyjacielowi. Po bitwie z powodu ran skonał Konstanty Zahorowski, do niewoli dostał się Tyszkowski, w Pomorzanach

pozostawiono stu rannych, którzy nie mogli iść o własnych siłach.

Do dziś największe kontrowersje wśród historyków wywołuje kwestia liczebności Tatarów. Radosław Sikora cytując źródła XVII-wieczne, podaje, że mogło ich być razem z czeladzią i Lipkami nawet do 40 tys., co dawałoby stosunek sił prawie jak 1 do 100! Inni badacze są bardziej wstrzemięźliwi. Marek Wegner uważa, i słusznie, że chorągwie polskie nie walczyły z wyprawą, w której brał udział sam chan, co ograniczało liczbę ciągnących na nią wojowników do ok. 4 tys., ale daje i tak przewagę prawie 1 do 10. Bitwa już u współczesnych budziła zdumienie z powodu dysproporcji sił. Jak podaje Mirosław Nagielski, król Jan III Sobieski już kilka dni po starciu przekazał zapomogę 1 tys. zł dla rannych, a hetman Stanisław Jabłonowski 400 zł na cyrulika. 27 czerwca król osobiście przyjął poranionych towarzyszy i kazał wypłacić im odszkodowania za zabite konie, które w tamtych czasach warte były fortunę. Jan III nakazał również wzniesić pod Hodowem pomnik upamiętniający starcie, który przetrwał wszystkie dziejowe burze i został odrestaurowany w 2014 r.

Zwycięstwo, choć odniesione przez kawalerię, zwiastowało niestety bliski już kres znaczenia i świetności tej formacji. Chorągwie husarskie i pancerne mogły być używane przeciwko Turkom i Tatarom, natomiast nie sprawdziły się sześć lat później w szarży pod Kliszowem na piechotę szwedzką uzbrojoną w nowoczesne karabiny skałkowe. Sama bitwa miała też przebieg odmienny od większości starć na kresach. Wygrała ją męstwo żołnierzy koronnych, ale też gęsty ogień pistoletów, bandoleatów i arkebuzów prowadzony zza umocnień wsi. © ©

I RZECZYPOSPOLITA

Hodów

jazdą polską a Tatarami. Starciu nie tylko niezwykłym z powodu ogromnej różnicy sił (niektórzy historycy piszą nawet o dysproporcji

100 do 1 na korzyść wroga), zwycięskim, stoczonym we wsi, gdzie główną rolę w walce odegrała broń palna. Co więcej, było to ostatnie wielkie zwycięstwo jazdy Rzeczypospolitej przed późniejszymi klęskami w wielkiej wojnie północnej. Jak zwykle Hodów też wzbudza wielkie kontrowersje, zwłaszcza co do składu i liczebności wojsk.

Bitwa zaczęła się od zaskoczenia – przebywający w okolicy Hodowa i Pomorzan oddział jazdy polskiej składający się z dwóch chorągwi husarskich i pięciu pancernych, w sumie ok. 500–600 jeźdźców, napotkał Tatarów. Dowódcy – Konstanty Zahorowski i Mikołaj Tyszkowski

KASIA NOVA I JEJ SMAKOWITA SZAKSZUKA

Bardzo lubię pomidory, stąd mój wybór dania padł na szakszukę. Pierwszy raz spróbowałam jej w Tel Awiwie, gdyż jest to danie kuchni bliskowschodniej. Jest banalne w przygotowaniu, zdrowe (pomidory to bogactwo przeciwnowotworowego likopenu, beta-karotenu, witamin: C, E, K) i smakuje wyśmienicie. Można też zabłysnąć wśród rodziny lub znajomych ciekawym pomysłem, odskocznia od jajek w tradycyjnej formie.

Podam przepis na standardową wersję tego dania. Kiedy się znudzi, można urozmaicać kiełbaską, szpinakiem, rybą.

Składniki (2 porcje):

- 4 jaja
- puszka pomidorów krojonych lub 4 dojrzałe pomidory pokrojone w kostkę
- 1 cebula pokrojona w pla-sterki
- ząbek czosnku
- świeża bazylia/szczypiorek
- 2 papryki (czerwone, żółte lub zielone) pokrojone w kostkę
- 1 łyżeczka suszonej papryki
- ser feta
- 1 łyżka stołowa oliwy z oliwek/oleju

Przygotowanie:

Podgrzewamy oliwę na patelni, dodajemy cebulę oraz paprykę i smażymy do miękkości. Dodajemy suszoną paprykę, czosnek oraz chili w proszku i smażymy przez 5 min. Następnie wrzucamy pomidory i smażymy

przez kolejne 2 min. Przyprawiamy solą i pieprzem. W użytej masie robimy drewnianą łyżką cztery zagłębienia. Do każdego zagłębienia wbijamy po jajku i smażymy tak długo, aż zetnie się białko. Posypujemy suszoną papryką i serem. Wystarczy dodać do niej świeże pieczywo lub chlebek pita i pyszne, zdrowe śniadanie mamy gotowe. ©©

oprac. raw

Kasia Nova jest piosenkarką, prezenterką telewizyjną, aktorką.



FOT. BASTEK CZERNIEK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kur zapiał



FOT. ADOBE STOCK

Budzi państwa pianie koguta o szóstej rano, gdy spędzacie idylliczne wakacje na odległej od cywilizacji wiosce? Wieczorem świerszcze spać nie dają i ten smród dochodzący z obory...

Nie da się ukryć, zwierzęta domowe nie zawsze pachną diorem. Więc może lepiej by było, gdyby wioska była aseptyczna, hodowla, uprawy oraz ich dźwięki i hałasy rozgrywały się gdzieś w odległym tle, gdyż obywatel miasta nie jest do nich przyzwyczajony.

Nic z tego, przynajmniej we Francji. Mieszczuch będzie to wszystko musiał znosić, gdyż od teraz wszystkie odgłosy wiejskiego życia zostały uznane za francuskie dziedzictwo narodowe i objęte ustawą o ochronie. Kwakanie kaczek, gdakanie kur, kumkanie żab, smród (pardon my french) gnojówki to będzie obecnie chronione „zmysłowe dziedzictwo wsi”. Nawet dzwony kościelne – uwaga antyklerykałowie, będziecie musieli zamilknąć i polubić.

„Życie na wsi oznacza, że trzeba polubić pewne niedogodności – powiedział Joël Giraud, francuski minister do spraw wsi. – Idealizować wieś jako miejsce idealnego spokoju byłoby iluzją”. Najbardziej prominentnym bohaterem dyskusji poprzedzającej ustawę był kogut Maurice z miejscowości Saint-Pierre-d'Oléron, na wyspie zachodniego wybrzeża Francji. Przybywający tam letnicy wielokrotnie wnosili skargi, że jest zbyt hałaśliwy.

No cóż, Francuzi mają nie tylko średniowieczne katedry, zamki nad Loarą i haute couture. Pokazali, że można być dumnym z koguta i z kumkania żab. A cóż my? Na polskiej wiosce coraz rzadziej by szukać wolnej kurki, która by zagdakała o świcie, żaby kumkającej w stawie romantycznym wieczorem. Kurki wsadzone do kurników pod Żurominem mogłyby najwyżej załkać z rozpaczny nad swoim losem, ale brakuje im siły, bo mają do dyspozycji powierzchnię 30 cm kw. na kurkę.

Bagna osuszone, więc i żab brak.

A jeśli chodzi o romantyczne odgłosy, to muszą za nie wystarczyć dźwięki piosenki Zenka Martyniuka dobiegające z głośników, które posiada każdy wiejski budynek – na zewnątrz oczywiście. Towarzyszą one pracom wiejskich ludzi. Sąsiad naprawiający motor, brzmiaćca metalicznie piła tarczowa. A oto przez wioskę mkną kombajny, dźwięk młockarni jako żywo przypominający zaś walc Chopina jest świadectwem, że rolnictwo nasze ma się nieźle.

W końcu nie po to tyle się płaci na Slowhopie, żeby czuć zapach wsi. Miłego pobytu na agrowczasach! ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Łokciowa sprawa

Zauważyłem, że ostatnio coraz trudniej znaleźć mi temat na felieton. Oczywiście może to wynikać z postępującej tępoty umysłowej, która – lubię się w ten sposób oszukiwać – nasiliła się po przebytych COVID-zie. Ale to chyba niejedyne wyjaśnienie twórczego zatwardzenia.

Gdzie jeszcze szukać przyczyn? To chyba efekt braku kontaktów z ludźmi. Wcześniej spotykałem ich ciągle i wielu. Kawy na mieście, obiady zwane, nie wiedzieć czemu, lanczami, wieczorne wyskoki do baru. Wszystko to było skapane w rozmowach, które często były inspirujące. „Inspirujące” – to ładnie brzmi, a po prawdzie chodziło raczej o podkradanie. Ktoś powiedział coś odkrywczego, zwracał uwagę na ciekawe zjawisko, a ja już nadstawiałem moje złodziejskie uszy i zastanawiałem się ukradkiem, czy to, co usłyszałem, da się przerobić na felieton.

Cóż, taka rola felietonisty. Miło oczywiście myśleć, że wszystkie pomysły są stuprocentowo moje, ale prawda jest taka, że po prostu uważnie słucham mądrych ludzi, z którymi się stykam. Teraz intensywność tych spotkań zmalała, więc i moja kreatywność również. Dobrze chociaż, że sprawiłem sobie psa, więc on mi podsuwa jakieś tematy. Ile jednak można pisać o psie? Nawet dużym.

Staram się zatem wyściskać, ile się da, z tych nielicznych spotkań, które się ostały. Ostatnio trafiłem

ze swoim łokciem na terapię manualną do specjalisty, któremu buzia się nie zamykała. W innych okolicznościach byłbym może nieco wkurzony jego pyłkowaniem, ale tym razem spijałem słowa z jego ust. I proszę: facet przedstawił ciekawą teorię. Stwierdził mianowicie – na przykładzie mechaników samochodowych – że lepiej dziś unikać usług po znajomości, bo znajomy jest obecnie dla fachowca klientem drugiej kategorii.

Dlaczego? Kiedyś zażyłość stanowiła gwarancję, że się zostanie potraktowanym lepiej niż zupełnie obcy klient. Dziś ta zależność się odwróciła, bo usługodawcy są oceniani w Internecie. Dostają gwiazdki, kciuki i opinie. Bardziej się zatem opłaca dopieścić „zwykłego” klienta niż kumpla. Kolega – jeśli faktycznie jest kolegą – nie przywali jednej gwiazdki ani nie zgnoi publiczną krytyką. Można zatem przerzucić go na koniec kolejki do badania samochodowej klimatyzacji czy wymiany jakiejś pierdółki w samochodzie.

– I dlatego nie korzystam z usług znajomych – zakończył swój wywód terapeuta, nacisnął mnie ostatni raz, aż pisałem, i oznajmił, że już nie powinno boleć. Sęk w tym, że boli nadal, więc mogę dać jedynie dwie gwiazdki za ciekawe obserwacje społeczne. A może ktoś ze znajomych jest terapeutą i mógłby coś poradzić na ten mój łokieć? Przy okazji można by pogadać. ©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Nadszedł polski Nawalny

Paweł Kasprzak idzie dziś do więzienia. Bo przeszedł przez ulicę po demonstracji” – poinformował 25 stycznia w dramatycznym artykule portal OKO.press. „Lider Obywateli RP w więzieniu. »To opór przeciw praktykom policyjnego państwa«” – dodawał Onet. Na chwilę powiało syberyjskim chłodem oraz klimatem białoruskich represji. Lider znanej organizacji pozarządowej postanowił poświęcić się na ołtarzu demokracji, otwierając oczy niedowiarkom, którzy twierdzą, że w Polsce nie ma więźniów sumienia. A jednak są. Czasami wystarczy podpaść reżimowi chodzeniem po ulicy i na nic tłumaczenia, że pasy były daleko – kara zostaje wymierzona błyskawicznie i bez litości. Czasu – od samego incydentu w 2017 r. – zostaje tylko na spakowanie szczoteczki, zorganizowanie niewielkiej demonstracji pod zakładem karnym, kamerę, relację na YouTube, napisanie listu otwartego do „Gazety Wyborczej”, udzielenie wypowiedzi zaprzyjaźnionym mediom oraz wzruszające pożegnanie z partnerką. Wszystko, aby wykorzystać ostatnie sekundy pozostałe na wolności.

Kto wie, jakie będą świat i Polska, gdy Paweł Kasprzak wróci? Czy poradzimy już sobie z pandemią koronawirusa? Jak zmienia się gospodarka, społeczeństwo, system opieki zdrowotnej? Kto będzie rządził? Czy CD Projekt naprawi w końcu wszystkie błędy „Cyberpun-

ka”? Tak wiele rzeczy może się wydarzyć w... 48 godzin.

Bo właśnie na tyle – i nie do więzienia, ale do aresztu – na własne życzenie idzie lider Obywateli RP. Dzieje się tak, ponieważ odmówił policji wylegitymowania się oraz przyjęcia mandatu na kwotę 50 zł, wystawionego za przechodzenie środkiem jezdni po jednym z protestów pod siedzibą PiS. „W moim przypadku chodzi o wyrok orzeczony w konsekwencji udziału w jednym ze zgromadzeń publicznych. Skierowany przez policję wniosek o ukaranie – w konsekwencji odmowy przyjęcia mandatu – spowodował orzeczenie wydane bez rozprawy w uproszczonym tzw. nakazowym trybie. Nie złożyłem na nie sprzeciwu. Postanowiłem nie składać sprzeciwów, uznając nakazowe wyroki w tych okolicznościach za skandal. Nie reagowałem następnie na wezwania do zapłaty grzywny, a kiedy postanowiono zamienić mi ją na ograniczenie wolności z obowiązkiem wykonania prac społecznych, odmówiłem także tego” – tłumaczy swoje motywacje Kasprzak. Jak dodaje, czuje się represjonowany. Jego zwolennicy w komentarzach pod artykułem nie przebiegają w słowach. „Druga Rosja Putina!”, „Przecież to jak działanie Łukaszenki”, „Był go seryjny samobójca nie dopadł” – przestrzegają i dodają otuchy. Cóż, kiedyś się mówiło, że każdy kraj ma takiego Elvisa, na jakiego zasłużył. Może dzisiaj warto dodać, że każda opozycja ma takiego Nawalnego, na jakiego zapracowała. ©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Po co komu sztuka?

Wątpliwość wyrażona w tym pytaniu jest obecnie dość powszechna. Skoro wysokie ceny na aukcjach osiągają stare kaptcie dobrze wylansowanej artystki, Literackie Nagrody Nobla dostaje się za wynurzenia ludzi psychicznie niezrównoważonych, na scenach teatru kopuluje się w rytm „Bogurodzicy”, a muzykę taneczną upodobniono do hałasu wytwarzanego przez młockarnię, to nie może dziwić wzruszenie ramion lub bezradność odpowiedzi typu: „Ja się nie znam na sztuce” lub „Są gusta i guściki”.

Siłą napędową twórczości na początku XXI w. stała się na Zachodzie pogoń za nowością. Ciągłe słyszymy o „nowej fali” czy „nowej generacji”. Nawet rock

na siebie uwagę. Doprowadziło to do tego, że w naszych czasach nie da się już nikogo zaskoczyć niczym nowym, że wszystko już było, że można co najwyżej potęgować wrażenie, pomnażając hałas przekazu. Sztukę „wysoką” zmieszano też z popularną, sensowną z bezsensowną i mamy do czynienia z „wszelkiej materii pomieszaniem”. Pewien niezbyt rozgarnięty dyrektor teatru powiedział niedawno, że sztuka jest wszystko, co wytwarza artysta. Jak zdefiniować jednak artystę? Dla bezpieczeństwa powiedzmy, że jest to absolwent uczelni artystycznej. I cóż by powiedział ów dyrektor, gdyby w ramach „artystycznej” prowokacji dyplomowany artysta zdzielił go po głowie?

Twórczość artystyczna jest jedną z cech człowieczeństwa, która odróżnia nas od innych stworzeń. Sztuka jest więc tak stara jak ludzkość i jest wyrazem tego, jak żyją, czego pragną i czego się boją te części ludzkości, które tę twórczość uprawiają i które z niej korzystają. Powstaje więc pytanie, kim jest i czego pragnie człowiek, którego zadowala sprowadzenie spektaklu teatralnego do bluźnierczego bluźgu lub ten, który skacze jak opętany i wali, w co popadnie, podczas seansów „muzycznych” typu Obscene Extreme? Czy jest to ten sam człowiek, którego cieszą harmonijne tony „L'Estro armonico” Vivaldiego lub koncert wiolonczelowy Saint-Saësa? Czy wulgarne słowa wyrzucane przez niektóre gwiazdy rapu są tym samym, co wieloznaczny tekst „Sound of Silence” Simona and Garfunkela? Dlaczego wśród wylansowanych za pieniądze speców mało oryginalnych „prowokacji” graniczących z kiczem nikną plastycy naprawdę czujący, co można wyrazić kompozycją, kolorem, harmonią lub dysharmonią? I gdzie są ich odbiorcy?

Pytania te mogą brzmieć zbyt obcesowo, gdyż czym innym jest muzyka, a czym innym są sztuki plastyczne, poezja lub proza. Różne mamy też rodzaje wrażliwości i różnie są one rozwijane od dzieciństwa. Dlatego o gustach trzeba rozmawiać ostrożnie i kulturalnie, ale nie są one czymś obojętnym. Istnieje zresztą coś takiego jak krytyka artystyczna. Niestety, jest ona dziś w stanie opłakanym. Niektórzy uprawiający ją ludzie pióra boją się jak ognia przyznawać do jakichkolwiek kryteriów oceny i bardzo często sami nie wiedzą, czego chcą. W podobnie opłakanym stanie jest wychowanie szkolne w dziedzinie plastyki i muzyki.

Kryzys współczesnej cywilizacji wyraża się więc nie tylko w owym „wszelkiej materii pomieszaniu”, lecz także w niechęci do zajęcia się na poważnie tym, co jest istotą twórczości i człowieczeństwa – poszukiwaniem sensu, prawdy o naszym życiu, dobra i piękna? Temu celowi może służyć zarówno kontemplacja ciągów cyfr na obrazach Opałki, pozorna monotonia „III Symfonii” Góreckiego, z werwą zaśpiewana piosenka country, krótki wiersz księdza Twardowskiego lub długi T.S. Eliota, jak i niemiła powieść Kafki lub wspańska proza historyczna Gołubiewa. Sens można znaleźć w bardzo różnych produkcjach artystycznych, jeżeli możemy odczuć, że twórcy też zależało na jego szukaniu. Do tego, żeby to docenić, trzeba jednak znacznie lepiej wykorzystać lata szkolne, gdy kształtuje się wrażliwość człowieka. Wrażliwość na sens jest bowiem znacznie ważniejsza niż wyuczenie małpiej zdolności do naciskania guzików na klawiaturze lub przesuwania palcami po szybce iPhone’a. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



bywa „progresywny”. O ile dawniej nowa technika czy nowy styl rodziły się z potrzeby znalezienia nowej formy, o tyle już od początku XX w. narastała obsesja nowości jako celu samego w sobie. Jak postęp techniczny w gospodarce, tak innowacje formalne stały się dźwignią sukcesu w sztuce. Artystów coraz mniej interesowało, co chcą wyrazić, a coraz bardziej zajmowali się pytaniem, co nowego wymyślić, żeby zwrócić



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

OCIEPLIĆ KLIMAT

Zmiany klimatu to zagrożenie egzystencjalne całej ludzkości – tak twierdzą globaliści i nie jest to stwierdzenie naukowe. To religia, opętanie, sekta. Papieżem tej religii jest Al Gore, a katedrą budynek ONZ. Do sekty klimatycznej należą Joe Biden i premier Morawiecki. Ciągła nas za sobą na dno.

Nauka i dowody historyczne mówią tak:
– Zlodowacenia (epoki lodowcowe, lodowce) pojawiały się i cofały.

– Największy lodowiec sięgał do obecnej granicy w Czechach.

– Ostatnia epoka lodowcowa zakończyła się ok. 10 tys. lat temu.

– Pomiędzy epokami lodowcowymi były okresy ocieplenia trwające 10–15 tys. lat.

– W Polsce była kiedyś pogoda taka jak dziś w Prowansji.

Wnioski naukowe (płynące z wielu poprzednich i POWTARZAJĄCYCH się cykli) są takie:

Jesteśmy właśnie w trakcie kolejnego ocieplenia i jest to proces normalny. Nie ma znaczenia, czy go spowolnimy, czy przyspieszymy, bo jeżeli cykl trwa ponad 10 tys. lat, to z punktu widzenia człowieka (żyjącego lat 70–80) jest obojętne, czy w wyniku działań naszej cywilizacji kolejne ocieplenie planety nastąpi trochę prędzej (10 tys. lat to 400 ludzkich pokoleń).

Ale! Zastanówmy się najpierw, czy cieplejszy klimat na Ziemi to coś złego? Tak straszą globaliści – temperatura wzrośnie o dwa stopnie i będzie po nas. Hm. Popatrzmy na to NAUKOWO.

Tysiąc lat temu w Europie i Ameryce było dużo cieplej niż dziś. I co się wtedy działo? Lodowce Skandynawii cofnęły się w kierunku bieguna, zamrożone ziemie zostały odsłonięte, a wikingowie uzyskali więcej pól i możliwość uprawy zboża, warzyw i owoców. Zaczęli lepiej jeść. Wiek X to złoty wiek wikingów – rozwój ich cywilizacji. Byli na morzach Śródziemnym i Czarnym, podbili Wyspy Brytyjskie, Normandię, pływali po Wołdze, zasiedlili nawet Grenlandię (ocieplenie klimatu spowodowało, że dało się tam uprawiać pszenicę, a potem ruszyć dalej i zakładać osady na dzisiejszych ziemiach Kanady).

Cofnijmy się o kolejny tysiąc lat – przed wikingami było Cesarstwo Rzymskie. Co się wtedy działo z klimatem? Libia i Tunezja były ogrodem warzywnym Rzymu, a nie pustynią. Północna Sahara to były pola uprawne, osady, hodowla bydła, rzeki, którymi do portów pływały barki pełne zarcia. (Czytajcie książki o historii Rzymu, zanim je ocenzurują!).

A teraz przewińmy taśmę do przodu – założmy, że najczarniejsze scenariusze globalistów się spełniają i temperatura na Ziemi rośnie, nie o dwa, ale o więcej stopni (tak jak już kiedyś było). Co wtedy?

Czapy lodowe na biegunach ulegają roztopieniu. Tragedia? Niezupełnie. Od czasu, gdy Ziemia wystygła, a na lądach pojawiły się rośliny i zwierzęta, stanem normalnym jest brak lodu na biegunach. Przez 90 proc. historii Ziemi na biegunach nie było lodu. Stan obecny (istnienie Arktyki) jest więc marginalny, a nie „normalny”.

A co by się stało, gdyby lody na biegunach rozpuściły się do zera już teraz, szybko? Poziom wody w oceanach wzrośnie? Nieznacznie i nikt z globalistów nie umie policzyć dokładnie, o ile centymetrów. Zniknie (być może) kilka archipelagów na Pacyfiku, bo są płaskie i zostaną zalane. Być może. Ale czy to jest problem? Kilka lat temu zalało jedną z wysp na Hawajach (East Island – 11 ha), inną w rosyjskiej Arktyce (Perlamutrovoy) i nic – przyroda w działaniu. W tym czasie Chińczycy zbudowali nowe wyspy na Morzu Południowochińskim – człowiek w działaniu. Japończycy z kolei znaleźli w latach 70. węgiel na wyspie Hashima i całą tę wyspę wykopali do zera – została pusta skała.

Gdy w Polsce budowaliśmy hydroelektrownie, zalało kilka miejscowości, mamy co najmniej jeden murowany kościół pod wodą i żyjemy z tym, prawda?

Państwo Kiribati (na Pacyfiku) kupiło sobie trochę ziemi na jednej z wysp Fiji – są zabezpieczeni na wypadek, gdyby cały naród Kiribati musiał się docelowo przenieść na tereny wyżej położone.

Inne wyspy nie czekały na zatopienie, lecz zatopiły się same. Na jednej znaleziono fosforyty i naród wyspiarzy wyeksportował całą wyspę spod własnych stóp. Zosta-

ła dziura, którą zalewa ocean, i nikomu to nie szkodzi, bo mieszkańcy za wykopane minerały zgarniali tyle forsy, że dochód na głowę mieli taki jak w Arabii Saudyjskiej; więc mogli sobie kupić nową ziemię, gdzie tylko chcieli na całej planecie.

A gdyby tak zmiany klimatu pociągnąć dalej... Archeologia i geologia Australii pokazują, że tam, gdzie dziś jest pustynia, kiedyś były ziemie uprawne. Dobre do zasiedlenia dla kilku miliardów ludzi, na wypadek, gdyby zmiany klimatyczne doprowadziły do zmian pogody na skalę taką, jaka... już kiedyś była.

A gdyby podniesienie się poziomu oceanu doprowadziło do zalewania Amsterdamu? Poradzą sobie! Już teraz stawiają tamy i zdobywają ziemię, tworząc poldery. Poradzą więc sobie, budując tamy dookoła Amsterdamu, i nie martwmy się ich losem. Podobnie w Nowym Jorku i innych miastach, o których globaliści twierdzą, że będą zalane. Poziom oceanu podnosi się tak powoli, że nawet nie wiemy, ile to milimetrów rocznie. Mamy więc czas na stawianie EWENTUALNYCH tam lub na budowanie nowych dzielnic w głębi lądu.

Premier Rzeczypospolitej działa na szkodę Polaków, gdy godzi się płacić kary za emisję CO₂. Kary płacimy komu? Niejasnej organizacji klimatycznej z urzędnikami, których nikt nie wybierał w wyborach. I płacimy za co? Za uwalnianie do atmosfery pierwiastków, które wcześniej już były w atmosferze. Dwutlenek węgla nie jest trucizną, podobnie jak nie jest trucizną tlen ani węgiel.

Płacenie za emisję CO₂ to działanie na własną szkodę. Szczególnie w sytuacji, gdy ani Chiny, ani Indie nikomu nie płacą, a spalają więcej niż cała Europa i USA. A czemu nic nie płaci kraj, który ma u siebie wulkany i kopci najbardziej? Jeden wybuch wulkanu to więcej CO₂ niż emisja przemysłowa świata przez rok.

Gdy Joe Biden podpisywał porozumienie paryskie, zadałem pytanie, jaki konkretnie pożytek ma z tego przeciętny Amerykanin. A jaki pożytek z porozumienia paryskiego ma przeciętny Polak? Podpisaliśmy wyrok na polską gospodarkę. W JAKIM CELU? ©

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~309~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARYZY LUDZKOŚCI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

193,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 116 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 63acf3a6ad

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Tajemnica grobu
gen. Iwaszkiewicza
wyjaśniona!

Eugeniusz C. Król – **Rasa i Lebensraum. Chory świat Führera**

Anna Herbach – **Zbrodnia w domu Hitlera**

Tomasz Stańczyk – **Okultystyczne fascynacje nazistów**

Marek Gałęzowski – **Bohater AK w kleszczach UB**

Dariusz Tołczyk – **Moralny upadek pożytecznych idiotów**

Piotr Semka – **Wyznania goryla Honeckera**

Mikołaj Iwanow – **Szlacheckie korzenie Dzierżyńskiego**

Sławomir Cenckiewicz – **Giertych i Studnicki**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**